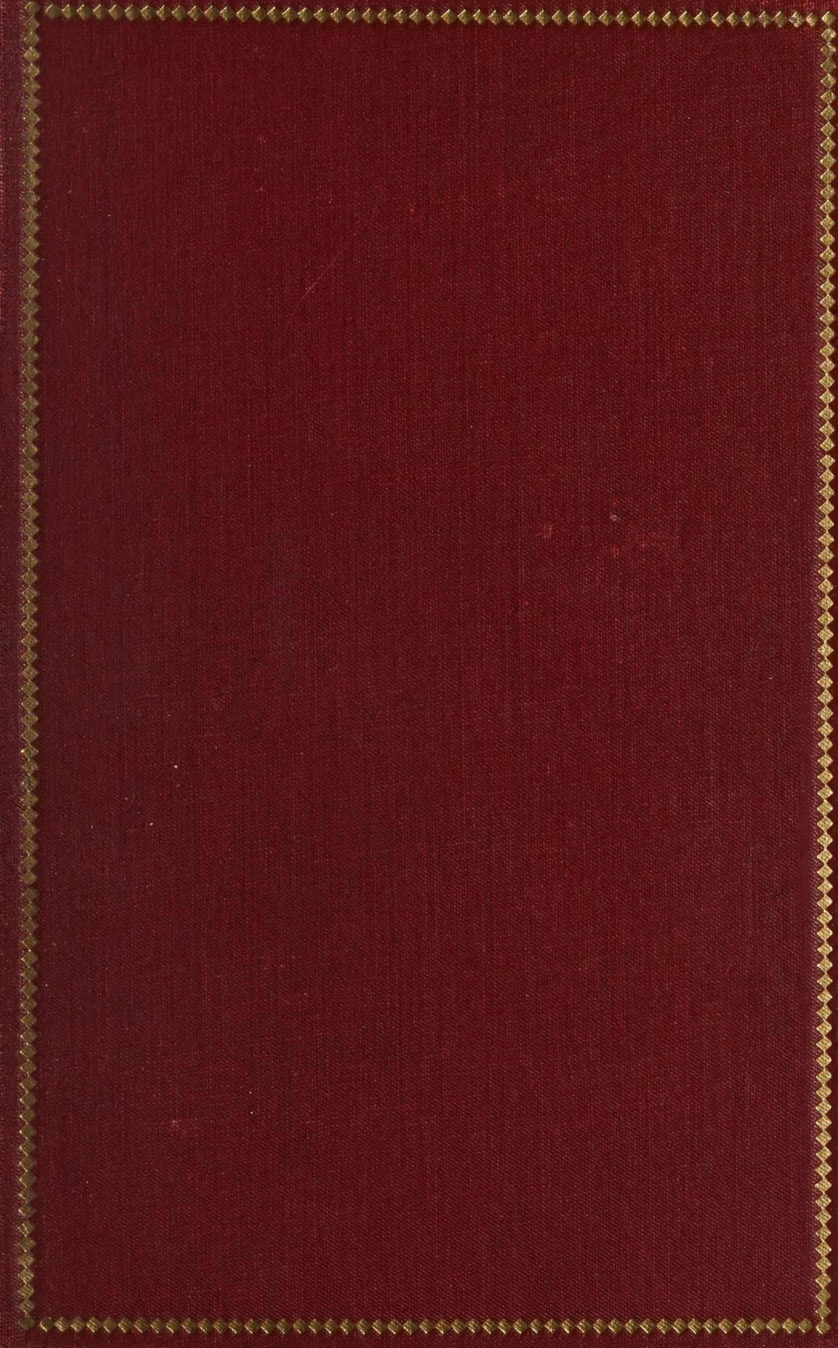
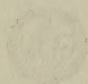


DATE DUE	BORROWER'S NAME

EMANCYPANTKI



PISMA
BOLESŁAWA PRUSA

TOM VIII

EMANCYPANTKI



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

Glowacki, A.

Emancypantki.

DATE	ISSUED TO
MR 14 '60	815

DATE	ISSUED TO

BOLESŁAW PRUS
(ALEKSANDER GŁOWACKI)

EMANCYPANTKI

POWIEŚĆ

TOM II

WYDANIE CZWARTE



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

Składy główne:

„The Polish Book Importing Co., Inc." — New York.
„Księgarnia Polska na Śląsku, Sp. Akc." — Katowice.

Druk. „Rola" J. Buriana, Warszawa, Mazowiecka 11.
1925.

I.

Przebudzenie.

Zdawało się Madzi, że tonie w niezmiernem ognisku: jej ręce i nogi już spopielały — oddycha płomieniami — zamiast głowy ma żelazną kulę, rozpaloną do czerwoności, a zamiast języka — żarzący węgiel.

Już nie chciała żyć, tylko — nie cierpieć. Więc gdy spadł na nią sen, ciężki, jak rzeka roztopionego ołowiu, jęknęła, ale nie z obawy. Owszem, radowała się, że ognie, które męczyły jej wzrok, stopniowo bledną, potem czerwienieją, jak zachód słońca, a ona sama leci w bezdenną otchłań, gdzie robi się coraz ciemniej, ale i coraz chłodniej.

Koniec?... Jeszcze nie. Bo otóż ogarnął ją przykry zapach octu. Widać, że zamiast do otchłani spadła w komin, gdzie na dnie znajduje się rozpalona angielska kuchnia, na którą lano ocet.

„Ach, jakto... ach, jakto... ach, jakie to ostre!...? — myślała.

Octu musiało być dużo, ponieważ otoczyły ją

ze wszystkich stron gęste obłoki; ocean obłoków, w których pływała wysoko nad miastem. Oczywiście nad miastem, gdyż słychać dzwony: w uszach, w głowie, w szyi, w piersi, w rękach i w nogach. Dziwne dzwonienie!... „To po mnie dzwonią — myślała Madzia. — Ja jestem pani Latter i ja utopiłam się... Więc pytają mnie żałobnem dzwonieniem: pocoś ty to zrobiła?... Przecież zostawiłaś dzieci, pensję?“...

Biały tuman obłoków rozsunął się, i ujrzała jakąś twarz. Była to dobra twarz człowieka z siwemi włosami i krótko ostrzyżonemi faworytami.

„Kto jest ten staruszek?“...

I przyszło jej na myśl, że obok niej, w kłębach ostrej pary, leży jakaś druga osoba, a że staruszek jest doktorem i ojcem tamtej drugiej.

Dzwony wciąż biły: w głowie, szyi, w rękach, jedne basowemi, inne wiolinowemi tonami, i — rozmawiały między sobą:

— Feliksie, proszę cię, wezwij Brzozowskiego!...

— Nigdy. Nie pozwolę truć mego dziecka.

— Widzisz przecież, że to jest...

— Lekki... bardzo lekki...

— Więc poślę po księdza...

— Żadnych księży, żadnych konowałów...

— O, cóż ja pocznę, nieszczęśliwa!... — łkał wiolin.

— Uspokój się i zostaw ją w spokoju... Przecież to moje dziecko... Spokoju tylko, spokoju...

Pragnęła odpowiedzieć jękliwym dzwonom,

czy rozżalonym ludziom: „ja wszystko słyszę!“... ale nie chciało jej się ust otwierać.

Ten biały obłok, to nie tuman octu, ale bardzo delikatnego puchu, albo śniegu, który jednak nie jest zimny, lecz ciepły. Niekiedy wygląda to, jak zwoje koronki, która nieznacznie rozsuwa się, rozsuwa... I widać krzak bluszczu, a na jednym z listków kołysze się chłopczyk, malutki jak palec. Wtem przylatuje wróbelek, i chce chłopczyka dziobnąć w główkę. Ale chłopczyk roześmiał się i ukrył głowę pod liść, a zdziwiony wróbel wachlował w miejscu skrzydłami, brzęcząc jak pszczoła.

Krzak bluszczu odsuwa się, a ona sama... Boże jak ona rośnie!... Jej ręce i nogi już dotknęły kresów horyzontu, i horyzont ucieka... Rosnąc tak, leży na niezmiernej, lazurowej płaszczyźnie, po której tu i owdzie snują się złote i różowe obłoki i — myśli:

„Czem ja jestem?... Czy jestem niczem... czy obłokiem, jednym z tych oto?... Czy naprawdę jestem panią Latter, która się utopiła?... A może ona nie utopiła się, bo pocóż miałaby się topić?“...

Kiedy tak myśli, widzi, że jeden stojący na boku obłoczek zaczyna przybierać rysy ludzkiej twarzy. Jest to kobieta z pożółkłem obliczem, z wielkiemi, zapadniętemi oczyma, z których wygląda trwoga. Czy to jest pani Latter?... Nie, to jest panna Marta, gospodyni pensji... Ależ nie, to przecież jest blondynka, poprószona siwizną. Ach, już przypomina sobie. Ta kobieta, kiedyś, kiedyś... o, bardzo dawno, podnosiła ją, coś wlewała w usta, coś kładła na głowe, a czasami klęczała przed nią z pła-

czem i całowała jej nogi. „Kto to jest?... kto to jest?... Bo jest to ktoś znajomy?“...

Pożółkła twarz kobieca zbliżyła się do jej twarzy; zatrwożone oczy wpatrywały się w nią z miłością, i w tej chwili na czoło chorej upadła łza. Spłynęła jej na policzek, na szyję, potem stoczyła się na piersi i — nagle... Zdawało się, że na jej rozpalone ciało zaczyna padać gęsta rosa łez chłodnych i kojących... Gdzie padły, uciekał ogień i ból, pierzchało odrętwienie, a za każdą łzą budziła się myśl, pamięć i jakieś spokojne szczęście, na które w ludzkim języku niema wyrazów.

Chora poruszyła się na łóżku, wyciągnęła przed siebie wilgotną rękę, lecz ręka opadła na piersi.

— Mamo... — szepnęła.

— Poznajesz mnie, Madziu?... — krzyknęła siwiejąca kobieta. — Poznajesz?... moje ty życie... mój skarbie... O, jest Bóg miłosierny, który mi ciebie powrócił...

— Spokoju, mateczko... spokoju... — odezwał się łagodny męski głos.

— Patrz, Feliksie — mówiła, szlochając, kobieta — ona mnie poznała... Jak ona potnieje...

— Właśnie na dziś spodziewałem się przesilenia... Chodź, mateczko... Zostawmy ją w spokoju...

Odeszli, a w sercu Madzi zbudziła się trwoga. Już odzyskała świadomość, lecz poto tylko, ażeby uczuć, że dzieje się z nią coś niezwykłego. Myśli plączą się, słuch tępieje, oczy zachodzą mgłą i mrokiem.

„Ja umieram!“... — chciała zawołać, ale głos zastygł, i opanowała ją noc i bezwładność.

Kiedy znowu obudziła się, pierwszem uczuciem było radosne zdumienie.

„Jestem w domu — pomyślała. — Ale miałam szkaradne sny!“...

Leżąc na łóżku, z trudnością poczęła się oglądać. Oczywiście, musi być wczesny ranek, gdyż okna są zasłonięte, a tylko przez szklane drzwi, między dywanem, który je zasłaniał, i ścianą, wlewała się z ogrodu smuga światła.

„Ale dlaczego ja śpię w saloniku?“ — mówiła do siebie.

Tak, to salonik. Komoda, duże lustro, zasłonięte prześcieradłem, meble, kryte szafirowym adamaszkiem, który wypłowiał, dwa okna od ulicy i szklane drzwi od ogrodu. Nawet fortepian stoi w kącie, okryty szarą płachtą.

— Ale dlaczego ja tu śpię?... — szepnęła.

Powoli, jak przez mgłę, zaczęła sobie przypominać wyjazd z Warszawy, poprzedzony telegramem Mielnickiego o utopieniu się pani Latter... (Więc byłaby to prawda?...). Potem przyszło jej na pamięć, że wróciła do domu w dzień słotny, że witała ją młodsza siostra Zosia i jacyś dwaj panowie: jeden młody, drugi starszy, ale obaj przyjemni. I jeszcze pamiętała, że matka, patrząc na nią z obawą, zapytała: „Tobie coś jest, Madziu?“... a ojciec wziął ją za puls, obejrzał język i kazał iść do łóżka.

„Zmęczyła się i przemokła“ — powiedział ojciec.

„Możeby posłać po Brzozowskiego?“... — rzekła zalękniona matka.

„Żadnych konowałów, żadnych trucizn — odparł ojciec. — Spokoju dajcie jej trochę, a będzie dobrze“.

No, i jest dobrze, tylko te okropne sny!...

Drzwi salonu skrzypnęły, i Madzia usłyszała rozmowę:

— Wino doskonałe, proszę pani dobrodziejki, maślacz... Ejsenman przysiągł, że tylko dla państwa oddaje za trzy ruble butelkę — mówił męski głos.

— Dla pana, nie dla nas — odpowiedziała matka Madzi. — Pozwoli pan, że zwrócę...

— Cóż tak pilnego, pani dobrodziejko?... Owszem, byłoby mi bardzo przyjemnie...

Madzia otworzyła oczy, ażeby zobaczyć owego mężczyznę, lecz zobaczyła tylko matkę, która na palcach podeszła do komody i wydobyła portmonetkę. W smudze światła od ogrodu Madzia poznała swoją portmonetkę.

„Pewnie mama nie ma drobnych“ — pomyślała Madzia.

— Wyda mi pan z dziesięciu rubli? — zapytała matka.

— Służę pani dobrodziejce. Chociaż byłoby mi przyjemnie, gdybym miał zaszczyt ofiarować pannie Magdalenie... — mówił cicho mężczyzna, stojący za drzwiami. — Więc już po przesileniu?... Co za szczęście!... Wczoraj byłem w kościele i całą mszę modliłem się na intencję...

Madzia usłyszała szelest banknotów, szastanie nogami, zamykanie drzwi.

Mężczyzna odszedł.

— Także amator! — szepnęła matka, stojąc nad łóżkiem.

Madzia odgadła, że matka wpatruje się w nią; lecz, że przed chwilą jej oczy same zamknęły się, więc nie miała siły ich otworzyć. Uczuła delikatny pocałunek na czole i znowu usnęła.

Od tej pory Madzię opuściły straszne wizje, choć usypiała po kilka razy na dzień. Teraz jej sen bywał tak głęboki i nagły, że niekiedy, obudziwszy się, chciała dalej ciągnąć rozmowę, zaczętą przed paroma godzinami.

Każde przebudzenie było dla niej niespodzianką; najzwyklejsze rzeczy wydawały się jej czemś nowem, jakby dopiero co przyszła na świat, albo wróciła z innego. Nie mogła oderwać oczy od powoju, który między dwoma oknami piął się po ścianie, i znajdowała przyjemność, rozmyślając nad tem: kto zrobił powój, i czy podobna, ażeby te giętkie łodygi i ciemno-zielone liście wyrosły same przez się, bez pomocy mistrzowskiej, choć niewidzialnej ręki? Jeszcze bardziej zachwycał ją widok muchy, która niekiedy siadała na pikowej kołdrze. Ze zdumieniem pytała: jakim sposobem ta drobna muszynka może biegać, a nawet latać? Jak może być głodną, zaciekawioną, albo przestraszoną?

„Widocznie ona czuje tak samo, jak i ja. Może nawet w tej chwili patrzy na mnie i dziwi się, że istnieją takie wielkie i niezgrabne potwory, jak lu-

dzie“ — mówiła, zbliżając przezroczyste palce do muszki.

Ale mucha odleciała, a nad Madzią odezwał się głos męski:

— No, no, no! już przypominasz sobie wprawy na fortepian?

— Nie, tatku, — odpowiedziała — ja chciałam bawić się z muszką.

— Co wygadujesz, Madziu?... — wtrąciła stojąca obok matka. — Dorosła panna bawi się muchami?...

— Bardzo dobrze — odparł ojciec — to dowodzi, że siły wracają nie nagle, lecz stopniowo... Jakże się czujesz? — zapytał po chwili.

— Jeść mi się chce.

— Jadasz, kochanie, co godzinę — rzekła matka. — Mleko, rosół, wino...

— Dawajcie jej mleko i rosół co trzy kwadranse — odpowiedział ojciec.

— I nudzę się, tatku... Dlaczego tu jeszcze ciemno?

— Nudzisz się? to bardzo dobrze, moje dziecko. Dziś można odsłonić trochę tę roletę zboku... Trzeba także uchylić drzwi od ogrodu...

— Ależ, Feliksie, to jej zaszkodzi!... — oponowała matka.

— Mów tak, mów... — rzekł ojciec. — Pięknie będzie wyglądał rodzaj ludzki, gdy zacznie wierzyć, że mu zaszkodzi świeże powietrze i słońce.

Rodzice odeszli, wtem Madzia zawołała:

— Tatku... tatku!...

— Co, kochanie?

— Ja tatki jeszcze nie pocałowałam, ani tatko mnie... Tak przecież nie można...

Ojciec wrócił, usiadł na łóżku, wziął chorą za obie ręce i, całując ją, rzekł:

— Owszem, dzisiaj pieściliśmy się dwa razy.

— Nie pamiętam... — szepnęła z trwogą.

— A czy pamiętasz — mówił pochylony nad nią — kiedy w pokoju matki siadywałem nad twoją kołyską?... A pamiętasz, jak huśtałem cię na kolanach, albo jak bawiłaś się moim zegarkiem?... A pamiętasz, jak tu, w tej salce, kazałaś mi wydobywać z pod stołu kotka, który wymknął ci się z rąk?... Nie pamiętasz, bo byłaś malutka... I dziś jesteś małe dziecko, które śpi dwadzieścia godzin na dobę a przez sen pije mleko... Tylko wówczas musiałaś rosnąć całe lata, a dzisiaj urośniesz w ciągu kilku dni i znowu zrobisz się dużą panną, do której już zaczynają pukać kawalerowie...

— Feliksie! — zgromiła go matka.

Tym razem obudziła Madzię rozmowa, prowadzona w otwartych drzwiach.

— Czy to grzecznie zakradać się do panieńskiego pokoju?... — mówiła, śmiejąc się matka.

— Ach, pani!... stokrotnie przepraszam, ale daję słowo honoru, że nawet nie spojrzałem... Wyszukałem w ogrodzie podstawkę, nalałem wody, ułożyłem to... i, widząc, że drzwi są otwarte, chciałem postawić na podłodze... No, ale panna Magdalena mogłaby przyjmować wizyty, tak cudownie wygląda... — mówił jakiś mężczyzna...

— Zmizerniała.

— Madonna... istna Madonno!... — wzdychał mężczyzna, składając ręce.

— Bałamut z pana Ludwika... powiem to Femci...

— E... panna Eufemja!... Nie mogę przeciez współzawodniczyć z urzędnikiem pocztowym...

W tej chwili Madzia uczuła śliczny zapach. Uchyliła powieki i na stoliku, niedaleko łóżka, ujrzała glinianą miseczkę, pełną fiołków. Zobaczyła też, że we drzwiach ogrodowych rozmawia z jej matką jegomość, dobrze szpakowaty, z bujnemi faworytami i monoklem w oku. Uderzyło ją, że pan ten ma krótką kurteczkę, cienkie nogi i wykonywa takie ruchy, jakgdyby go krzyż bolał.

— I jeszcze siostra prosiła, ażebym zapytał, czy szanowna pani nie potrzebuje?... — mówił jegomość.

— Ach, dziękuję... choć może w tym tygodniu będę prosić... Nie uwierzycie państwo, ile mamy kłopotu z dłużnikami... Każdy zwleka do ostatniej chwili, — mówiła matka, odchodząc z gościem w głąb ogrodu.

„Co to znaczy?“ — myślała Madzia, przeczuwając, że zakończenie rozmowy niedobrze świadczy o pieniężnych zasobach rodziców. I pot wystąpił jej na czoło z trwogi: przypomniała sobie kłopoty pieniężne pani Latter.

„Boże mój, czyby i mamie brakło?“... — mówiła przerażona. Lecz przyszło jej na myśl, że prze-

cież ona ma trzy tysiące rubli po babce i — uspokoiła się.

— Mamo, co to za fiołki? — zapytała głośno, widząc, że matka powróciła z ogrodu.

— Aha, już spostrzegłaś kwiatki? To przyniósł pan Krukowski...

— Nie znam go.

— Poznałaś go przecie, gdyś wróciła z Warszawy... Choć prawda, żeś mało kogo poznawała wówczas, biedaczko... Aa... cośmy tu przeżyli!... no, ale dzięki Bogu, już przeszło, jesteś zdrowa... Otóż pan Krukowski od kilku lat sprowadził się do nas ze swoją siostrą. Jest to wdowa, majętna, ma ze dwakroć sto tysięcy złotych, a brat mieszka przy niej i kiedyś wszystko odziedziczy. Zaprzyjaźnili się z nami, bo ona, przeszło sześćdziesięcioletnia kobieta, cierpi na reumatyzm i leczy się u ojca, a znowu Krukowski kocha się w Femci i ciągle ze mną rozmawia o niej.

— Dlaczegóż się nie żeni

— Nie rozumiem — odpowiedziała matka, wzruszając ramionami. — Jest to dobry człowiek, ale oryginał, czy taki niestały... Coraz podoba mu się inna panna... Siostra chciałaby go ożenić, ale on jeszcze nie trafił na swoją — dodała zamyślona.

Madzia odzyskiwała zdrowie tak prędko, że ojciec kazał poodsuwać rolety, pozwolił rekonwalescentce jeść potrawkę z kurczęcia, a nawet przyjmować krótkie wizyty.

— Gości przyjmuj — mówił do Madzi — tylko sama nie rozmawiaj.

II.

Stare i nowe znajomości.

Pierwszą wizytę złożyła im pani podsędkowa ze swoją córką Eufemją. Przywitały się serdecznie, jak dawne przyjaciółki. Przy okazji Madzi przyszło na myśl, że gdy ją odwożono na pensję do Warszawy, Femcia miała dziewiętnaście lat, i pani podsędkowa kazała Madzi nazywać ją: panną Eufemją.

— Bo widzisz, moja deroga — mówiła z afektacją podsędkowa — ty jeszcze jesteś dzieciątko, a Femcia już mogłaby iść zamąż...

I przez kilka lat, ile razy Madzia przyjechała do rodziców na wakacje, traktowała Femcię jako osobę dorosłą i nazywała ją: panną Eufemją.

Dopiero w roku zeszłym, gdy Madzia ukończyła pensję, pani podsędkowa nagle rzekła do niej, jak zwykle, sznurując nieco usta:

— Deroga Madziu, dlaczego Femcię nazywasz panią?... Mów jej poperostu: Femciu, bo wszakże jesteście rówieśniczki.

I wykonywała przytem ręką ruchy okrągłe i bezcelowe.

Madzia zrazu nie śmiała panny Eufemji nazywać po imieniu; lecz dorosła rówieśniczka, serdecznie ucałowawszy ją, rzekła:

— No, powiedz-że: ty... ty... ty Femciu...

— Ty.. ty... ty Femciu.... — powtórzyła Madzia, rumieniąc się powyżej czoła.

— Ot, widzisz, i jest dobrze! — rzekła Femcia. — Nie wiem, poco zaprowadzili ludzie między sobą tyle podziałów: ten młody, tamten stary, ów ma zbyt małą posadę... Skutkiem czego wszyscy nie lubią się, a panny nie wychodzą zamąż...

W dniu wizyty pani podsędkowa z matką Madzi usiadły na kanapie, Femcia zaś, po dziesiąty raz ucałowawszy rekonwalescentkę, rzekła:

— Wiem, że z tobą rozmawiać nie można, więc, ażeby mnie nie wzięła pokusa, pójdę do okna, a ty drzem sobie...

I usiadła w oknie, poza którem między kwiatami przesunął się jakiś cień.

— Pana Zedzisława nie spodziewa się pani na wakacje? — pytała podsędkowa.

— Bardzo wątpię — odpowiedziała z westchnieniem doktorowa. — Jak tylko skończył instytut technologiczny...

— Ze zełotym medalem — wtrąciła podsędkowa.

— ... Zaraz wstąpił na praktykę do fabryk i już pracuje na siebie.

— Pisał mi z Petersburga kuzyn mego męża (pracuje w ministerjum sprawiedliwości), że pan Zedzisław ma świetną karjerę przed sobą. Wynalazł jakąś maszynę...

— Nową farbę... — wtrąciła doktorowa.

— Tak, zerobił jakąś farbę, która zjednała mu renomę w Petersburgu. Pisał kuzyn męża, że nadzwyczajna przyszłość czeka tego młodzieńca, lecz,

że zanadto jest zamknięty w sobie pan Zedzisław, że nie udziela się towarzystwu...

— Pracuje! — rzekła matka z westchnieniem.

— Tak... i nieco szopenuje...

— Szopenhaueruje, mameczko — odezwała się panna Eufemja z pod okna. — Szopenhauer był to filozof, pesvmista: utrzymywał, że życie jest nieszczęściem, i nienawidził kobiet — mówiła panna Eufemja, oskubując jakąś gałązkę i wyrzucając listki przez okno.

Pani podsędkowa kiwała głową.

— Sełyszy pani?... — rzekła cicho do doktorowej tonem, który oznaczał, że jej córka jest bardzo wykształconą osobą i że to wielkie ukształcenie nie jest oceniane w małem miasteczku.

Ale doktorowa nie myślała w tej chwili o pannie Eufemji.

— Zdzisław — rzekła doktorowa, wzdychając — był pesymistą, dopóki zdawało mu się, że dla nas jest ciężarem. Dziś, gdy już sam się utrzymuje, nie rozpacza, jak dawniej... Zato pisze coraz krótsze listy...

Podsędkowa na znak, że daleko mniej obchodzi ją pan Zdzisław, aniżeli panna Eufemja, zamiast słuchać, patrzyła w okno od ulicy. I na nieszczęście, za kurtyną kwiatów dostrzegła cień, który miał wszelkie pozory urzędnika pocztowego.

— Femciu — rzekła — zdaje mi się, że coś wyrzucasz przez okno...

— Listki, mamo...

— Derogie dziecię — mówiła podsędkowa

z afektacją — panienka twego stanowiska nie powinna wygeląda oknem, ani wyrzucać listków na ulicę. Bo czy wiesz, kto może podnieść listek i jakie nierozsądne nadzieje z tego wysnuć?... Wyjdź, Femciu, do ogródka, pobujaj trochę między kwiatkami...

Posłuszna córka wyszła, z postawą Marji Antoniny, idącej na rusztowanie.

— Wysłałam ją — rzekła podsędkowa — ażeby nie była świadkiem naszej rozmowy. (Wyraz: świadkiem wypowiedziany był: s e w i a d k i e m). Nie chcę, ażeby to niewinne dziewczę nawet domyślało się zuchewalstwa, czy szaleństwa, które około niej krąży...

Doktorowa chciała zrobić uwagę, że i Madzia jest niewinnem dziewczęciem i także nie powinnaby wszystkiego słuchać. Wstrzymała się jednak, widząc, że Madzia leży spokojnie i ma oczy zamknięte.

— Jest pani seredeczną przyjaciółką naszej rodziny — zaczęła podsędkowa z głębokiem westchnieniem — więc wtajemniczę panią w moje nieszczęście... Niech pani sobie wyobrazi, że ten sekretarz pocztowy, ten Cenaderowski, zakochał się bez nadziei w Femci... Ubolewam nad jego szaleństwem, choć może mniej dziwiłabym się, gdyby ten człowiek nie zajmował tak niskiego stanowiska...

— Ojciec zdaje się jest zamożny... — wtrąciła doktorowa.

— Jakiś tam rządca!... Tymczasem Femcia jest kobietą wyższą... Czy uwierzy pani, że ona, w tajemnicy przede mną i ojcem, od dwunastu lat

prenumeruje „Przegeląd Tygodniowy...“ No, i to ciągłe odebieranie pisma z poczty naraziło ją na stosunki z panem Cenaderowskim.

— Ile to osób bywa na poczcie... Któż zresztą zabroni młodemu człowiekowi kochać się?... — odezwała się doktorowa.

— Zgadzam się z panią, może nawet miałabym litość dla nieszczęśliwego, gdyby nie pewna komplikacja... Pani wie, że Kerukowski poważnie zajął się Femcią... Ponieważ jest to partja stosowna, więc byłam gotowa poświęcić moje macierzyńskie uczucia i oddać mu Femcię. Tymczasem Cenaderowski zaczął prześladować (spojrzeniami tylko i westchnieniami) Eufemję i — Krukowski od trzech tygodni nie był u nas...

„Od czasu, gdy zobaczył Madzię!...“ — pomyślała doktorowa.

— Mnie nie wypada... — mówiła podsędkowa, spuszczając oczy. — Ja i Femcia wolałybyśmy umrzeć, aniżeli robić mężczyźnie tego rodzaju awanse... Ale pani, która była tak dla nas dobra, tak pielęgnowała tę miłość dwu istot, niewątpliwie steworzonych dla siebie.

— Cóż ja mogę zrobić? — odpowiedziała doktorowa, ślubując w duchu, że nic nie zrobi dla połączenia panny Eufemji z Krukowskim.

— On ciągle bywa u państwa, jego siostra tak państwa kocha... Gdyby więc zedarzyła się sposobność powiedzenia mu, że ja i Femcia jesteśmy oburzone na Cenaderowskiego i że obie jesteśmy bardzo życzliwe panu Ludwikowi...

— Mnie się zdaje, proszę pani, że to ułoży się samo — rzekła doktorowa. — Zaczepiać pana Krukowskiego nie mogę, bo on zna nasze stosunki z domem państwa... Najlepiej zostawić to czasowi...

— Może pani ma sełuszność. Zresztą, jeżeli pan Ludwik zaczyna być zazdrosnym, to sprawa powinna wykelarować się w tych czasach...

— Sama przez się — wtrąciła doktorowa, zgóry ubolewając w duchu nad niepowodzeniem owej sprawy.

„Już ja widzę, że on zajął się Madzią od chwili jej przyjazdu; ale ani gonić za nim, ani też nawracać go Femci nie będę".

Niebawem pani podsędkowa przypomniała sobie, że tak Madzia, jak i jej matka, potrzebują spoczynku i — pożegnała doktorową. Panna Eufemja, przechodząc przez salon, zbliżyła się na palcach do łóżka Madzi i, ucałowawszy w powietrzu jej włosy, położyła na kołdrze jakiś biały kwiatek i — zawsze pełna poetycznego uroku — znikła za drzwiami.

„O, starzeje się panna Eufemja — rzekła do siebie, nie bez zadowolenia, matka Madzi. — Robi się przesadzona, szyjka żółknie, dwadzieścia siedem latek przeszło..."

Madzia już zaczęła podnosić się, siadać na łóżku, nawet czytać książkę. W ciągu ostatnich kilku dni zrobiła ciekawe spostrzeżenie. Oto ile razy zbliżał się czas południowego posiłku, na który przynoszono jej rosół, skrobany befsztyk i kieliszek wina, w ogródku działy się dziwne rzeczy. Niewiadomo

skąd zaczynały padać kamyki, potrącając gałęzie drzew, niekiedy tocząc się po dachu.

Zjawisko to Madzia tłumaczyła w sposób zarówno prosty, jak pesymistyczny. Murowany dom rodziców był stary i oczywiście zwolna rozsypywał się w gruzy, bo rodzice nie mieli go za co naprawić. Ale dlaczego proces rozsypywania trafiał się tylko w południe? Madzia i na to miała odpowiedź; sama natura szelestem padających kamyków mówiła do niej:

„Jadaj, wyrodna córko, jadaj mocne rosoły, pij wino, podczas gdy biedny twój ojciec nie ma bezpiecznego dachu nąd głową!...“

Czasami Madzia miała zamiar oświadczyć matce, że nie chce tak kosztownego posiłku i że wogóle nic jeść nie chce. Ale głód był tak silny, a zapach befsztyku tak ponętny, że, nie mogąc przezwyciężyć się, jadła — z sercem pełnem wzgardy dla siebie.

Pewnej nocy wybuchła krótka, ale gwałtowna burza; zdawało się, że woda zaleje ziemię, błyskawice spalą niebo, a grzmoty roztrzęsą miasteczko i już nic nie zostanie na świecie. Z rana jednak przekonała się Madzia, że wszystko stoi na miejscu, a dzień jest wyjątkowo piękny.

Pamiętny to był dzień; około dziesiątej bowiem, ojciec, przypatrzywszy się Madzi, rzekł:

— Panienka dziś wstanie.

Cóż to była za radość! Chłopak usługujący wyczyścił jej pantofelki, jak lustra, matka wyjęła z szafy perkalowy szlafroczek, który jakaś tajemnicza wróżka wyprała i obszyła nowemi koronkami

(po trzynaście groszy łokieć). Niańka wygrzała bieliznę, a kucharka obiecała usmażyć befsztyk na cały talerz.

Ubrano Madzię, otworzono szklane drzwi, ojciec wziął ją pod jedną rękę, matka pod drugą, i wyprowadzili ją na ogród. Dwa wróbelki, które przed chwilą wydzierały sobie leżące na ziemi piórko, na widok Madzi przerwały spór i zaczęły się przypatrywać. Potem uciekły, i zapewne zwołały inne ptaki, bo w jednej chwili ogród zapełnił się świergotaniem. Kasztan pękiem szmaragdowych liści potrącił Madzię w głowę, jakby chcąc zwrócić na siebie jej uwagę.

Jednocześnie powitała ją otwarta altanka, a czarna ze starości ławka wysunęła naprzód nogę, jakby pragnąc biegnąć naprzeciw niej. Każda wiśnia, jabłonka, grusza, każdy krzak malin i porzeczek, każda grządka truskawek, okrytych w tej chwili kwiatami, przypominały się Madzi; a nie mogąc zawołać, wabiły zapachem, albo wyciągały do niej zielonością okryte gałęzie.

Nawet kamień, który Madzia, będąc małą dziewczynką, wtoczyła kiedyś z bratem w kąt ogrodu, wynurzył się z cienia pod parkanem i patrzył na nią jak starzec, usiłujący przypomnieć sobie dawną znajomość.

Zaczęli się też zbierać ludzie. Kucharka pocałowała Madzię w rękę, chłopiec podał jej krzesło, a niańka okryła ją szalem. Skrzypnęła furtka od ulicy, i weszli, jeden za drugim, najdawniejsi przyjaciele rodziców. Ośmdziesięcioletni major z ogrom-

ną fajką na giętkim cybuchu, proboszcz, który ją chrzcił, podsędek. Proboszcz dał jej złoty medalik, podsędek pocałował w czoło, a jakiś krótko ostrzyżony młody człowiek, ze sterczącemi blond wąsikami, ofiarował jej półfuntowe pudełko angielskich cukierków, mówiąc:

— Może pani dobrodziejka śmiało skosztować, bo Eisenman przysiągł, że te farby wcale nie są szkodliwe...

Madzia nie wiedziała, co robić: czy brać od nieznajomego cukierki, czy witać kochanych gości, czy uciec w ogród, który ją wołał do siebie?...

Gdy zaś major, podobny z zarostu do osiwiałego niedźwiedzia, nie wyjmując fajki z ust, przytulił jej głowę do swych piersi i zamruczał:

— Coś ty nam zmartwienia narobiła, dziewczyno!...

Madzia rozpłakała się, a za nią matka, niańka i kucharka...

— Oho, ho!... — krzyknął major — już baby zaczynają?... Niema co tu popasać... Daj szachy, doktorze...

— Nie wiem, czy wypada tak obcesowo?... — rzekł proboszcz.

— Ależ bardzo prosimy — odezwała się matka Madzi.—Przecież straciliście panowie kilka tygodni.

— W takim razie — odparł ksiądz — przypominam, że na mnie kolej grać pierwszą partję z majorem...

— Przepraszam... — wtrącił podsędek.

— Proboszcz ma rację — przerwał major.

I odeszli do gabinetu doktora, gdzie po chwili rozległ się hałas szachów, wysypywanych na stół, i wrzaskliwy głos majora, który utrzymywał, że on powinien grać białemi.

— Losujmy, kochany majorze, losujmy — nalegał proboszcz.

— Los tylko głupim pomaga... — żadnych losowań!... Wczoraj ksiądz grałeś białemi!... — krzyczał major z takim gniewem, jakgdyby proboszcz godził na jego honor albo portmonetkę.

Ogrodowa furtka znowu otworzyła się, i na ulicy słychać było rozmowę:

— Nie przejedziesz, Luciu... o Boże!... — jęczał głos kobiecy.

— Tyle razy wjeżdżaliśmy tędy, siostruniu — odparł głos męski.

— Ale... o Boże!... Luciu...

— Figur nie stawia się na czterech polach, tylko na jednem! — huknął major.

— Co majorowi znowu! — irytował się proboszcz.

W furtce ukazała się osobliwa grupa. Na wózku dla paralityków, z parasolką w jednej, z koszykiem kwiatów w drugiej ręce, wjechała szczupła i żółta dama, w czarnej atłasowej sukni, obwieszona jubilerskiemi wyrobami. Na szyi miała złoty łańcuch i broszkę z szafiru, przy pasie ogromny złoty zegarek, na rękach po dwie złote bransolety. Wózek popychał znany już Madzi pan Krukowski, któremu co chwila wypadał z oka monokl.

Na widok tej pary, młody człowiek ze stercząc-

cemi wąsikami nagle cofnął się do saloniku, a potem do pokoju szachistów. Tymczasem zajechał wózek z damą, która już przypatrywała się Madzi przez binokle ze złotą rączką.

— Co za gość!... co za gość!... — zawołała doktorowa, biegnąc naprzeciw.

Wózek stanął obok Madzi, pan Krukowski zaś, pięknie skłoniwszy się, podał rekonwalescentce koszyczek, pełen konwalij i fiołków.

—Jakżem szczęśliwy, że widzę panią zdrową! — rzekł pan Krukowski i czule pocałował Madzię w rękę.

— Ładna, ładna!... — mówiła, krzywiąc się i lornetując Madzię, dama w wózku. — Powinnam była czekać, aż pani do mnie przyjedziesz, panno... panno...

— Magdaleno — wtrącił Krukowski.

— Ale Ludwik tak na mnie nalegał, tak ciągle wspomina o pani...

— Siostruniu!... — jęknął pan Ludwik.

— Czy nie mówię, że ładna?... — przerwała mu niecierpliwie siostra. — Twarzyczka w stylu... w stylu...

— Rafaelowskim — szepnął brat.

— Murylowskim — poprawiła siostra. — Ale i ta cię znudzi, jak inne...

— Siostruniu!... — wybuchnął brat, a zgromiony spojrzeniem, uciekł do pokoju szachistów.

— Pani miała tyfus? — zaczęła dama na wózku, obracając lornetkę. — Ciężka choroba, ale nie to, co moja... Od sześciu lat nie mogę zrobić kroku

o własnej mocy, przykuta do miejsca, zależna od ludzkich kaprysów. I gdyby nie ojciec pani, może już do reszty straciłabym władzę w rękach i nogach, a nawet życie, co, jak sądzę, nie wywołałoby wielkiego zmartwienia... Pani doktorowa, czy nie mogłabym prosić o szklankę wody z kropelką czerwonego wina?

— Może sodowej? — spytała matka Madzi.

— Owszem! — westchnęła dama. Gdy zaś zostały same z Madzią, rzekła:

— Możebyśmy podeszły tam... pod kasztan...

Madzia, pomimo osłabienia, potoczyła wózek pod kasztan.

— Siądź pani przy mnie... weź krzesło... — mówiła biadającym głosem dama. — Poznajmyż się bliżej, zanim... ach, Boże!...

Okrzyk ten wywołany został upadkiem kamienia, który niedaleko wózka uderzył w ziemię.

„Znowu wali się dom!...“ — pomyślała Madzia, spoglądając na słońce, które istotnie wskazywało czas posiłku.

Drugi kamyk przeleciał między gałęźmi kasztana.

— Boże, zabiją mnie!... — krzyknęła sparaliżowana dama.

Madzia schwyciła ją za głowę, zasłaniając własnem ciałem.

— Co to jest?... okropność... — wołała dama.

Trzeci kamyk uderzył w dach, z hałasem stoczył się na grzędę truskawek i — w tej chwili stał się cud. Zazwyczaj sparaliżowana dama, silnie ode-

pchnąwszy Madzię, o własnej mocy wyskoczyła z wózka i pędem pobiegła do salonu, krzycząc w niebogłosy:

— Luciu!... doktorze!... zabijają!..:

Jednocześnie za ogrodem rozległ się płacz małego chłopca i wołanie mężczyzny, który ofiarował Madzi pudełko cukierków angielskich:

— Jest!... mam cię, ośle!...

Gdyby na rynku powiatowego miasta Iksinów wybuchnął wulkan, nie byłoby większego ruchu w domu doktora, jak po tym rzeczywiście nadzwyczajnym wypadku. W jednej chwili gospodarz i gospodyni, służba, a nawet grający w szachy panowie znaleźli się w saloniku, obok sparaliżowanej damy, która, ochłonąwszy z nagłej trwogi, porwała Madzię w objęcia, wołając:

— Patrzcie, panowie... patrz, Luciu, oto bohaterka!... Własnemi piersiami zasłoniła mnie... przez nią odzyskałam władzę w nogach... Luciu — dodała, chwytając Krukowskiego za rękę — ta, albo żadna... rozumiesz?... Teraz ja ci to mówię!...

— Raniona pani jesteś?—zawołał major, wpadając z wielką fajką na chorą damę.

— Przeciwnie, uleczona! — odpowiedziała doktorowa. — Sama wysiadła z wózka i przybiegła tu z ogrodu.

— Zawsze była zdrowa... Ach, te baby!... — mówił gniewnie major.

— A mówicie, że niema cudów? — wtrącił proboszcz. Oto cud, który spełnił się w waszych

oczach, niedowiarki — ciągnął, pukając palcem w głowę cudownie uzdrowionej.

— Eh, co proboszcz bajesz! — odparł major, otaczając się chmurą dymu. — Wracajmy do roboty.

— Idźcie sobie, idźcie — rzekł doktór, podając rękę damie. — Weźno pan siostrę z drugiej stıony — zwrócił się do Krukowskiego.

W tej chwili wszedł do salonu młody człowiek ze sterczącemi wąsikami, ciągnąc za ucho chłopca, który w niebogłosy lamentował.

— Jest — mówił energiczny młody człowiek.— Syn felczera Flajszmana... osioł!... Zato, że nasz czcigodny doktór nie pozwala chłopom krwi puszczać, on, smarkacz, rzuca kamienie do ogrodu.

— Ja nie zato... — płakał chłopiec — ja do chorągiewki na dachu... Ja zawsze trafiałem w chorągiewkę... to inni ciskali w ogród...

Doktór wziął chłopca pod brodę, popatrzył mu w oczy i, pokiwawszy głową, rzekł:

— Oj ty, Flajszmanku... No, nie becz, ruszaj do domu, a swoim kolegom powiedz, żeby nie rzucali kamieni do ogrodu, bo im je każę wyzbierać.

— Dobrze, panie — wyszlochał chłopiec.

— A my na spacer — zwrócił się doktór do uzdrowionej damy. — Panie Krukowski, tylko szybko... Raz, dwa!...

— Nie mogę!... zabiją mnie!... ach, znowu straciłam władzę!... — jęczała dama, biegnąc między doktorem i bratem, którzy szli wyciągniętego kłusa.

— Czcigodny pan doktór jest zanadto pobłaż-

liwy — mówił młody człowiek do matki Madzi. — Za taką psotę Flajszman powinien był dostać rózgi...

— Za co? — zdziwiła się Madzia, przecież te kamienie wyleczyły ciężko chorą...

— Eh, chorą!... — odezwał się młody człowiek, wzruszając ramionami. Ona zdrowsza od nas obojga... — Pani pozwoli, że się przypomnę: Miętlewicz— mówił z ukłonem — właściciel kantoru do załatwiania interesów obywatelskich. Sam sobie wszystko zawdzięczam: nie mam bogatej siostry, któraby mnie utrzymywała i płaciła moje długi...

— Panie... panie... co też pan mówi? — wtrąciła zgorszona doktorowa, słysząc, że młody człowiek przypiął łatkę Krukowskiemu i, domyślając się powodów tej niechęci.

— Sam, wszystko sam... daję pani słowo — prawił pan Miętlewicz. — Powiedziałem sobie: ukształcę się — ukształciłem się...

Doktorowa cicho westchnęła.

— Powiedziałem sobie: rzucę powiat — rzuciłem powiat; zrobię majątek i — robię go... Ja, pani, cokolwiek postanowię — wykonam. — Umiem być cierpliwy...

Madzia trochę pobladła i oparła się o krzesło; co widząc, matka przeprosiła pana Miętlewicza i wyprowadziła córkę do pokoju.

— Krukowski jest bardzo miły i dobry człowiek — mówiła do Madzi. — Uprzejmy, delikatny... spodoba ci się, gdy go bliżej poznasz...

Ale Madzia była tak znużona, że w tej chwili

nie obchodził jej ani Miętlewicz, ani Krukowski, ani nawet jego cudownie wykurowana siostra.

Tymczasem eks-paralityczka, ciągniona przez doktora i brata, obeszła kilka razy ogród, przyznając, że chodzić może. Gdy ją zaś uwolniono od wprawy w chodzenie, o własnej sile weszła do saloniku i, upadłszy na kanapę, rozpływała się w pochwałach dla Madzi, której zawdzięcza zdrowie i życie. Pochwał tych pan Krukowski słuchał z zachwytem, pan Miętlewicz z miną kwaśną. Gdy zaś doktorowa wróciła od córki, a eks-paralityczka zaczeła jej coś mówić półgłosem, wskazując złotą lornetką na brata, zmieszany pan Krukowski wyszedł do pokoju szachistów, a pan Miętlewicz, bez pożegnania, wymknął się przez ogród do miasta.

Był czegoś tak zły, że zaraz za furtką wytargał uszy dwom małym chłopcom, którzy przez otwory w parkanie zaglądali do ogrodu doktora.

III.

Pierwszy projekt.

Madzia szybko powracała do zdrowia. W połowie maja wyszła nawet parę razy do miasta za sprawunkami. Wówczas matka przypomniała jej, że jutro jest niedziela, i należy podziękować Bogu za otrzymane od Niego dobrodziejstwa.

— Zdaje mi się, kochanko — dodała matka — że trochę zaniedbujesz modlitwe...

Powiedziawszy to łagodnym tonem, matka wyszła, zostawiając Madzię zawstydzoną.

Madzia dotychczas modliła się przygodnie: kiedy ogarnął ją smutek, gdy widziała ludzkie nieszczęście, czasem — gdy zachodziło słońce, oblewając purpurą obłoki, czasem, gdy odezwała się sygnaturka w kościele. Raz nawet mówiła pacierz, zobaczywszy, jak wróbel ustawił na płocie cztery małe wróbelki i karmił je okruchami, które im Madzia rzucała.

Zdawało jej się, że taka modlitwa, która uspokaja jej serce, wystarcza. Lecz uwaga matki zrobiła na niej wrażenie. Więc choć w duszy wątpiła: czy w kościele można gorliwiej modlić się, aniżeli pod otwartem niebem, natychmiast pobiegła do swych pudełek, ażeby wybrać z nich wstążki i aksamitki, w których jej najlepiej będzie jutro do twarzy...

Nazajutrz była gotowa przed dziesiątą. Lecz ogarnęła ją trwoga na myśl, że musi przejść przez środek kościoła między tłumem osób, z których każda będzie miała prawo powiedzieć:

„Patrzcie, oto idzie Madzia, którą Pan Bóg ocalił od śmierci. Ale nie widać po niej, ażeby wchodziła tu z prawdziwą pobożnością“.

Bo niema się co zapierać: Madzia szła, aby spełnić wolę matki, bynajmniej nie ze szczerego natchnienia. Co ją tem bardziej gnębiło, że nawet ojciec włożył czarny surdut (nieco wytarty na szwach) i wydobył z kąta laskę ze srebrną gałką.

„O, jakaż jestem nikczemna!... — mówiła. —

Ten święty starzec, taki dobry, taki filozof, będzie modlił się za mnie, a ja, przewrotna, waham się"...

Kiedy rozległ się głos dzwonu, wołającego na sumę, i gdy matka włożyła kapelusz i szal turecki, Madzia nagle rzekła:

— Mateczko, ja pójdę trochę później za wami... Tak boję się odrazu wejść między ludzi... I jeszcze chciałabym pierwej wstąpić do kaplicy, gdzie jest tablica babci... Moja mamo!...

— Przyjdź, moje dziecko, kiedy chcesz i jak chcesz — odpowiedział ojciec.

— Oj, Feliksie!... — wtrąciła matka, grożąc jej palcem.

— Wierz mi, matko, że ją Pan Bóg prędzej dojrzy w ciemnej kaplicy, aniżeli nas przed wielkim ołtarzem... Zresztą ma dziewczyna rację, że unika tych elegantów... O, spojrzyj-no...

I wskazał przez okno na róg ulicy, gdzie kilkoro dzieci z podziwem przypatrywało się panu Miętlewiczowi, ubranemu w jasny garnitur i świeżutki cylinder.

Rodzice wyszli; matka, trzymając oburącz wielki modlitewnik Dunina, ojciec, machając laską. Zakryta firanką, Madzia zobaczyła, jak zastąpił im drogę i ukłonił się cylindrem pan Miętlewicz, jak zapytał o coś i chciał biec w stronę ich domu; jak ojciec wziął go pod rękę, i poszli wszyscy ku rynkowi, odprowadzani zdaleka przez gromadę dzieci. W chwilę później ukazał się na drugim rogu ulicy pan Krukowski, odziany w strój granatowy i kapelusz panama, obok wózka, na którym jechała jego

siostra, popychana przez służącą. Wnet wózek i pan Krukowski przyspieszyli kroku i połączyli się z rodzicami Madzi, a rozsypane gromady dzieci połączyły się także, tworząc jakby łańcuch tyraljerów bosych i obutych, w kapeluszach, czapkach z daszkami i w czapkach z barankiem, w długich kapotach i krótkich spencerkach, w koszulach bez majtek lub w majtkach, z których wyglądały koszule.

„Jakie tu mnóstwo dzieci!“... — pomyślała Madzia.

Kiedy bocznemi ulicami zbliżyła się do kościoła, już na starym cmentarzyku klęczał tłum wiejskich kobiet, podobny do różnobarwnych kwiatów, nisko wyrastających przy ziemi. Z drugiej strony wielkich drzwi schylała się gromada chłopów w ciemnych sukmanach, a między chłopami i kobietami, od strony rynku, zebrała się garstka miejscowej inteligencji. Było tam paru urzędników powiatowych, sekretarze: sądowy i komisarski, dependent od rejenta, prowizor apteczny i jeszcze kilku mniej znacznych. Wszyscy patrzyli na rynek, lustrując młode mężatki i panny.

Madzia, zdaleka okrążywszy ich, wpadła przez furtkę na cmentarzyk, stamtąd przecisnęła się między kobietami do bocznych drzwi i z bijącem sercem weszła do kaplicy, gdzie skryła się w najciemniejszym kącie. Zdawało jej się, że cały tłum miejscowej inteligencji, w binoklach, ciemno-zielonych rękawiczkach, z laseczkami i parasolkami wpadnie za nią, zacznie zaglądać jej pod kapelusz i wypowiadać uwagi, z których śmieją się głośno wszyscy, lecz

w których nic zabawnego nie może znaleźć postronny słuchacz.

Madzia uklękła, wciśnięta między konfesjonał i kolumnę, i patrzyła na środek kościoła. W ławce, przy której stał, przestępując z nogi na nogę, pan Miętlewicz, matka Madzi, pobożnie chwiejąc głową, czytała Dunina; ojciec oparł głowę na rękach i, zamyślony, patrzył w okno nad wielkim ołtarzem, skąd padały smugi światła; nareszcie — siedział wyprostowany major.

Bliżej, w ławce, obok której pan Krukowski oglądał się przez monokl na wszystkie strony, podsędkowa pokazywała jakąś modlitwę jego sparaliżowanej siostrze; podsędek drzemał, a panna Eufemja, nieco zwrócona w stronę Krukowskiego, patrzyła na „Chrzest w Jordanie“, wymalowany na sklepieniu. O kilka kroków dalej stał na środku kościoła młody blondyn z grzywką, w pocztowym uniformie, i ponuro spoglądał jużto na Krukowskiego, jużto na pannę Eufemję.

Proboszcz przy wielkim ołtarzu, drżącym głosem śpiewał sumę, a za każdym razem, po małej przerwie, odpowiadał mu z chóru stary organista, przygrywając na fisharmonji, w której jeden ton odzywał się fałszywie, a parę wcale się nie odzywało. Zaś po dłuższym śpiewie przy ołtarzu i po dłuższej ciszy przy fisharmonji wybuchnął nagle dosyć zgodny chór męskich i kobiecych głosów:

„Tobie cześć, Tobie wieczna chwała, Ojcze Boże,
Coś stworzył wszystkie światy i rządzisz wszystkiemi.. “

Ciżba ludu z głuchym szmerem upadła na twarze, bijąc się w piersi, albo wznosząc ręce do góry; przy drzwiach rozległo się szlochanie niemowlęcia, które, nie umiejąc jeszcze mówić, chwaliło Boga płaczem; przez wybite szyby słychać było świergot ptaków. Nawet podsędek ocknął się, sztywny major wydobył malutką książeczkę, pan Krukowski przestał się oglądać. Zdawało się, że przez tłum przeleciała fala pobożnego uniesienia i tylko — nie dotknęła Madzi.

„O, jakże jestem niegodziwa! — myślała, — ażeby za tyle dobrodziejstw nie odmówić jednego pacierza“...

Śpiew na chórze ucichnął i ludzie ochłonęli. Ten i ów podniósł się, pan Krukowski znowu uzbroił oko w monokl, na twarzy młodego człowieka w pocztowym uniformie odmalowała się pogarda. Jednocześnie obok Madzi jacyś dwaj panowie zaczęli rozmawiać szeptem:

— Wiesz pan, ile wziął za konsyljum od Rubinrota?... Rubla!... Słyszałeś pan?...

— Nowina!... — odparł drugi. — Ten warjat zawsze tak robi, i nietylko sam jest wiecznie bez grosza, ale i innym szkodzi.

— Brzozowskiemu...

— I Brzozowskiemu, i felczerom, i mnie. Przecież jabym tu bez butów chodził, gdyby mi przyszło codzień ekspedjować jedną dozę rycynowego olejku, a czasami parę proszków chiny.

— Nie dba o cudze interesa...

— Nie dba o własne dzieci, powiedz pan...

Przecież gdyby się zjechały tu we troje, nie wiem, czy wystarczyłoby mu na obiad dla nich...

Madzia myślała, że zemdleje... To o jej ojcu mówiono... To jej ojciec nie mógłby dzieciom kupić obiadu, gdyby zjechały się razem...

„O Boże... Boże... Boże!“... szepnęła, czując, że łzy cisną się jej do oczu.

Wszystkie trwogi uderzyły jej na serce. Za jej pensję płaciła nieboszczka babka, ale rodzice wydawali po trzysta rubli rocznie na edukację brata, a dziś bezmała tyle kosztuje ich Zosia, choć nieboga nawet nie uczy się w Warszawie, tylko w mieście gubernjalnem. Więc skąd tu brać? Czy z tych sześciu morgów ziemi, z której połowa plonów należy do gospodarza, co ją uprawia? Czy z praktyki lekarskiej ojca? Ależ ojciec od najbogatszych pacjentów przyjmował tylko po rublu; w jego gabinecie bywali biedacy, którzy nie mogli nic płacić, a z miasta — czasami przynosił garść miedziaków i dziesiątek, a czasem nic.

I czy podobna dziwić się, że w tak ciężkich warunkach matka pożyczyła pieniędzy od siostry Krukowskiego, a podczas choroby Madzi wzięła od niej samej trzydzieści rubli na opędzenie kosztów?

Tym sposobem wyczerpał się fundusik, który Madzia przywiozła z Warszawy, i dziś — skąd matka bierze pieniądze na jej wina, befsztyki i rosoły?... Skąd! Z domowych oszczędności, bo Madzia już spostrzegła, że matka wcale nie jada mięsa, a ojciec bardzo rzadko, mówiąc, że najzdrowsze są potrawy chłopskie.

Więc dlaczegóż jej nie dadzą tych najzdrowszych pokarmów?...

Cała historja pani Latter stanęła jej w pamięci. Tam także był brak stopniowo rosnący; tam także trzeba było zaciągnąć długi — na dzieci!...

Ach, ten wieczór, kiedy pani Latter błagała Madzię o ułatwienie ucieczki... A ten jej niepokój, wyrazy bez związku, obłąkane oczy... I nazajutrz taka okropna śmierć... śmierć zato, że kochała dzieci!...

Madzię ogarnęła rozpacz. Jeżeli taki był koniec życia kobiety, mającej tylko dwoje dzieci, której majątek ceniono na dziesiątki tysięcy rubli, co może się stać z jej rodzicami, którzy mają dzieci aż troje i żadnego majątku?...

Zacisnęła splecione ręce, jak bezbronny człowiek, na którego spada cios, podniosła oczy wgórę i przez łzy — zobaczyła w wielkim ołtarzu obraz Matki Boskiej, malowany ciemnemi farbami, w srebrnej koronie.

— Ratuj mnie... oświeć mnie, Przenajświętsza Panno... — szepnęła Madzia, ledwie powstrzymując się od łkań.

I nagle stała się rzecz niemożliwa dla mędrców, a zwyczajna dla dusz prostych. Przenajświętsza, która patrzyła dotychczas na siermiężny tłum, klęczący u Jej ołtarza, spojrzała na bok, i głębokie jak nieskończoność Jej oczy przez chwilę spoczęły na Madzi. Potem znowu zwróciły się na ciżbę ludu.

Madzia skamieniała.

„Czy rozum tracę?“... — przebiegło jej przez głowę.

A jednak nie mogła wątpić, że bolesny okrzyk jej serca usłyszano w królestwie wiekuistego spokoju. Na modlitwę odpowiedziało stamtąd jakieś echo, i w duszy Madzi, po wybuchu rozpaczy, zapanowało ukojenie.

„Już dam sobie radę“ — pomyślała, czując otuchę, choć jeszcze nie widziała rady.

W tej chwili doktorowa szepnęła coś do stojącego wciąż obok ławki Miętlewicza. Interesujący młody człowiek skinął głową, podniósł wysoko glansowany cylinder i z trudem zaczął przeciskać się przez tłum, w stronę Madzi. Na nieszczęście, manewr ten spostrzegł pan Krukowski, który oddawna miał baczne oko i na ławkę doktorowej i na postępki jej cylindrowego sąsiada. A ponieważ stał bliżej kaplicy, więc w paru susach znalazł się przy Madzi, szepcąc:

— Mama prosi panią do siebie...

Madzia podniosła się z klęczek, elegancki pan Krukowski podał jej rękę i zaprowadził do matki, robiąc półokrąg, jakgdyby zajeżdżał czterokonną karetą. Potem, usadziwszy pannę przy rodzicach, stanął skromnie obok niej, ze zwiniętym w trąbkę kapeluszem panama.

Osłupiały Miętlewicz zatrzymał się na środku kościoła. Nie stracił ani jednego z okrągłych ruchów antagonisty. Widział, jak pan Krukowski podaje rękę Madzi (co jemu samemu nigdyby na myśl nie przyszło), widział, jak lewym łokciem odsuwa

tłum, jak na każdym kroku troszczy się o nią (zapominając, że jest przecież w kościele), jak odsadza się ciałem, a pochyla ku niej głową...

Wszystko to widział i — jeszcze domyślał się, że pan Krukowski dlatego robi tak wyrafinowanie skromną minkę, ażeby zbagatelizować jego, pana Miętlewicza, który przecież wszystko sobie samemu zawdzięczał!

Gdyby uczucia pana Miętlewicza dały się w owej chwili zamienić na dynamit, kościół w Iksinowie, okalające go budynki, a może część rynku należałyby dziś do wspomnień. Nie mogąc jednak zetrzeć na atomy pana Krukowskiego, Miętlewicz zdecydował się wbić mu w serce nóż — moralny. Więc zaczął znowu przeciskać się przez tłum, w stronę kaplicy, zbliżył się do ławki podsędków i, — odwróciwszy się tyłem do Krukowskiego, zaczął żywą rozmowę z panną Eufemją.

Krukowski, obok Madzi, zachowywał się tak, jakgdyby go nic nie obchodził ani Miętlewicz, ani jego śmiały atak na pannę Eufemję. Natomiast postępowanie Miętlewicza niepokoiło młodego blondyna z grzywką, w pocztowym uniformie. Przetarł oczy, rozsunął grzywkę nad czołem, jakby niedowierzając nietylko swoim zmysłom, lecz i wnioskującym zdolnościom. Ale gdy spostrzegł, że Miętlewicz coraz poufalej rozmawia i coraz czulej spogląda na pannę Eufemję, i gdy jeszcze zauważył na jej cudnem obliczu odcień zadowolenia, roześmiał się gorzko i z gwałtownemi ruchami opuścił świątynię.

Wszystkich tych, z szybkością błyskawicy następujących po sobie wypadków, Madzia nie dostrzegła, pogrążona w wizji, wobec której zniknął dla niej świat rzeczywisty. Nie słyszała, że na chórze, skutkiem niepojętej omyłki, głosy męskie zaczęły inną pieśń, a głosy żeńskie inną; co wywołało taki zamęt, że organista schwycił się za głowę, pobożni zaczęli spoglądać na chór i nawet obejrzał się zgorszony proboszcz. Nie widziała, że major nagle wyskoczył z ławki, że dziadek w czerwonej pelerynce obudził podsędka, i że przy wielkim ołtarzu ukazał się baldachim w formie parasola, który niósł rejent, staruszek, mający długi nos, wiecznie zdziwione usta i nadzwyczajnie wysokie kołnierzyki, podwiązane kolosalnym białym halsztukiem. Dzięki temu halsztukowi, dymom kadzidła i oświetleniu, które z okna padało mu na twarz, rejent chwilami wyglądał jak cherubin, mający bardzo podeszłe lata i bardzo małe skrzydła. Przynajmniej takie wrażenie robił na pani rejentowej, która zawsze wpadała w ekstazę, ile razy jej mąż dźwigał nad celebrantem baldachim, ukazując zdziwioną twarz, to z jednej, to z drugiej strony pozłoconego drążka.

Proboszcz zdjął z ołtarza monstrancję i, otoczony niebieskiemi obłokami kadzidła, zaintonował:

„U drzwi Twoich stoję, Panie...“
„U drzwi Twoich stoję, Panie...“

powtórzył ogromny głos ludu. Fala tłumu zakołysała się między wielkim ołtarzem i chórem i zaczęła bić we drzwi, cofając się i posuwając naprzód. Na

chwilę zrobiło się pusto przed ołtarzem, i znowu napłynęła powódź ludzka; znowu pusto i — fala, uderzywszy w ściany boczne, zalała stopnie ołtarza. Znowu pusto na środku kościoła, gdzie ukazał się proboszcz, podtrzymywany przez majora i podsędka i — znowu tłum zalał wolne miejsca, gromadząc się poza celebrantem i towarzyszącymi mu starcami.

Niekiedy zdawało się, że rozkołysana ciżba jest rzeczywistą falą, która kurczy się i cofa wobec złotej monstrancji; jak przed wiekami pod Chrystusową stopą uciszało się burzliwe jezioro...

Madzia z matką przyłączyły się do procesji. Posunęły się kilka kroków naprzód, i — tłum odrzucił je parę kroków wtył, wciąż posuwając się i cofając, w takt pieśni i bijących dzwonów.

W tej chwili Madzia usłyszała obok głos dziecięcy:

— Śmigaj, Antek!...

— Rrru!... — odpowiedział drugi i, z głową pochyloną, jak do bodzenia, rzucił się w najgęstszy tłum, a za nim jego kolega, rozpychając ludzi rękoma, jak żaba, która daje nurka.

— Rrru!... — odezwał się nieco dalej trzeci głos, i znowu ludzie zaczęli się odrzucać od siebie, jakby ich kto tęgo potrącał.

— A, łajdaki, Boże odpuść, antychrysty potępione!... — odezwała się półgłosem jakaś babina. — Żeby też nikt nad bestyjstwem nie miał dozoru...

Madzi nagle stanęła w pamięci nieprzeliczona gromada dzieciaków. Był między niemi ten zapłakany, który rzucał kamyki do ich ogrodu, i ci, któ-

rzy biegli za wózkiem siostry pana Krukowskiego, i ci, co podziwiali cylinder pana Miętlewicza. I jeszcze owi, których codzień można było widywać na gałęziach drzew, lub na szczytach parkanów, i tacy, którzy tarzali się w ulicznym piasku, brodzili po wodzie z zawiniętemi do kolan majtkami, albo, w czasie ulewnego deszczu, wystawali pod rynną, bijąc się o lepsze miejsce.

Wszystko to były dzieciaki zaniedbane, i Madzi błysnęła myśl:

„Założę tu szkołę elementarną!“...

Gorąco oblało ją z radości.

„Mogę zebrać co najmniej setkę dzieci... — mówiła do siebie. — Gdyby każde płaciło choć po rublu na miesiąc, miałabym sto rubli miesięcznie... Całe utrzymanie!... I jeszcze mogłabym pomagać mamie, a Zosię wysłać do Warszawy... O, dziękuję Ci, Matko Boska, boś Ty mnie natchnęła...

— Co tobie, Madziu? — szepnęła, patrząc na nią, matka.

— Mnie?

— Jesteś taka rozpromieniona...

— Modliłam się.

Matka chciała ją pochwalić, lecz w tej chwili spostrzegła eks-paralityczkę, którą prowadził z jednej strony doktór, z drugiej pan Krukowski.

„Ach — pomyślała doktorowa — widocznie podobał jej się pan Ludwik i nie umie biedactwo ukryć tego... Starszy wprawdzie od niej — westchnęła — ale dobrze wychowany i majętny... Niech się dzieje

wola boska!... nie będę ani przymuszać, ani bronić"...

Teraz przyszła Madzi uwaga, że jednakże ona sama stu dzieci uczyć nie może. W takim razie musi poprzestać tylko na pięćdziesięciu rublach miesięcznie. Ale co robić z pozostałą resztą dzieciaków, które niezawodnie będą tłoczyć się do takiej szkoły?

„Wiem!... — rzekła w duchu — przyjmę Femcię do spółki, boć ona biedaczka nieraz narzekała, że nie ma pola do pracy i jest ciężarem dla rodziców... O, dzięki Tobie, Panno Przenajświętsza, Ty mi zsyłasz takie pomysły"...

IV.

Serca zaczynają fermentować.

Madzia ocknęła się. Stały z matką na cmentarzyku obok wielkich drzwi. Procesja wróciła do kościoła, ludzie zaczęli się rozchodzić. Pan prowizor, dwaj sekretarze, dependent rejenta i inna, mniej znaczna młodzież, opierając się na laskach i parasolach, przypatrywała się pannom i szeptem robiła uwagi. Opodal stał posępny blondyn w pocztowym uniformie, czekając na kogoś.

Madzia już nie bała się tych panów, nawet nie raziły jej natrętne spojrzenia. Co ją to mogło obchodzić! ona przecież zakłada szkółkę elementarną, chce zapewnić byt sobie i rodzicom, a tamci panowie niech patrzą, niech się naigrawają z niej.

„Jestem przecież kobietą samodzielną!“ — pomyślała, z wdzięcznością przypominając sobie pannę Howard, która tyle pracy wkładała w to, ażeby zrobić kobiety istotami samodzielnemi.

Nadszedł ojciec, który wciąż z panem Krukowskim prowadził eks-paralityczkę.

— Luciu... doktorze... zmiłujcie się!... Czuję, że nie zrobię już ani kroku... Zupełnie straciłam władzę...

— Nie, kochana pani, musisz dojść o własnych siłach do domu — odpowiedział doktór.

Z miny pana Krukowskiego było widać, że chętnie posadziłby siostrę na wózku i oddał pod opiekę służącej.

W wielkich drzwiach ukazała się rodzina podsędków, a za nimi pan Miętlewicz. Już włożył swój lśniący cylinder na głowę, lecz, zobaczywszy państwa doktorów, zdjął go znowu i z gracją zaczął się do nich zbliżać.

— Panie hej!... panie hej!... — nagle zawołał do niego posępny młody człowiek w pocztowym uniformie.

— Nie mam czasu!... — odparł Miętlewicz, niezadowolony ze zbyt kordjalnego powitania przy tylu osobach.

— Ale ja mam czas i interes do pana — odpowiedział blondyn, chwytając Miętlewicza za rękę.

Żaden wschód, żaden zachód słońca nie był tak purpurowym, jak w tej chwili oblicze pięknej Eufemji. Panna podsędkówna przybiegła do Madzi i, schwyciwszy ją pod rękę, szepnęła:

— Moja droga, idźmy naprzód... Boję się awantury... Ten Cynadrowski...

I wyszły za bramę, przeprowadzane melancholijnemi spojrzeniami pana Krukowskiego, który z doktorem musiał odprowadzać siostrę.

— Co się stało, Femciu?... — zapytała Madzia.

— Nic... nic... Proszę cię, mów co do mnie...— odpowiedziała podsędkówna.

— O, nawet ważną rzecz chcę ci powiedzieć— rzekła Madzia.

— I ja tobie, ale kiedy indziej... Oświadczył ci się Miętlewicz?...

— Mnie?... — zapytała zdumiona Madzia, zatrzymując się na rynku. — A on poco miałby mi się oświadczyć?...

— Poto, ażebyś za niego wyszła.

— Przeżegnaj się, Femciu!... Ależ ja ani myślę iść zamąż...

— Jakto, nie wyszłabyś nawet za Krukowskiego? — rzekła panna Eufemja.

— Za nikogo — odparła Madzia tonem tak szczerym, że panna Eufemja nie mogła powstrzymać się od ucałowania jej na środku miasta.

— Więc co masz mi powiedzieć?... Czy zostawiłaś kogo w Warszawie?... — spytała panna Eufemja.

Madzi wystąpił na twarz delikatny rumieniec.

— Moja Femciu — odparła — daję ci słowo, że o nikim nie myślę... o nikim w świecie... — dodała.— Chcę ci tylko coś zaproponować. Ale że teraz nie mamy czasu, więc przyjdź do nas po obiedzie.

W tej chwili minął obie panny w odległości kilku kroków pan Miętlewicz, któremu towarzyszył młody człowiek w pocztowym uniformie. Zdawali się być wzburzeni i rozmawiali tak głośno, że Madzia usłyszała kilka wyrazów:

— Więc mówisz, że nie?... — pytał młody człowiek.

— Ależ, jak Pana Boga kocham, tak nie! — odpowiedział Miętlewicz.

Panna Eufemja zamyśliła się. Potem roześmiała się nienaturalnym głosem i prędko rzekła do Madzi:

— Odpowiedz: tak, czy nie?...

— O czem mówisz? — zdziwiła się Madzia.

— Tak, czy nie?... — nalegała panna Eufemja, niecierpliwie tupiąc drobną nóżką.

— Więc: nie — odparła Madzia.

— Tak i ja sądzę — rzekła panna Eufemja.— Podli są mężczyźni!... z wyjątkiem ludzi, zajmujących bardzo skromne stanowiska — dodała z lekkiem westchnieniem. — No, ale bądź zdrowa!...

Madzia nie mogła wyjść z podziwu. Lecz, że w tej chwili jej myśl była zajęta projektem szkoły elementarnej, więc zapomniała o dziwnem zachowaniu się panny Eufemji, a nawet o niej samej.

Około godziny trzeciej, na ulicy, przy której stał dom doktora, z dwu przeciwległych końców spostrzegli się nawzajem dwaj panowie: Krukowski w kostjumie granatowym i Miętlewicz w jasnym. Pan Krukowski trzymał w palcach mały przedmiot.

zabezpieczony papierem; pan Miętlewicz niósł duży przedmiot, zawinięty w papier, pod pachą.

Obaj byli równo oddaleni od furtki doktora i obaj jednocześnie zatrzymali się na stanowiskach.

Pan Krukowski myślał:

„Zaczekam, aż wejdzie ten gbur, ażebym nie potrzebował ustępować mu miejsca w furtce...“

Zaś pan Miętlewicz mówił do siebie:

„Czego on tam stoi, ten dubelt na cienkich nogach?... Już widzę, że coś traguje, pewnie dla panny Magdaleny... Niechże odda pierwszy swój prezent, a potem zobaczymy: kto z nas lepszy?“

Zaczął czytać szyld nad sklepem z bułkami, później przypatrywać się felczerskim talerzom, a nareszcie odwrócił się i zniknął na zakręcie niebrukowanej ulicy.

„Boi się mnie... to dobrze!“ — pomyślał pan Krukowski i, z miną triumfatora, wszedł przez furtkę.

Państwo Brzescy byli po obiedzie. Doktorowa odpoczywała na fotelu w saloniku, doktór w ogrodzie palił tanie cygaro, major z podsędkiem grali w altanie w szachy, a Madzia spacerowała po wszystkich pokojach, niecierpliwie oczekując na Femcię. Gdy przez otwarte drzwi wyjrzała do ogrodu, nagle stanął przed nią Krukowski i, z pełnym elegancji ukłonem, podał niewielki bukiecik róż. Było kilka białych, dwie herbaciane, jedna żółta i jedna amarantowa.

— Siostra moja — rzekł, robiąc wdzięczne ruchy nogami i krzyżem — ośmiela się złożyć pani te kwiaty.

Złotawa twarz Madzi pokryła się rumieńcem. Dziewczyna była tak uszczęśliwiona bukiecikiem i tak zmieszana pokorą ofiarodawcy, że omal nie zapomniała wyszeptać:

— Dziękuję...

A w duszy rzekła:

„Jaki on nieśmiały... jaki delikatny..."

I serce jej poczęło szybciej bić dla pana Krukowskiego.

Doktorowa przyniosła szlankę wody i pomogła Madzi ustawić bukiecik na honorowem miejscu w saloniku. Gdy zaś matka odeszła, a pan Krukowski został sam z Madzią, rzekł, czule patrząc jej w oczy:

— Jaka pani była dziś smutna w kościele?

— Ja?... — odparła, znowu rumieniąc się. — Pan mnie widział?...

— Miałem to szczęście, a nawet... nierównie większe: zdawało mi się, że podzielam smutek pani.

— O, nie... owszem... ja byłam dosyć wesoła— tłumaczyła się Madzia, z obawy, ażeby pan Krukowski nie odgadł jej trosk o rodzinę.

— Więc może to było rozmarzenie, do którego usposabia nasz kościołek? Dusze piękne wszędzie umieją marzyć...

„Jaki on grzeczny!" — pomyślała Madzia, czując wdzięczność dla największego eleganta w Iksinowie.

W tej chwili energicznym krokiem wpadł do ogrodu spotniały pan Miętlewicz. Ujrzawszy Ma-

dzię, wydobył z pod pachy duży przedmiot, owinięty w papier i, podając go, rzekł:

— Prawdziwy piernik toruński... Raczy pani przyjąć... to bardzo zdrowy smakołyk...

Madzia zmieszała się, ale jeszcze więcej... sam pan Miętlewicz. Dostrzegł bowiem, że wąskie usta Krukowskiego ułożyły się do uśmiechu, a z tego domyślił się, że palnął bąka.

Trzymał w ręku nieszczęsny piernik, nie wiedząc, co z nim począć. Usta mu drżały, oko stanęło słupem, na czoło wystąpił jeszcze obfitszy pot.

„Jaki on biedak zakłopotany!“ — pomyślała Madzia i, biorąc od Miętlewicza piernik, rzekła:

— Bardzo dziękuję... wielką zrobił mi pan niespodziankę, bo ja bardzo to lubię...

W oku Miętlewicza błysnął triumf, a bystry dostrzegacz, pan Krukowski, pomyślał:

„Anioł, nie kobieta... — Ona — lub żadna...“

Pan Miętlewicz zbyt prędko odzyskał werwę, ażeby nie zasypać się po raz drugi.

— Piękny mamy dzień — rzekł, usiłując niedopuścić do rozmowy Krukowskiego. — Bardzo ładny dzień, prawda, pani?

— Rzeczywiście...

— Możebyśmy się tak... przeszli po ogródku... Bardzo ładnie wygląda ogródek... Służę pani — wypowiedział jednym tchem Miętlewicz, ostentacyjnie podając rękę Madzi.

Tym razem Madzia otworzyła zdumione oczy, a subtelny pan Krukowski przygryzł usta.

— Oj!... — mimowolnie jęknął pan Miętlewicz,

odgadując, że musiał zrobić coś bardzo nie wporę. Więc stanął z wygiętem ramieniem, nie wiedząc, czy je podać, czy cofnąć, a na czoło wystąpiły mu nadzwyczajnie wielkie krople potu.

— Bardzo dobrze, przejdźmy się — odpowiedziała Madzia, szybko podając mu rękę.

A w duchu rzekła:

„Biedak, nieobyty w towarzystwie... Jakie on musi męki przechodzić!...“

I pełne litości serce uderzyło szybciej, tym razem dla pana Miętlewicza.

Wtem na ścieżce ogródka zaszeleściła damska suknia. To biegła panna Eufemja, nieco rozgorączkowana widokiem dwu mężczyzn, z których jeden był niedawno, a drugi powinien być jej wielbicielem.

— A, niedobra Madziu, zdradziecka!... — zawołała panna Eufemja. — Obiecałaś czekać na mnie, ja mam tyle do powiedzenia, a ty spacerujesz z panem Miętlewiczem?...

Panny padły sobie w objęcia, z czego korzystając, Miętlewicz usunął się od Madzi tak daleko, że już nie mogłaby mu podać ręki.

„Teraz moda chodzić pod rękę tylko w kościele, nie w ogrodzie“ — myślał nieszczęśliwy, życząc Krukowskiemu, ażeby na jego głowę padły wszelakie klęski.

Panny wzięły się pod ręce i zaczęły szybko chodzić, co zmusiło pana Krukowskiego do przypatrywania się szachistom, a pana Miętlewicza do naśladowania go.

V.

Wspólniczka.

Na końcu ogrodu pod kasztanem była ławeczka; tam panna Eufemja zaciągnęła Madzię, mówiąc:

— No, à teraz powiedz, jaki miałaś do mnie interes? Łatwo pozbyłyśmy się tych panów — dodała tonem, który nie oznaczał zadowolenia.

— Może obrażą się?... — lękliwie zapytała Madzia.

— Dajże spokój!... — odparła panna Eufemja, wyciągając zgrabnie obute nóżki i wachlując się liściem kasztana. — Pan Krukowski udaje dla mnie obojętnego, więc musi nas unikać, a pan Miętlewicz obawia się asystować mi w obecności tamtego.

— Oni obaj kochają się w tobie? — zapytała Madzia.

— I oni i... inni!... Ten sekretarz pocztowy, co... wiesz, tak się nieładnie nazywa... szaleje z zazdrości... Nawet mówiono, że wikary... Ale mniejsza... powiedz, o czem chciałaś... — dokończyła panna Eufemja.

— Tylko Femciu... sekret!...

— Bądź spokojna. Komuż go wreszcie powiem?...

— Twojej mamie...

— Och... — westchnęła panna Eufemja, w sposób, który oznaczał, że ze swoją matką nie dzieli się tajemnicami.

Madzia zamyśliła się.

— Wiesz — rzekła po chwili — otworzę tu szkółkę elementarną.

Pannie Eufemji wypadł z rąk liść kasztanu. Otworzyła oczy, cudne, jak niebo, i — jeszcze dalej wysunęła drobne nóżki.

— Ty... Madziu?...

— Ja. Cóż w tem złego?

— Zlituj się... — mówiła panna Eufemja, zniżając głos. — Przecie u nas jest nauczyciel elementarny, i wiesz, że jego żona... sama piele w ogrodzie i... pierze bieliznę!...

— Więc cóż z tego?

— Więc... pracuje, jak sługa, i nikt z towarzystwa nie żyje z nią.

Madzi błysnęły oczy, a na twarz wystąpił rumieniec oburzenia.

— Wiesz, Femciu, że tego nie spodziewałam się usłyszeć... Czy myślisz, że moja mama nie piele w ogrodzie, a nawet nie pierze?... Sama wyprała mi szlafroczek...

— Twoja mama co innego... Ją wszyscy szanują...

— Trzeba szanować każdą kobietę, która pracuje i jeszcze tak ciężko — mówiła Madzia z zapałem. — Przecież dzisiaj jest to dążenie wszystkich kobiet, ażeby pracować... pracować jak najciężej i nie oglądać się na pomoc rodziców, czy zarobki męża...

— Więc ty chcesz iść zamąż—wtrąciła chmurnie panna Eufemja.

— Ależ nie!... przysięgam ci. Ja chcę tylko nie

być ciężarem dla moich rodziców, chcę pomóc Zosi, ażeby skończyła pensję w Warszawie... Zresztą ja nie potrafiłabym siedzieć w domu, nic nie robiąc... Udławiłabym się chlebem rodziców, spaliłabym się ze wstydu... Ach, a czy mogłabym spojrzeć w oczy moim koleżankom, z których każda pracuje na siebie?...

Zarumieniona panna Eufemja zaczęła całować Madzię.

— Emancypantka z ciebie! — rzekła. O, ja dużo słyszałam o pensji pani Latter i rozumiem cię. Ja także chciałabym być kobietą samodzielną, tylko... czy można nią być na takim partykularzu?...

— Przekonam cię, że można.

— O, nie myśl, że ja tu zaśniedziałam — mówiła panna Eufemja. — Ja także chciałam pracować na siebie, nawet nauczyłam się haftu. Ale cóż z tego?... Kiedy powiedziałam, że będę sprzedawać moje hafty, mama dostała spazmów!...

Panna Eufemja ciężko odetchnęła.

— Chciałam — ciągnęła — dawać lekcje fortepianu córeczce naczelnika powiatu... Ale mama znowu zrobiła mi scenę, i od tej pory zerwaliśmy stosunki z naczelnikostwem. Spróbuj tu być emancypantką, a zobaczysz...

— Będę — odparła Madzia stanowczo.

— Czy myślisz, że i ja nie jestem nią?... — mówiła panna Eufemja coraz ciszej, ale coraz goręcej.— Ja naprzykład, kiedy kłania mi się ten... sekretarz z poczty, odpowiadam mu zlekka, czego mama na-

wet nie domyśla się... I... jeszcze ci coś powiem, ale... Madziu, to wielka tajemnica...

— Masz przecie moją.

— Wiem i wierzę ci — odparła panna Eufemja. — Więc słuchaj... Ja, nietylko jestem emancypantką, ale — radykalistką... Wiesz, co ja robię?... Ja do kościoła nie chodzę z książką do nabożeństwa, tylko... czytam Pascala „Pensées sur la religion..." Kazałam je oprawić w czarną skórkę, z krzyżem i złoconemi brzegami i z tem chodzę do kościoła... Rozumiesz?...

Madzi zrobiło się zimno. Wszakże ona dziś, przed kilkoma godzinami, doznała opieki Matki Boskiej... Ale ponieważ między kobietami samodzielnemi spotykała już wolnomyślne (pierwsza panna Howard), więc milczała.

— Może ci się to nie podoba?... — zapytała panna Eufemja, patrząc jej w oczy.

— Szanuję twoje przekonania — odparła Madzia. — Zresztą — nie mówmy o tem... Zrobię ci propozycję: założmy obie do spółki szkołę elementarną... sama nie wydołam...

Panna Eufemja zawahała się.

— Moja droga... moja Madziu — odparła — ale... co świat o tem powie?...

Nagle twarz jej zajaśniała energją i zapałem.

— Owszem!... — rzekła, podając Madzi rękę.— Należę do spółki... Niech się to raz skończy... Nie chcę wiecznej kontroli nad sobą... nie chcę targować się z mamą o każdy grosz, wzięty na drobiazgi... o każdy ukłon, oddany komuś na ulicy... Założymy

pensję... Przełożone pensji bywają w towarzystwach.

— Nie szkółkę elementarną?—spytała Madzia.

— Lepiej pensyjkę dla panienek z lepszych domów... Zbierze ich się sporo... I nawet powiem ci: od jutra zacznijmy szukać lokalu... Będziemy mieszkały przy pensji, bo ja nie wytrzymam w domu...

— Tak... lokal najpierwsza rzecz.... Weźmiemy dwa obszerne pokoje...

— I dwa malutkie dla nas — dodała panna Eufemja.

— Trzeba kupić ławki, takie jak były u nas, ażeby dziewczątka nie pochylały się i nie psuły oczu...

— I elegancko wytapetować całe mieszkanie— wtrąciła panna Eufemja. — Miętlewicz dostarczy...

— Dwie tablice... dwie katedry... Aha, najważniejsza rzecz: rysunki i okazy do metody poglądowej...

— Mebelki do mego pokoju mam bardzo ładne — mówiła panna Eufemja.

— A, i jeszcze zapomniałam najważniejszej rzeczy: muszę wziąć pozwolenie od dyrekcji.

— Doskonale!... Awantura będzie z mamą okropna, ale raz się to wszystko złamie. Przytem, jestem pewna, że ojciec mnie poprze — zakończyła panna Eufemja, ściskając Madzię. — Niech żyje emancypacja, prawda?... — szepnęła jej do ucha.

W tej chwili panny usłyszały szelest za parkanem, jakby ktoś przedzierał się przez krzaki. Zalęk-

niona Madzia obejrzała się i przez szczelinę między deskami zobaczyła błyszczące oko.

— Tam ktoś jest... — szepnęła panna Eufemja, wieszając się u ramienia Madzi.

— Pewnie chłopcy, co kamieniami rzucają...

— Nie, proszę pani — odezwał się stłumiony głos z za parkanu. — Są dwa listy do panny Magdaleny i... i jeden do panny Eufemji — dodał głos, w którym czuć było drżenie.

Przez szczelinę parkanu wysunęły się dwa listy.

— Cynadrowski!... — szepnęła panna Eufemja do ucha Madzi, blednąc i rumieniąc się.

— Ten... oddam tylko pannie Eufemji — mówił głos z za parkanu.

Panna Eufemja gorączkowo schwyciła trzeci list.

— Co za szaleństwo — rzekła — pan mnie zgubisz!...

— Niech mi pani przebaczy, ale — jestem bardzo nieszczęśliwy... — odparł głos. — Już odchodzę....

Obie panny, blade, drżały jak w febrze.

— Czy kto nie widział z altanki?...—odezwała się panna Eufemja.

— Klomb zasłania... — odparła Madzia. — Ale cóżto za dziwny człowiek!...

— Skąd ten list do mnie? — mówiła panna Eufemja. — Marka jest... pieczątka... Boże! jak ja muszę być zmieniona... Gdyby teraz przyszła mama, wszystkoby się wydało.

— Idźmy stąd — rzekła Madzia.

Podała rękę pannie Eufemji i chyłkiem, wzdłuż parkanów, okrążywszy dom, wprowadziła ją do swego pokoiku. Ponieważ w altanie major strasznie krzyczał, domagając się poprawki i twierdząc, że nie miał zamiaru brać wieży, Madzia była pewna, iż nowy rodzaj komunikacji pocztowej nie był przez nikogo dostrzeżony.

To bardziej uspokoiło pannę Eufemję, aniżeli woda sodowa. Stanęła przed lustrem, wyjęła z kieszeni minjaturowe pudełeczko pudru i złagodziła zbyt żywe rumieńce.

— Ale co za list?... — mówiła, rozdzierając kopertę. — Podpisu niema...

— Jestem pewna, że on sam pisał — rzekła Madzia, patrząc na list przez ramię panny Eufemji, która zaczęła cicho czytać i robić półgłosem uwagi.

„Bóstwo moje nadziemskie...“ Cóżto znowu?... „Błąd czepia mi się głowy, nie jem, nie śpię, zaniedbuję moje obowiązki, a w nocy przewracam się po łóżku, jak Tantal“... Także mitologja!...“ Bo mówi mi jakiś głos wewnętrzny, że nie jestem Ci, pani, obojętny, czego miałem niejednokrotne dowody“... Ależ to głupiec!... Dowody miał?... „Zerwałaś, niebiańska istoto“... Co za poufałość!... „z Krukowskim, a spotkawszy mnie w rynku, słodkie spojrzenie Twe było dla mnie obrazem Twoich namiętnych uczuć“...

— A, tego już za wiele!... — wybuchnęła panna Eufemja, mnąc list.

— Ależ czytaj dalej, kiedyś zaczęła,

„Jeżeli więc teraz odwraca się ode mnie Twe oblicze, które jest dla mnie Niebem, ziemią, powietrzem i Wiecznością, muszę Twoje postępowanie“... Ależ on mi ciągle mówi: ty, ten pisarczyk... „rozumieć w taki sposób, że ktoś mnie podle oczernił. Gdyby tu zjechał rewizor, sam uprawlajuszczy, nawet komisja śledcza, nie tłumaczyłbym się, bo jestem szlachcic z dziada pradziada i mam duszę dumną, nieugiętą w karku. Ale przed Tobą, Aniele“...

— Osioł!... — syknęła panna Eufemja, drugi raz mnąc list. Lecz po chwili znowu zaczęła go czytać.

„Niech w ziemię wrosnę, niech mnie nagła śmierć spotka, jeżeli kiedykolwiek w życiu odlepiłem markę od listu, czy ona była za kopiejkę, czy za dziesięć kopiejek. Może, nieustannie tracąc przytomność z miłości, upadł mi jaki list na ziemię, a Josek, albo który pocztyljon, wymiótł ze śmieciami. Ale ja nigdy nie pokalałem w żaden sposób mego honoru, bo wiem, com winien memu nazwisku i Tobie, Bóstwo empiryjskie“...

— Biedny chłopak!... — wtrąciła Madzia.

— Błazen, powiedz... Jak on śmie przemawiać do mnie w podobny sposób?...

— Ale jak on cię kocha...

— Kochać wolno — odparła gniewnie panna Eufemja. — To mój los, że wszyscy szaleją... Ale pisać do mnie tak poufałym tonem... Więc on naprawdę myśli, że — ja zwróciłam na niego uwagę?...

— Sama mówiłaś, że odpowiadasz mu na ukłony.

— Ach, tak!... Rąz nawet rzuciłam mu zeschły

listek... Ależ to jałmużna — i on tak powinien ją przyjmować...

Madzi zrobiło się trochę przykro za biedaka, który lepiej umiał kochać, aniżeli oświadczać się. Nie odpowiedziała, tylko zaczęła otwierać swoje listy.

— A, od panny Malinowskiej!... — mówiła, przebiegając list oczyma. — Ach, od Ady Solskiej... Jest w Zurychu... Moja złota Adziula!...

— Czy to ta miljonerka? — zapytała, żywo zainteresowana, panna Eufemja.

Zapukano do drzwi.

VI.

Dwaj konkurenci.

— Panienki, proszę na podwieczorek — odezwała się, wchodząc, doktorowa. — Czy to ładnie opuszczać gości?...

— Dostałam listy, mamo — odpowiedziała Madzia.

Panna Eufemja nieznacznie pociągnęła ją za rękaw.

— No, ale możesz odłożyć listy — rzekła matka — bo kawa ostygnie... Przyjechała siostra pana Ludwika...

Panny weszły do altanki, gdzie na stole, otoczonym gośćmi, stała kawa ze śmietanką, bułki domowego pieczenia, ser z kminkiem i kilka gatunków konfitur. Sparaliżowana siostra pana Krukowskiego

przywitała się serdecznie z Madzią, chłodno z panną Eufemją i, widocznie prowadząc dalej rozmowę, rzekła:

— A poco on ma brać dzierżawę, czy starać się o jakąś służbę, jeżeli ma majątek? Ja pieniędzy nie zabiorę do grobu i tyle mu zostawię, że będzie mógł utrzymać żonę i wychować dzieci...

— Może siostruni podać cukier?... wtrącił pan Krukowski, który wyglądał, jakgdyby go coś dusiło.

— Więc wyślij go, pani, do Warszawy... Niech się chłopak rozejrzy... odżyje...—mówił major i zatopił towarzystwo w kłębach dymu olbrzymiej fajki.

— Ślicznie dziękuję majorowi za radę — odparła eks-paralityczka, odpędzając dym haftowaną chusteczką.... — Pamiętam jego ostatnią wyprawę do Warszawy...

— Może siostruni nasmarować bułeczkę? — przerwał pan Ludwik, którego rysy zdradzały niepokój.

— Dziękuję ci, Luciu — odparła siostra. —Było to w roku 1866. Chciał koniecznie jechać do Warszawy, więc dałam mu dwa tysiące złotych... — W parę dni ograli go, potem chciał się odegrać — musiałam dopłacić sześć tysięcy!...

— Siostruniu...

— Nie przerywaj, bo właśnie ten wypadek świadczy o twojej szlachetności. — Więc, kiedy po tej aferze wrócił chłopak na wieś, padł mi do nóg...

— Ależ siostruniu!... — jęknął 45-letni chłopak.

— Rozpłakał się jak dziecko, przysiągł, że już

nigdy nie wyjedzie z domu i... dotrzymał, panie majorze!...

— Bo mu nie dajesz pieniędzy, więc siedzi — odparł major.

— A jemu co po pieniądzach?... — zdziwiła się stara dama. — Brakuje mu czego?...

Pan Krukowski zsiniał, ale pan Miętlewicz wydawał się mocno zadowolonym.

— Wieczna historja mężczyzn, którzy dostaną się babom w niewolę!... — wybuchnął major.— Więzi chłopaka przy fartuchu od kilkunastu lat, pozbawia go energji... Lepiej daj mu co... daj mu co ciepłą ręką i niech nauczy się polegać na sobie, nie na twoim majątku....

— O, tak... ażeby zginął między wami!... — zawołała dama.

— Między ludźmi nikt nie ginie... Owszem, pomogą mu otrząsnąć się z resztek tego fartucha, którym omotałaś mu głowę... — krzyczał major.

Pan Ludwik był tak bliski śmierci, a całe towarzystwo tak zmieszane, że doktór, chcąc nadać inny kierunek rozmowie, rzekł:

— Pan Miętlewicz nie miał majątku, a jednak wyrabia się własną pracą...

— I pomocą dobrych ludzi — odparł Miętlewicz, całując w ramię doktora. — Tak, ludzie zrobili mnie tem, czem jestem!... Czcigodny pan doktór zawsze mi mówił: weź się do pracy, bo przy tem przepisywaniu w powiecie zgłupiejesz do reszty!...

— Niewiele już zostało — mruknął major, przepychając ze złością fajkę drutem.

— Miałeś pan zdolności do handlu, więc mogłeś rzucić biuro — wtrącił podsędek.

— Zdolności mam, ani słowa — pochwycił pan Miętlewicz. — Ale obudził moje zdolności traf i dobrzy ludzie...

Pamiętam — prawił wśród ogólnego milczenia — siedzę raz przy dzienniku w powiecie, aż tu wchodzi pan Bieliński i mówi do sekwestratora: „Tak mnie pan mordujesz, że moje bułanki sprzedałbym za czterysta rubli, byle się znalazł kupiec“. Ja to słyszę... Na drugi dzień jest w biurze pan Czerniawski i mówi do pomocnika: „Dałbym sześćset rubli za bułanki Bielińskiego, tak mi się podobały“. Ja i to słyszę. Więc kiedy wyszedł, biegnę za nim i mówię: „Da pan dziedzic pięćset pięćdziesiąt rubli za bułanki?“ On mi: Dam. „Na stół?“... Na stół. „Słowo?“... Słowo. Lecę tedy Eisenmana, obiecuję mu dwadzieścia rubli procentu za jeden dzień, dostaję pieniędzy i jadę do pana Bielińskiego. „Odda pan—mówię—bułanki za czterysta pięćdziesiąt rubli?“ Z Bogaś się począł, człowieku — on mówi — ale czy mnie nie okpiwasz?... Bo to wy, powietnicy... Pokazałem pieniądze, pan Bieliński wziął je, oddał mi konie i dorzucił piętnaście rubli za fatygę. Dałem tedy rubla furmanowi i — jazda do pana Czerniawskiego. No... kupił szlachcic bułanki, ale strącił mi dziesięć rubli i dał tylko pięćset czterdzieści rubli, bo powiedział, że to pachnie geszeftem. Suma sumarum — pan Bieliński zarobił trzydzieści pięć rubli, pan Czerniawski sześćdziesiąt, Eisenman dwadzieścia, a ja ośmdziesiąt pięć rubli za jeden dzień!...

Potem krzywili się na mnie wszyscy, i Żyd, i panowie, ale ja już miałem o co zaczepić ręce, a kiedy zacząłem prowadzić interesa — chodzą do mnie i Żydzi i panowie, bo każdy wie, że dam zarobek, choć siebie nie skrzywdzę.

— Szkoda, żeś nie żył za moich czasów — odezwał się major — zrobiłbym cię ekonomem mego bataljonu. Ale za takie kupno bułanków dałbym ci czterdzieści batów, nie rubli...

— Ha, trudno! proszę pana majora — odparł dumnie i oglądając się pan Miętlewicz. — Dawniej były inne czasy, a teraz są inne czasy. Co kraj, to obyczaj...

I roześmiał się ze swego dowcipu.

Podwieczorek zjedzono i wypito, goście rozeszli się po ogrodzie, panna Eufemja o czemś szeptała ze swym ojcem, podsędkiem. Do osamotnionej chwilowo Madzi zbliżył się pan Krukowski i, stanąwszy w kornej postawie, jakby go bardzo krzyż bolał, szepnął wzruszony:

— Jak pani musi mną pogardzać, panno Magdaleno!...

Madzia zadziwiła się.

— Ja panem? — rzekła. — Boże mój! za co?... Taki pan dobry, taki delikatny...

— Ale ten upokarzający stosunek do siostry, z którego śmieje się — nawet — pan Miętlewicz.... A to protegowanie mnie przez pana majora, który czasem traktuje mnie tak lekko, że doprawdy... Lecz niech pani wejdzie w moje położenie: czy mogę żądać satysfakcji od starca, albo opuścić chorą

siostrę?... Okropną jest ta wieczna małoletniość!... Ja czuję, że ludzie sądzą mnie surowo, ale cóż zrobię?...

Mówił to zadyszany, łamiąc delikatne ręce i z trudnością hamując się od płaczu.

— Prawda, pani, jaki ja jestem śmieszny, niedołężny?... — dodał.

Madzi łzy napłynęły do oczu. Uniesiona dziwną odwagą, podała Krukowskiemu rękę i, ściskając go, rzekła:

— Niech się pan uspokoi... My, kobiety, pojmujemy bohaterstwa, których świat nie uznaje...

Swoją drogą, gdyby mogła za cenę kilku lat życia wydobyć Krukowskiego z tej bohaterskiej pozycji, poświęciłaby je.

Piekło skierowało ich w stronę Miętlewicza z pręcikiem w ręku. Więc pan Krukowski ledwie miał czas wyszeptać:

— Do grobu nie zapomnę... do grobu...

I z uczuciem pocałował Madzię w rękę.

— Panie Krukowski! siostra pana prosi — zawołał Miętlewicz.

Krukowski odszedł, rzucając Madzi bezdenne spojrzenie, a zbliżył się Miętlewicz. Wyglądał bardzo poważnie.

— Proszę pani — zaczął — czy ja naprawdę robię co nieprzyzwoitego?... Bo w tej chwili major powiedział, że jestem cham...

— Ja nic nie słyszałam — odparła zmieszana Madzia.

Miętlewicz zdawał się być szczerze zmar-

twiony. Usiadł na ławce, obok Madzi, i, bijąc pręcikiem szpice swoich kamaszy, mówił:

— Eh, proszę pani, ja wiem, że jestem cham!.. Matka moja była sklepikarką... nie odebrałem żadnej edukacji... więc ludzie kpią ze mnie i nazywają: chamem, osobliwie szlachta. Pani myśli, że ja tego nie widzę?... Oj, oj, a jak czuję!... Nieraz wyciąłbym sobie kawałek ciała, ażeby mieć takie słodkie i pachnące miny, jak pan Krukowski... On pan z panów, ja biedak z biedaków... On ma czas wystawać przed lustrem, ja nieraz ani jeść, ani wypić nie mogę spokojnie...

Umilkł, potniał i wzdychał.

— Panno Magdaleno — rzekł, patrząc na nią błagalnym wzrokiem — niech pani o mnie źle nie myśli... Ja nic od pani nie żądam, przysięgam Bogu... Pani skończyła taką pensję!... Chciałbym tylko czasami spojrzeć na panią, bo kiedy spojrzę, to... robi mi się dobrze na sercu... A jeżeli kiedy obrażę panią niechcący... Eh, co tu gadać!... Wolałbym złamać nogę, aniżeli panią urazić...

W tej mowie, rwącej się i pełnej wybuchów, dźwięczał taki szczególny ton, że Madzię żal ogarnął. Milcząc, podała Miętlewiczowi rękę i tak serdecznie spojrzała mu w oczy, że — rozchmurzył się, a nawet trochę zdziwił.

Wtem matka zawołała ją do siebie.

„Biedny on, biedny, ten szlachetny prostak!— myślała Madzia, opuściwszy Miętlewicza.—Cóżbym dała, ażeby go uspokoić i przekonać, że nie wszyscy ludzie zważają tylko na pozory“...

Goście zaczęli się rozchodzić. Panna Eufemja była rozstrojona, pan Krukowski rozmarzony, pan Miętlewicz poważny. W furtce major pokłócił się z podsędkiem o pogodę na następny dzień, na ulicy siostra pana Krukowskiego zaczęła krzyczeć, że wózek się przewraca... Wkońcu wszystko ucichło.

Madzia, zostawszy sama, zaczęła czytać listy. Panna Malinowska pisała jej, że Arnold, drugi mąż pani Latter, przeznaczył dla Heleny i Kazimierza Norskich sporo pieniędzy, i że ma zamiar opuścić Amerykę a przesiedlić się do Warszawy z żoną i synem. Wspominała też, że stary szlachcic, Mielnicki, zobaczywszy zwłoki pani Latter, dostał ataku apoplektycznego. Dziś mieszka na wsi, pogrążony w apatji, a tylko od czasu do czasu wspomina o dzieciach zmarłej. Zakończyła list prośbą, ażeby Madzia, jeżeli od wakacyj chce być u niej damą klasową, doniosła jej natychmiast, gdyż zgłasza się wiele kandydatek na tę posadę.

Madzia zdecydowała się, że nie weźmie miejsca u panny Malinowskiej. Poco?... Wszakże otworzy tu szkółkę, która zapewni jej utrzymanie i pozwoli dopomagać rodzicom.

Ada Solska donosiła Madzi, z wielkim zachwytem, że w Zurychu uczęszcza na kursa przyrodnicze, które ją bardzo zajmują. Owszem, przekonała się, że celem jej życia może być tylko botanika i że, pracując nad botaniką, znajdzie prawdziwe szczęście. Nadmieniła, że Hela Norska mieszka w jakimś włoskim klasztorze, lecz jeszcze nie jest pewną, czy zostanie zakonnicą, czy wróci do świata.

Większą część listu poświęciła Ada panu Kazimierzowi Norskiemu. Bawi on także w Zurychu i studjuje nauki społeczne. Jest to człowiek niesłychanie poważny, niesłychanie pracowity, niesłychanie genjalny i ma niesłychanie wielkie zamiary. O ile ona, panna Solska, pozwala sobie odgadywać plany pana Kazimierza, chodzi mu o zupełne zreformowanie położenia kobiet. On to musi zrobić, on to zrobi przez pamięć dla swojej nieszczęśliwej i świętej matki, która straciła życie, walcząc o niezależność. Z Adą pan Kazimierz prawie nie mówi o swoich genjalnych planach, tylko o botanice, którą ona mu objaśnia. Ale zamiary swoje wypowiada w kółkach studenckich, gdzie szczególniej studentki są zachwycone. Nieszczęściem, Ada na tych posiedzeniach nie bywa i nawet nie zna studentek, gdyż nie lubi opuszczać domu. Ale o triumfach pana Kazimierza wie doskonale, ponieważ on sam jej o tem donosi.

Madzia kilka razy odczytywała list panny Solskiej, wreszcie schowała go w eleganckiem pudełeczku po proszkach Zejdlitza. Była podniecona, rozmarzona, z godzinę spacerowała po ogrodzie przy gwiazdach, wreszcie — westchnęła i wróciła do swego pokoju.

Położywszy się, zobaczyła w półśnie pana Krukowskiego w granatowym i pana Miętlewicza w jasnym garniturze: tamten (zupełnie jak w rzeczywistości) miał na głowie kapelusz panamski, ten — świeży cylinder. Obaj mieli żałosne fizjognomje i błagali Madzię o litość.

I Madzia żałowała ich: jednego zato, że był tak delikatny, drugiego — że miał matkę sklepikarkę, a obu zato, że czuli się bardzo nieszczęśliwymi. Cóżby dała, ażeby odzyskali spokój!...

W miarę rosnącego w sercu Madzi współczucia, obrazy obu panów coraz bardziej zbliżały się do siebie: garnitur jasny zmieszał się z granatowym, cylinder z panamą i — z dwóch ludzi zrobił się jeden.

Madzia podniosła oczy na jego twarz i — zobaczyła pana Kazimierza.

Ten widok tak ją przeraził, że obudziła się i długi czas nie mogła zasnąć.

VII.

Marzenia.

Trzydniowy deszcz nadał miastu Iksinów posępną fizjognomję. Armja szarych obłoków od zachodu na wschód posuwała się tak gęsto, że ludzie mogli zapomnieć o kolorze nieba, a tak nisko, iż niektóre zdawały się rozdzierać o wieżyczki kościelne, albo plątać między gałęźmi starych lip i kasztanów.

Major włożył długie buty i burkę, w której wyglądał jak szyldwach w budce; podsędek prawie nie ukazywał się z pod parasola, i tylko poznawano go po spodniach, zawiniętych powyżej kostek; pan Miętlewicz ubrał się w gumowy płaszcz i głębokie ka-

losze, których wymiary stanowiły rażącą dysproporcję z małością miasteczka.

Na szczęście, nikt go nie widział; towarzystwo siedziało w domu, żadna bowiem wykwintniejsza kobieta nie mogła przejść ulicy, na której boki kapało ze wszystkich dachów, a środkiem ciekło coś podobnego do czekolady, gęstej, jak powidła. Tylko w rynku, zamiast błota, lśniły się w kilku miejscach rozległe kałuże, po których małe chłopaki pływały w nieckach i baljach, ożywiając ponure miasto śmiechem i okrzykami.

Ponieważ pana Krukowskiego siostra zaklęła na swoje przywiązanie, ażeby się nie narażał, więc i on siedział w domu, zabijając nudy tym sposobem, że w dzień wyglądał oknem, a wieczór pozwalał się ogrodnikowi wycierać mrówczanym spirytusem. Siostra wytłumaczyła mu, że ma reumatyzm, o co zresztą nie spierał się pan Krukowski, czując lekkie darcie w nogach i tępe bóle w krzyżu. Myśli jego błądziły około domu doktora, gdzie Madzia, zamknięta w swym pokoiku, przeglądała pensjonarskie kursa, albo pisała coś na arkuszach i darła.

A ponieważ pan Krukowski w żaden sposób nie mógł odgadnąć: co robi Madzia, więc strudzona jego imaginacja przeniosła się w inny koniec miasta, gdzie mieszkali podsędkowie. Tam wiedział, czem się zajmują: pan niezawodnie wymyka się z domu na partyjkę, pani śpi, a piękna Eufemja albo czyta popularne wydanie Comte'a i Darwina, albo — gra na fortepianie.

I z gorzkim uśmiechem przypomniał sobie pan

Ludwik te tak niedawne czasy, kiedy on grał na skrzypcach, panna Eufemja wtórowała mu na fortepianie, a pani sędzina nie kazała wnosić światła do pokoju, mówiąc: że najlepiej lubi muzykę w półzmroku.

Gdzie ta muzyka!... te zmroki!... te uczucia!... I niema czego żałować: Madzia bowiem jest tysiąc razy ponętniejsza od panny Eufemji, która w dodatku okazała się kokietką.. Czyliż nie widział jej spojrzeń, rzucanych na Miętlewicza, a nawet na Cynadrowskiego...

— O, serce kobiety!... — szepnął pan Ludwik.

Wstał od okna, otworzył mahoniowe pudło ze skrzypcami i z pod haftowanej kołderki wydobył instrument. Wytarł smyczek kalafonją, brzęknął na strunach, pokręcił klucze, i w chwilę później z pod delikatnych palców rozległy się dźwięki barkaroli.

Grał i grał, wysuwając to jedną to drugą nogę, wstrząsając lewą dłonią i głową, zapatrzony w kąt pokoju nad szafą, rozmarzony. Wtem cicho otworzyły się drzwi, i w progu stanęła siostra. Pan Ludwik zamilkł...

— Przeszkadzam ci? — spytała paralityczka, opierając się na lasce. — Jak ty już dawno nie grałeś!... od czasu tych tam duetów z z z... panną podsędkówną... Dziwię się tylko, żeś na pierwszy raz wybrał tę właśnie barkarolę.. Czybyś znowu przypomniał sobie...?

— Ach, co też siostrunia mówi? — oburzył się pan Ludwik. — To... jest... jakby mimowolne poże-

gnanie... z dawnemi marzeniami, które dziś mnie samego dziwią.

— Więc zagraj teraz powitanie — rzekła siostra. — Tylko proszę cię, niech to będzie ostatnie powitanie — dodała poważnie — bo już nie jesteś tak młody. Pamiętaj, jeżeli się w tym roku nie ożenisz, znać cię nie chcę... To nawet niezdrowo...

— Ach, siostruniu... — przerwał pan Ludwik.

Znowu stanął w klasycznej pozie, potrząsnął głową, wysunął nogę, uderzył smyczkiem w struny i — tym razem popłynęła melodja:

„Gdyby rannem słonkiem
Wzlecieć mi skowronkiem..."

— Tak!... tak!... — mówiła siostra. — Madzia to skowronek... Ale, mój Luciu — rzekła po chwili — jak skończysz, to jeszcze zagraj sobie jaki kawałek, a potem... daj spokój. Mnie trochę głowa boli, a i tobie na nerwy niedobrze działa muzyka...

Wyszła, stukając laską, i niebawem zaczęła robić wymówki służącej.

„Boże!... Boże!... — myślał zrozpaczony pan Ludwik, chowając skrzypce. — Cobym dał zato, gdyby moja siostra choć przez kwadrans wytrwała w jednakowem usposobieniu. Sama zakazała mi grać na skrzypcach, sama pochwaliła mnie, że na nowo grać zacząłem i — w jednej chwili znowu nie pozwala mi denerwować się skrzypcami... Boże! Boże!"...

Nareszcie do zatopionego miasteczka wróciła pogoda, i ulice o tyle podeschły, że już mogły na nich pokazywać się damy z towarzystwa, wysoko unosząc sukienki.

Wyszła i Madzia z domu; najpierw oddała listy na pocztę, następnie poszła do domu podsędków.

— O nieba!—zawołała podsędkowa, okrągłym ruchem załamując ręce. — Ależ Femcia od pół godziny opuściła nas, mówiąc, że idzie do ciebie... Czy nie zdarzyło się jakie nieszczęście?...

Madzia z trudnością wytłumaczyła pani podsędkowej, że zapewne minęły się z Femcią w drodze i że niezawodnie Femcia czeka na nią w ich domu. Podsędkowa jednak nieprędzej uspokoiła się, aż Madzia przyrzekła, że sama odprowadzi pannę Eufemję na łono stroskanej matki.

— Bo widzisz, droga Madziu — rzekła na pożegnanie podsędkowa—młode dziewczę jest jak delikatny kwiatek: lada silniejszy powiew wiatru może ją uszkodzić, a cóż dopiero złe języki... Dlatego zawsze na klęczkach błagam Femcię, żeby sama nie wychodziła do miasta... Z jej pięknością, z jej pozycją towarzyską... Bądź zdrowa, najdroższe dziecię!...

Panna Eufemja istotnie była w domu Madzi, lecz, chcąc prędzej spotkać się z nią, wyszła naprzeciw. Następnie zapragnęła odetchnąć świeżem powietrzem, dzięki czemu Madzia spotkała ją na drodze od poczty do rynku. Zapewne przypadkiem znalazł się i pan Cynadrowski, przed pocztą, bez czapki. Jedną rękę trzymał w kieszeni, drugą położył na sercu i z wyrazem niemego zachwytu spoglądał na piękną Eufemję, która z obawy przed mogącem trafić się

błotem, odsłoniła cudne nóżki, ozdobione bardzo wysokiemi węgierskiemi bucikami.

Panny przywitały się serdecznie i zaczęły mówić obie razem:

— Wiesz, zamówiłam u Miętlewicza tapety do naszej pensji...

— A ja wysłałam prośbę do dyrekcji.

— Pocztą?... Trzeba było pójść ze mną, to ten pan... sekretarz prędzejby wyekspedjował.

— Byłaś na poczcie? — spytała mimowoli Madzia, szybko dodając: — Ach, Boże, powiedziałaś Miętlewiczowi o tapetach...

— Ale zaklęłam go, ażeby nie wspominał nikomu... ani słowa. Zresztą on pomyśli, że ja chcę ojcu zrobić prezent na imieniny. Gdzież pójdziemy: do mnie, czy do ciebie?... — zapytała panna Eufemja, zwracając się ku domowi doktora.

— Pójdziemy do nas—odpowiedziała Madzia— ale pierwej wiesz co?... Wstąpimy do jednego stolarza, którego tatko leczy, i dowiemy się: ile będą kosztować ławki do naszej szkoły?

— Ach, tak... owszem... No, to idźmy do stolarza, choć ostrzegam cię, że na bocznych ulicach musi być straszne błoto —mówiła panna Eufemja, patrząc w ulicę, którą zwykle wydostawał się na miasto pan Krukowski. A po chwili tonem lodowatej obojętności dodała: — Cóż, nie był u was Krukowski?

— Nie.

— Aha!... Ojciec mówił, że pan Ludwik onegdaj cały dzień grał na skrzypcach tę barkarolę, któ-

rą dawniej oboje grywaliśmy. Przypomniały mu się piękne czasy...

— On kochał się w tobie? — spytała Madzia, upatrując suchych miejsc na błotnistej uliczce.

— Czy kochał się — odparła panna Eufemja.— Poprostu szalał, jak zresztą wszyscy... Ale że jest kapryśnik i lubi zwracać się do każdej nowej buzi, więc wzięłam go na próbę...

Madzi przyszło na myśl, że panna Eufemja niezbyt dokładnie określa swój stosunek do Krukowskiego, i zrobiło jej się przykro za przyjaciółkę. Lecz, nie chcąc jej posądzać, postanowiła zapomnieć o tem, co słyszała. Przyszło jej to bez trudności, droga bowiem robiła się coraz błotniejszą, a panna Eufemja odezwała się:

— Moja kochana, my tu nie przejdziemy...

— O, widzisz, już jest domek stolarza... Przejdziemy przez to podwórko...—odparła Madzia, wbiegając za furtkę, która wisiała na jednym tylko haku.

— Boże!.. Madziu, co robisz?...—zawołała panna Eufemja. — Ależ choćbym miała zostać przełożoną największej pensji, jeszcze nie poszłabym do niej po takich dziurach...

Domek stolarza był stary, porośnięty mchem na dachu, odrapany i tak zapadły w ziemię, że z ulicy można było wejść do wnętrza przez okno, niebardzo podnosząc nogę. W izbie rozlegał się rytmiczny chrzęst piły, stukanie młotka i jękliwy głos ośmioletniej dziewczynki, która na rękach huśtała paruletniego braciszka.

Na podwórzu, zawalonem deskami i zasypanem

mokremi trocinami, przy małej studzience z żórawiem stał stolarz i rozmawiał z żydkiem, którego chałat odznaczał się wypłowiałą barwą na grzbiecie, ciemniejszą na piersiach, a u dołu był zabłocony. Przez otwarte okno widać było świeżą trumnę, w którą wbijał kołki mizerny chłopak, mający dużo wiórów we włosach.

Madzia wstrząsnęła się, panna Eufemja zasłoniła chustką cudnej piękności nosek. Żydek i stolarz, odwróceni od panien, rozmawiali:

— ...Oddam panu Gwizdalskiemu ośm złotych, a sam wezmę resztę — mówił żydek. — I tak będzie najlepiej, bo jeżeli pan Gwizdalski odbierze pieniądze, to ja nie zobaczę ani grosza.

— Kiedyż tak nie idzie — odparł stolarz. — Powiedz pan sam: do czego podobne, ażeby starozakonny odnosił trumnę katolicką? Przecie jabym rozgrzeszenia nie dostał.

— A za moje pieniądze dostanie pan Gwizdalski rozgrzeszenie?...

— Eh!... jużeś pan ze dwa razy odebrał swoje pieniądze... — mruknął stolarz, plując za koryto.

— Dzień dobry, panie stolarzu! — zawołała Madzia.

Teraz konferujący spostrzegli obie panienki i przerwali rozmowę; żydek zniknął w sieni domu, a stolarz zbliżył się do płotu. Poza brudną koszulą majstra widać było skrzywioną i zaklęśniętą klatkę piersiową, a na rękach rozdęte żyły.

— Przyszłyśmy się zapytać pana — mówiła-

Madzia — coby kosztowały ławki szkolne?... Wie pan, takie ławki, przy których siedzą dzieci w szkole...

— Wiem. Pulpit do pisania, a przed nim ławeczka.

— Właśnie. I jeszcze muszą być pomalowane na czarno, albo na żółto, jak pan zechce... I ile może kosztować taka ławka dla czworga dzieci—mówiła Madzia.

Stolarz zamyślił się.

— Czy ja wiem — odparł, spuszczając głowę.— Z piętnaście rubli.

— Jezus!... Marja!... panie stolarzu — zawołała Madzia. — Więc za dwadzieścia pięć ławek musiałybyśmy zapłacić blisko czterysta rubli.

— Dwadzieścia pięć?... — powtórzył stolarz i zaczął wichrzyć sobie włosy. — Czy ja wiem?... To może wypadnie po dziesięć rubli sztuka...

— Ależ, Madziu, niema co mówić z tym panem — wtrąciła niecierpliwie panna Eufemja. — Pójdziemy do Holtzmachera i zrobi nam...

— Do Żyda... — spytał stolarz, patrząc na nią zapadłemi oczyma. — On i tak potrafi zarobić... No, jeżeli dwadzieścia pięć ławek, to po... po pięć rubli... Taniej nie wezmę...

Panny spojrzały na siebie, wymieniły kilka słów po francusku i—odeszły, zapowiadając, że wrócą tu, skoro się namyślą. Stolarz ciężko oparł się o płot i patrzył za niemi, a z sieni wychylił głowę żydek, widocznie pragnąc skończyć rozmowę. Zaczął ją jednak od słów:

— Nu, nu... panna doktorówna i panna sędzianka chcą ławek... Naco im to... Nie mówiły panu Gwizdalskiemu?

— Co za szachraje ci nasi rzemieślnicy! — biadała panna Eufemja, znowu ukazując węgierskie buciki. — Dopiero co chciał piętnaście rubli, potem dziesięć, nareszcie pięć... Miał zamiar oszukać nas... zaraz, na ile to?... Na dwieście pięćdziesiąt rubli!... O, dobrze ojciec mówi, że nasi rzemieślnicy... Patrz, Madziu, idzie ten, od rejenta...

Ten od rejenta pięknie ukłonił się i — aż stanął na ulicy, ażeby kontemplować węgierskie buciki panny Eufemji.

— Biedny człowiek ten stolarz!... — odparła Madzia. — On tak z biedy mówi, sam nie wie, co... Wiesz, Femciu, ławki odłóżmy na później, a teraz zobaczmy lokal... Podobno w starej oberży są dwa ogromne pokoje...

— A, moja droga, to już nie dzisiaj — odpowiedziała stanowczym głosem panna Eufemja. — Umarłabym, gdyby mi przyszło dłużej oglądać takie brudy...

— Panie z przechadzki?... — odezwał się pan Miętlewicz, wyszedłszy nagle z poza rogu domu Eisenmana, najznakomitszego kupca towarów kolonjalnych, żelaznych i łokciowych w Iksinowie.

— Powiedz pan z dantejskiego piekła!... — zawołała panna Eufemja. — Co za okropne błoto... co za straszni ludzie... Niechno mi pan poda rękę... Ach, nie tak!... tylko końce palców, ażebym mogła przejść... Idź naprzód, Madziu, a pan będzie nam po-

kazywał drogę, bo... ach... ach... panie Miętlewicz, proszę mnie trzymać!...

I, coraz dokładniej ukazując buciki, piękna Eufemja podała panu Miętlewiczowi koniec rączki, jak w menuecie. Niekiedy chwiała się, zresztą na najrówniejszem miejscu, a pan Miętlewicz płonął z rozkoszy, czując na swoich grubych palcach uścisk jej paluszków.

Weszli na rynek, a jednocześnie wybiegł z apteki pan Krukowski i, powiewając jasnym kapeluszem, wołał zdaleka:

— Witam panie!... co za szczęśliwy traf!...

— Aaa... nie spodziewałam się, że pan jest tak niegrzeczny, panie Miętlewicz. Niechże pan poda rękę Madzi... widzi pan, jaką ona złą drogę wybrała — rzekła panna Eufemja półgłosem. I musiała doznać uczucia triumfu, przekonawszy się, z jakim pośpiechem rozkaz jej został wykonany. Pan Miętlewicz bowiem w okamgnieniu stanął przy Madzi i z równą umiejętnością, jak poświęceniem, zaczął przeprowadzać ją po kamykach na drugą stronę wielkiej kałuży.

— Panie Krukowski, niechże pan przeprowadzi pannę Eufemję!... — rzekł Miętlewicz do pana Ludwika, który, jakby zdziwiony, zbliżył się do podsędkówny.

— Może panu zrobi to kłopot?... — rzekła, rumieniąc się, cudna Eufemja. — W takim razie obejdę naokoło, albo poproszę pana Miętlewicza...

— O, pani!... — szepnął wykwintny kawaler

i, z wdziękiem dotknąwszy kapelusza, zaczął pannę Eufemję przeprowadzać po kamykach.

Jeżeli pan Krukowski wątpił o nikczemności męskiego serca, to podczas krótkiej przeprawy mógł sprawdzić, że serce męskie jest nikczemne. Opuścił aptekę dla Madzi, biegł przez rynek za Madzią i był pewny, że ją przeprowadzi przez kałużę.

Dużo wycierpiał, zobaczywszy, że Miętlewicz podaje rękę jego ubóstwianej i — z niechęcią zbliżył się do panny Eufemji, która już od sześciu tygodni była mu całkiem obojętną.

A jednak — gdy machinalnie spojrzał na węgierskie buciki panny Eufemji, gdy zobaczył skraj rurkowanej spódniczki, gdy trwożne dziewczę kilka razy w ciągu przeprawy mimowolnie ścisnęło go za rękę, pan Krukowski... oddał uścisk za uścisk!... Owszem, przy każdym kamyku sam już zaczął ściskać pannę Eufemję, czując, że opanowuje go coraz większa tkliwość na widok jej bucików i śnieżnej białości falbanek.

Prawda, że gdy oboje znaleźli się na stalszym gruncie, w panu Krukowskim zakipiał gniew na Miętlewicza, który bardzo poufale rozmawiał z Madzią. Niemniej jednak, aż do domu doktora asystował pannie Eufemji, podziwiał cudne rumieńce i topniał pod jej wejrzeniami.

To też nie dziw, że gdy obie panienki wbiegły razem na ganek, nieco wyprzedzając swoich asystentów, panna Eufemja szepnęła Madzi:

— Pogodziliśmy się z Krukowskim...

— Ach, dzięki Bogu!... — zawołała Madzia, to-

nem tak szczerej radości, że panna Eufemja — naprzód spojrzała na nią z niedowierzaniem, a następnie — rzuciła jej się na szyję, mówiąc:

— Jakaś ty dobra, jakaś ty kochana, Madziu!... Nie dziwię się, że Miętlewicz szaleje za tobą.

VIII.

Pokój w oberży.

W parę dni Madzia, nie mogąc namówić panny Eufemji do obejrzenia lokalu na szkołę, sama poszła do starej oberży. Był to długi budynek, pod dachówką, murowany, składający się ze stajni i pewnej liczby izb; w stajniach można było umieścić kilkadziesiąt koni, a w każdej izbie wydawać wieczory tańcujące na kilkanaście osób. Kiedyś musiało tu bywać ludno i wesoło; dziś było pusto, zatrzymywali się bowiem w starej oberży tylko najubożsi podróżni, a i to rzadko.

W ogromnej stajni, bez żłobów i drabin, lecz pełnej dziur w dachu, Madzia zobaczyła naprzód kurę, rozgrzebującą garstkę śmieci, potem żółtego psa, który leżał pod ścianą, lecz na widok Madzi warknął i uciekł, a nareszcie obdartego żydka, który za obietnicę czterech groszy podjął się wyszukać właścicielkę zajazdu. Jedna z izb była naoścież otwarta, więc Madzia weszła, ażeby tam doczekać się gospodyni.

Nagle — serce uderzyło jej śpieszniej: za wysokiemi drzwiami, które łączyły czy oddzielały ten pokój od sąsiedniego, usłyszała żywą rozmowę. Prowadziły ją dwa głosy: łagodny kontralt kobiecy i — nienaturalnie przytłumiony głos męski.

— Ty tego nie zrobisz, Franiu, jeżeli mnie choć trochę kochasz!... — mówiła kobieta błagalnym tonem.

— Owszem, zrobię!... — irytował się mężczyzna. — Niech małpa raz dowie się, co jest obrazić artystkę, która polotem ducha, subtelnością uczuć, talentem...

— Zaklinam cię, Franiu, pójdź jutro, gdy uspokoisz się...

— Nie — spadnę na nich dziś... zaraz... natychmiast... jak piorun...

Rozległo się niby szamotanie, potem odgłos pocałunków, i znowu mówiła kobieta:

— Dobrze, więc dziś! Ale jeżeli mnie choć troche kochasz, zrób pierwej, o co cię proszę...

— Ciekawym?... Chociaż to nie zażegna katastrofy...

— Pójdziesz do niej za godzinę... Daj mi słowo, że dopiero za godzinę... Franiu...

— Kobieto, zastanów się!... Jakżeż ja mogę iść dopiero za godzinę, kiedy nie mam zegarka?... — wysyczał mężczyzna głosem duszonego człowieka.

— Więc zróbmy tak. Wyjdź za miasto, za kościół... Wiesz, tam, gdzie wczoraj tak pięknie deklamowałeś „W Szwajcarji...“

— Co za deklamacja, z taką chrypką!...

— Cudownie deklamowałeś, mówię ci... Idź więc tam, potem wróć, a ja tymczasem zrobię obiad...

— Z czego?... — zdziwił się mężczyzna.

— Mamy przecież złoty i groszy siedm... Kupię jaj, bułek... jest sól i herbata...

— A cukier?

— Może nam pożyczy gospodyni... Tylko idź i... potem zrobisz, co zechcesz, ale aż po obiedzie.

— Zdepczę babę!... zmaltretuję!... opiszę w gazetach!...

— Ach, poco ja ci to powiedziałam...

Znowu pocałunki i szelest, jakby się ktoś ubierał. Po chwili mężczyzna wyszedł, deklamując w sieni schrypniętym głosem:

„Włochatą pierś do czystych tuląc łon..."

Na progu izby, gdzie była Madzia, ukazała się gospodyni, stara Żydówka w jedwabnej peruce na głowie.

— Aj, panienka u nas?... Co panienka tu robi?... Już panienka zdrowa?... — mówiła na powitanie właścicielka zajazdu.

Madzia w kilku słowach objaśniła ją, że ktoś pragnie wynająć dwa duże pokoje w oberży na cały rok i że ona chce obejrzeć lokal.

— Bardzo proszę panienki — odparła gospodyni. — Tu jest pięć izb!... Sam książę, sam naczelnik mógłby tu mieszkać przez cały rok... Tu nawet pan Bieliński stawał...

Okazało się, że z książęcych apartamentów jedna izba jest obórką, druga nie ma podłogi, trzecia

okien, ani drzwi. Naprawdę, kwalifikował się do wynajęcia pokój, w którym Madzia czekała na gospodynię, i ten sąsiedni, w którym słyszała rozmowę.

— Czy nie możnaby obejrzeć tamtego?... — zapytała Madzia, czując, że w jej sercu walczy obawa zobaczenia osoby nieznanej z nieprzepartą ciekawością.

— Dlaczego nie?... Bardzo proszę panienkę... To jest sam najpiękniejszy pokój... Tu stawał pan Bieliński...

— Ale tam teraz mieszkają jacyś państwo — wtrąciła Madzia.

— Nic nie szkodzi... Oni są aktory, oni tu mają trochę pograć, trochę komedje pokazać. Każdy chce żyć, moja kochana panienko... O, proszę wejść... — mówiła gospodyni, otwierając drzwi.

Madzia osłupiała. Na środku izby zobaczyła młodą kobietę, która, zasłaniając oczy niezbyt czystą chusteczką, zanosiła się od płaczu. Widok łez zawsze robił na Madzi bolesne wrażenie, ale tym razem wstrząsnął ją do głębi duszy. Pomyślała, że płacząca kobieta musi być bardzo nieszczęśliwą, i zdawało jej się, że ona już zna tę obcą, że jest jakby jej krewną i że powinna ją pocieszyć.

Więc pobiegła do płaczącej i, schwyciwszy ją za ręce, rzekła:

— Co pani jest?... Co się to dzieje?...

Stara Żydówka zamknęła drzwi i cofnęła się do sieni.

Nieznajoma przestraszyła się; lecz, widząc przed sobą słodką twarzyczkę Madzi i pełne łez sza-

re oczy, uspokoiła się. Była to młoda, szczupła blondynka, z cerą zużytą i niebieskiemi oczyma. Popatrzyła na Madzię i odpowiedziała z naiwną prostotą:

— Och, mamy wielkie zmartwienie, proszę pani!... Chcieliśmy tu dać koncert. Ale tam, skąd przyjeżdżamy, Franio... to jest pan Ryszard, musiał zastawić wiolonczelę, a tu nie możemy dostać fortepianu.

— Przecież fortepiany są u nas... — wtrąciła Madzia.

— Wiem i nawet przed godziną byłam u tutejszej pani podsędkowej z prośbą o pożyczenie fortepianu. Ale ona... (znowu zaczęła szlochać), ale ona... kazała mi wyjść z pokoju...

— Podsędkowa?... — powtórzyła zdumiona Madzia.

— Ach, jaka to niedobra kobieta!... Przecież żebraka nie godzi się wypędzać z domu, a nie dopiero... — mówiła, łkając, nieznajoma. — Ja jeszcze zrobiłam głupstwo, bo w pierwszym żalu powiedziałam o tem Franio... panu Ryszardowi, który strasznie odgraża się na podsędkową... Naturalnie, jeżeli jej powie choć słówko, koncert przepadnie i... już nie wiem... co poczniemy...

Madzia uściskała ją i, posadziwszy na podartej kanapce, zaczęła mówić:

— Droga pani, niech się pani uspokoi... Będzie koncert... musi być... Ja pani pożyczę naszego fortepianu, tatko wyrobi wam salę w refektarzu i wszystko będzie dobrze. Ja jestem Brzeska, córka tutejszego doktora... chcę założyć małą pensyjkę...

— A ja jestem Stella, a nazywam się Marta Owsińska — odpowiedziała nieznajoma. — Ja śpiewam, a Fra... pan Ryszard akompanjuje mi na fortepianie; potem on gra na wiolonczeli, a ja mu akompanjuję... Jest nam bardzo źle, chociaż dawniej jemu było lepiej, bo to sławny deklamator...

W tej chwili z łoskotem otworzyły się drzwi i wszedł jegomość w ciemnym wyszarzałym paltocie i w chustce na szyi. Gdy na środku izby zdjął kapelusz z ogromnem rondem, Madzia zobaczyła bladą twarz, czarne oczy i ciemne włosy, które w obfitych lokach spadały aż na chustkę.

Jegomość szedł przez izbę tragicznym krokiem, zgóry patrząc na Madzię i bawiąc się brudną rękawiczką. Wreszcie zatrzymał się, spojrzał na Stellę pałającemi oczyma i zapytał zduszonym głosem:

— *Qui est cette demoiselle?*

— Biedna nauczycielka — odparła Madzia, sama nie wiedząc, skąd przyszedł jej taki koncept do głowy.

— A toś się pani dobrze wybrała!... — syknął jegomość.

Stella zerwała się z kanapki i rzekła:

— Franiu... to córka tutejszego doktora...

— Tak?... — odparł niedbale.

— Pożyczy nam fortepianu...

— Ooo! — syknął jegomość.

— Mówi, że uda się nam koncert...

— Aaa!... I nisko ukłonił się Madzi, z ręką na sercu, jak aktor ze sceny.

— Pan... pan Franciszek Kopenszteter... — zaprezentowała go bardzo zmieszana śpiewaczka.

— Właściwie, Sataniello... — wtrącił chrapliwie jegomość. — Sataniello... fortepianista, wiolonczelista, profesor deklamacji i głośny w swoim czasie poeta...

Ukłonił się jeszcze raz, zakreślając przytem nogą łuk w powietrzu, a ponieważ Madzia patrzyła na niego z podziwem, więc prawił dalej:

— Ale niech pani to nie kłopocze, umiem być dobrym kolegą... Zresztą — dodał z westchnieniem— nigdy nie byłem dumny, a tem mniej dziś, od czasu, jak muszę tułać się po prowincji... Prowincja — to grób talentów... Dostałem chrypki, wiolonczelę zabrali Żydzi... natchnienie coraz rzadziej nawiedza mnie... Cóż — zwrócił się nagle do Stelli — obiad jest?... Ironja... sarkazm — nie obiad!... Kilka jaj na dwie osoby!...

Madzia, widząc przelęknioną fizjognomję Stelli, kiwnęła głową wielkiemu artyście, a do jego towarzyszki szepnęła:

— Niech mnie pani odprowadzi...

Gdy zaś obie znalazły się w stajni, zaczęła prosić i zaklinać Stellę, ażeby pożyczyła od niej rubla.

— Odda mi pani po koncercie — mówiła błagalnym tonem.

Śpiewaczka, z początku zakłopotana, wkońcu zgodziła się przyjąć pożyczkę. A gdy w parę minut później, szukając właścicielki zajazdu, Madzia znowu przeszła około drzwi artystów, usłyszała w po-

koju radosny śmiech Stelli i łoskot, jakby dwie osoby tańczvły walca.

„Bawią się, jak dzieci!“... — pomyślała.

Madzia (według jej własnej opinji) dużo już przeszła w życiu, ale — jeszcze nigdy nie czuła się tak wzburzoną, jak w tej chwili.

Czy kto słyszał, czyby kto uwierzył, że ona, Madzia Brzeska, którą panna Howard niekiedy nazywała dzieciuchem, że ona... ma się zająć urządzeniem koncertu!... I to prawdziwego koncertu prawdziwych artystów!...

— Stella i Sataniello... — szepnęła Madzia. — Zabawnie się nazywają, ale ładnie... Ona milutka, on wcale przystojny... nawet interesujący... A jak na mnie spojrzał?....

Aż zarumieniła się, pod wpływem szybkiego chodu, a może na wspomnienie: „jak on spojrzał“... Dziwnie spojrzał, niedarmo nazywa się Sataniello...

„Już jabym nie chciała spotkać się z nim w lesie“ — pomyślała Madzia, marszcząc gęstą brew.

Swoją drogą była zachwycona. Zdawało jej się, że całe miasteczko patrzy na nią, że ona sama nietylko biegnie, lecz za chwilę wyleci pod obłoki, jak ten oto gołąbek. Tak jej było pilno, tak była przepełniona ważnością sprawy. Ona, niegodna, nic nieznacząca osoba urządza koncert dwojgu biedakom i wielkim artystom, którzy nie mają co jeść; ją powołała Opatrzność do tego dzieła, jak niegdyś rybaków i celników do opowiadania Ewangelji.

Wróciwszy do domu, wpadła do gabinetu ojca.

Doktór przyjmował chorych i zadziwił się, widząc Madzię, jak z rozognioną twarzyczką zatrzymała kolejnego pacjenta, ażeby rozmówić się z ojcem.

— Cóż tam znowu? — spytał doktór, trochę zaniepokojony.

Madzia zaczęła mu opowiadać półgłosem, prędko i nieporządnie o Stelli, o Sataniellu, o refektarzu, fortepianie, koncercie, panu Krukowskim, matce i Miętlewiczu. Upłynęło kilka minut, zanim doktór, wymiarkowawszy, o co chodzi, począł zadawać jej pytania i dowiedział się, że Madzia chce pożyczyć fortepianu jakiemuś Sataniellowi i Stelli.

— Więc proś o to matkę.

— Nigdy, tatku... Tylko tatko może o tem powiedzieć mamie... Wreszcie tatko musi im wyjednać refektarz...

— A im naco refektarz?

— Mówię, że na koncert?...

— Jaki koncert...?—pytał zrozpaczony doktór.

— Przecież mówię tatce, że: Stelli i Satanięlla... Oni mieszkają w starej oberży. Niech tatko zaraz do nich wstąpi, a przekona się, co to za biedacy... No, mówię tatce, że nie mieli dziś na obiad... Ale ja teraz nie mam czasu i pójdę do pana Krukowskiego...

Doktór schwycił się za głowę.

— Zaczekaj-no, ty warjatko...

— Proszę tatki, daję słowo, że nie mam czasu, bo ja jeszcze muszę pogadać z panem Miętlewiczem i ogromnie się boję, ażeby mama za wcześnie nie dowiedziała się, boby mi zabroniła...

Ojciec zatrzymał ją za ramię.

— Ter... ter... ter... ter... i nie mam czasu... — przedrzeźniał ją. — Ale powiedzno, co to za ławki obstalowujesz u stolarza?...

— A bo widzi tatko — rzekła ciszej—ja z Femcią chcemy tu założyć pensyjkę...

Doktór podniósł brwi i rozstawił ręce.

— Tobie naco pensja?... Nie masz co jeść w domu, że chcesz innym chleb odbierać?—spytał.

— Więc to tak?... — zdziwiła się Madzia. — Więc tatko i mama pracują, Zdzisław pracuje, a ja mam próżnować?... Przecież ja tu usycham z nudów i rozpaczy, że nic nie robię...

— A nacóż tobie robota?

— Więc to tak?... Więc ja nie jestem samodzielnym człowiekiem, nie mam żadnych obowiązków, nie mam prawa służyć społeczeństwu, nie mogę przyczyniać się do ogólnej pomyślności, do postępu i szczęścia młodych pokoleń, do podźwignięcia kobiet z upokarzającego stanowiska?...

Ponieważ głos jej zaczął drżeć, a szare oczy zachodzić łzami, więc doktorowi — zrobiło się ciepło koło serca. Wziął ją dwoma palcami za brodę, ucałował i rzekł:

— No, już będziesz miała fortepian, refektarz, pensję... tylko nie becz, bo pacjenci czekają... Oj ty... ty... emancypantko!...

Madzi, kiedy z ust ojca usłyszała wyraz: emancypantka, zdawało się, jakby przed nią nagle — ktoś drzwi otworzył. Wyraz ten miał w tej chwili szczególną ważność, lecz ponieważ nie było czasu do stracenia, więc Madzia nie zastanawiała się nad dozna-

nem wrażeniem. Rzuciła się ojcu na szyję, ucałowała mu ręce i chyłkiem wymknęła się z jego gabinetu do miasta, ażeby nie spotkać matki.

IX.

Działalność Madzi.

Los był dla niej życzliwy, tuż bowiem w rynku zesłał Miętlewicza:

— Ach, jak to dobrze, że pana spotykam!... Wie pan, mamy koncert: pana Sataniello i panny Stelli...

— Ho! ho!... — mruknął Miętlewicz, patrząc na nią z podziwem.

— Tak. Biorą od nas fortepian, tatko wyrobi salę refektarską... A pan, złoty panie, zajmie się urządzeniem...

— Koncertu?... — spytał Miętlewicz.

— Tak, kochany panie... Będę panu bardzo, ale to bardzo wdzięczna, jeżeli pan zajmie się ich koncertem...

Mówiła to tak ślicznym głosem, tak ścisnęła go za rękę, tak słodko spojrzała w oczy, że Miętlewicz poczuł zawrót głowy. Faktycznie zobaczył, że rynek zaczyna się obracać dokoła nich, od ręki prawej ku lewej, i że nawet w tym ruchu zachwiały się wieże kościelne.

— Zrobi pan to... dla mnie? — nalegała Madzia.

— Ja?... — rzekł Miętlewicz. — A czegóż ja nie zrobiłbym dla pani?...

I chciał, na dowód, porwać za kołnierz przechodzącego żydka. Lecz opamiętał się i zapytał:

— Co pani każe?... Salę ozdobię... krzesła ustawię... mogę stać przy sprzedaży biletów... Ale ten Sataniello nie ma wiolonczeli...

— Prawda!... szkoda...

— Żadna!... — odparł zacietrzewiony Miętlewicz. — Sprowadzę tu jego wiolonczelę i nawet zatrzymam u siebie, ażeby jej drugi raz nie zastawił przed koncertem...

— To on taki? — machinalnie spytała Madzia.

— To pani go nie zna?...

— Skąd?...

— Myślałem, że z Warszawy...

— Nie, — ja ich tu przypadkiem spotkałam w oberży.

— Pani była u nich w oberży?

— Tak. Oni są bardzo... bardzo biedni, panie Miętlewicz... Oni powinni mieć koncert...

— I będą mieli — odparł. — Ale z pani prawdziwa emancypantka!... — dodał z uśmiechem.

— Dlaczego?... — zdziwiła się Madzia.

— Bo żadna z naszych pań nie poszłaby do wędrownych aktorów, ani zajęła się koncertem dla nich, choćby pomarli z głodu... Nasze damy to arystokracja... Ale pani, to anioł... — zakończył Miętlewicz, patrząc na Madzię, jakby ją chciał zjeść tu, na rynku.

Zmieszana Madzia pożegnała go i pobiegła do

siostry pana Krukowskiego, a Miętlewicz stał, stał, stał i patrzył za nią. A gdy popielata jej sukienka i piórko na kapeluszu zupełnie znikły za parkanem, pan Miętlewicz westchnął i poszedł do starej oberży złożyć wizytę wędrownym artystom i pogadać z nimi o koncercie.

Madzia tymczasem, biegnąc do domu pana Krukowskiego, a raczej jego siostry, myślała:

„I ten nazwał mnie emancypantką i tatko nazwał mnie emancypantką... coś w tem musi być... Może ja naprawdę jestem emancypantką?... Wszystko mi jedno; cóż to złego?... Zresztą, niech nazywają, jak chcą, byle udał się koncert“...

Jeżeli przeznaczeniem Madzi było rozbudzić senne dusze iksinowskiej inteligencji i wogóle wywołać jakieś energiczniejsze objawy w życiu powiatowego miasta; jeżeli było jej sądzone, że musi podniecać, zdumiewać, przerażać najspokojniejszych ludzi, w takim razie początek jej działalności przypadł na dzień 15-ty czerwca 187... roku, w którym przyszła jej idea urządzić koncert. W tym dniu bowiem, niespełna w ciągu godziny, zdumiała własnego ojca, do reszty zawróciła głowę panu Miętlewiczowi, przeraziła i ostatecznie zawojowała pana Krukowskiego, a wszystko — bez najmniejszej chęci wywołania podobnych skutków.

Dzień, jak wyżej powiedziano, był czerwcowy, pogodny, nawet gorący; godzina czwarta po południu. W takiej chwili każdy, kto nie ma obowiązkowej pracy, a ma przy domu własny ogród, siada pod drzewem, oddycha wonią kwiatów i słucha brzę-

ku owadów. A jeżeli nie może przypatrywać się obrazom własnej fantazji, patrzy na ziemię, gdzie rysują się cienie liści, które, dzięki delikatnym podmuchom wiatru, robią się podobnemi do wesołych, dziwnej formy istotek, skaczących, całujących się, kryjących i potem wychylających się z drugiej strony w tak zmienionym kształcie, że zdają się być jakąś nową istotką.

Siostra pana Krukowskiego nie miała zajecia i miała piękny ogród. Lecz ponieważ dzień był taki, że zdawał się wołać ludzi na świeże powietrze, więc właśnie dlatego eks-paralityczka postanowiła — zamknąć się w domu. Ubrała się w atłasową suknię, na głowę zarzuciła koronkę, ustroiła się w połowę swoich brosz, łańcuchów i bransolet i — siedziała na fotelu, a rączej na poduszce, mając drugą poduszkę za plecami, a trzecią pod nogami.

Następnie kazała pozamykać drzwi, ażeby nie wlatywały muchy, zapuścić rolety od gorąca i, ponieważ było duszno, kazała swemu bratu odświeżać powietrze zapomocą wody kolońskiej.

Właśnie gdy Madzia weszła do salonu, usłyszała ciche syczenie i zobaczyła pana Ludwika, który z monoklem w oku, a rezygnacją w postawie, siedząc naprzeciw siostry, obłożonej poduszkami, miętosił bańkę rafreszysera i odświeżał powietrze.

— Nie tak gwałtownie, Luciu — mówiła eks-paralityczka — wolniej... wolniej... Ach, to ty, Madziu? Prawda, jaki okropny dzień?... Mama zdrowa, tatko zdrów — szczęśliwi!... Jestem pewna, Madziu,

że jeżeli nie zrobi się chłodniej, nie doczekam wschodu słońca...

— Ależ siostruniu!... — wtrącił pan Ludwik, wciąż pompując rafreszyser.

— Nie przerywaj, Luciu!... Umrę, i nikt mnie nie będzie żałował... Nikt... Owszem, każdy ucieszy się... Ale co tobie, Madziu?... Jesteś jakaś rozgorączkowana...

— Biegłam prędko, proszę pani.

— Zdajesz się być zaniepokojona... Może co się stało, a wy ukrywacie przede mną? — zawołała chora.

— Nie, proszę pani, to pewnie z gorąca.

— A tak, z gorąca... Luciu, skrop Madzię...

Posłuszny pan Ludwik poprawił monokl i skierował na Madzię tak silny prąd wody kolońskiej, że jego siostra zawołała:

— Ależ nie tak gwałtownie, Luciu!... Dosyć... teraz mnie trochę...

Eks-paralityczka miała w tej chwili paroksyzm gadulstwa. Jak okręt, który, wyjeżdżając na pełne morze, rozwija coraz nowy żagiel, tak chora dama z przeszłości, teraźniejszości, przyszłości i możliwości wywłóczyła coraz nowe opowiadanie. Pan Ludwik był bliski zemdlenia, a Madzia lękała się apopleksji.

Myślała, że udusi się z niecierpliwości. Madzia przyszła tu, ażeby z panem Krukowskim pomówić o koncercie, a tymczasem jego siostra, po półgodzinnem gadaniu, zdawała się dopiero rozpuszczać skrzydła, jak orzeł, który ociężale wznosi się między ska-

łami i dopiero, gdy wierzchołki ich ujrzy pod sobą, zabiera się do właściwego lotu.

„Muszę mu w jaki sposób dać do zrozumienia, że mam interes“ — pomyślała Madzia. A przypomniawszy sobie z opowiadań o magnetyzmie, że wzrokiem można drugiej osobie zakomunikować swoje intencje, zaczęła bystro wpatrywać się w pana Krukowskiego.

Pan Ludwik spostrzegł błyskawice spojrzeń Madzi. Z początku wziął to za objaw rozgorączkowania i, słodko uśmiechnąwszy się, z całą elegancją skierował na Madzię nowy strumień rafreszysera. Lecz, gdy policzki Madzi zaczął okrywać coraz silniejszy rumieniec, gdy szare oczy pałały coraz silniej, a wilgotne, rozchylone usta nabierały coraz żywszej barwy karminu, pan Krukowski sam zarumienił się i skromnie spuścił oczy.

„Co za namiętność!“... — pomyślał. Przyszły mu na pamięć rozmaite damy, które okazywały mu życzliwość, i przeczuwał, że Madzia znajduje się w jednej z tych chwil, po których zazwyczaj następuje wyznanie.

„Przecież nie mogę pozwolić, ażeby ona mi się oświadczyła!“... — rzekł w sobie i postanowił rzucić na Madzię jedno z owych spojrzeń, w których mieści się uspokojenie, nadzieja, wzajemność — słowem — doskonała harmonja dusz.

Więc spojrzał. Lecz któż zdoła opisać jego przerażenie, gdy spostrzegł, że Madzia mruga na niego i robi mu oczyma jakieś znaki.

Pan Krukowski już tak kochał Madzię, że w pierwszej chwili stało mu się przykro.

„Poco ona to robi?...“ — pomyślał.

Lecz jej spojrzenia były tak płomieniste, a w twarzy malowała się tak namiętna niecierpliwość, że pan Krukowski uczuł w sercu coś nadzwyczajnego.

„Boże — pomyślał z trwogą — czy ja wydołam!“...

Zrozumiał, że nie wydoła, lecz jednocześnie zbudził się w nim desperacki szał, jaki w ostatniej chwili musi ogarniać samobójców.

„Niech się, co chce, dzieje!“... — powiedział sobie i podniósł się, zdecydowany na wszystko.

— Panno Magdaleno — rzekł — może pani przejdzie się po ogrodzie?...

— Ach, owszem!... — zawołała z radością.

„Muszę się oświadczyć — pomyślał pan Ludwik. — Klamka zapadła“...

— Wy poco do ogrodu na taki okropny czas?— oburzyła się eks-paralityczka, której właśnie przerwano bardzo interesujące opowiadanie.

— Przejdę się z panną Magdaleną, siostruniu, ponieważ widzę, że cała mieni się... Tu gorąco i duszno — odpowiedział pan Ludwik głosem tak stanowczym, że chora dama umilkła jak baranek.

— Zaczekajcie... weźcie mnie z sobą!... — rzekła tonem słodkiej wymówki.

— Przyślę tu kogo, ażeby przywiózł siostrunię za nami. Walentowa!... — zawołał z ganku — do pani...

Ledwie weszli do ogrodu, Madzia schwyciła pana Krukowskiego pod rękę i szepnęła:

— Wie pan, myślałam, że umrę...

— Skarbie!... — odparł pan Krukowski, ściskając ją za rękę.

„Będzie koncert!“ — pomyślała Madzia i dodała głośno:

— Zdawało mi się, że już nigdy nie pozwolą mi rozmówić się z panem... No, nigdy!...

— Czyliż to potrzebne?... — szepnął zkolei pan Ludwik. — Ja już wiem wszystko...

— Wie pan?... A kto panu powiedział?...

— Oczy pani... Ach, te oczy!...

Madzia wyrwała mu się z pod ramienia i, stanąwszy na ścieżce, klasnęła w ręce.

— A to wypadek! — zawołała tonem szczerego zdumienia. — No, daję panu słowo, że przez cały czas myślałam: czy też on zgadnie, co ja mu chcę powiedzieć?... To może pan nawet wie, jak się nazywają?...

— Kto?... — zawołał pan Ludwik, rozkładając ręce.

— No, przecież ci, którzy mają dać koncert: Stella i Sataniello. On nazywa się Sataniello i z pewnością będzie grał na wiolonczeli, bo ją pan Miętlewicz wykupi...

— O czem pani mówi, panno Magdaleno? — spytał pan Krukowski. Doznał w tej chwili uczuć człowieka, który, idąc pędem — nagle zaniewidział.

„Co się ze mną dzieje?...“ — pomyślał i potarł czoło.

— Mówię o tym koncercie?... — odparła Madzia.

— O jakim koncercie?...

— Ależ pan nic nie wie! — zawołała. — Pocóż pan mówi, że pan wie?...

I zaczęła mu opowiadać, znowu bez ładu i składu o koncercie, o Stelli, refektarzu, nawet Miętlewiczu, który jest taki dobry, taki kochany, że podjął się wszystko urządzić. Wreszcie zakończyła:

— Ale cały koncert pójdzie na nic, jeżeli pan nam nie pomoże, drogi panie Ludwiku... Pan jest taki szlachetny... ja najpierw chciałam iść do pana, bo ja wiem, że pan najlepiej odczuje położenie tych biedaków.... Wie pan, że oni nie mają co jeść?... Prawda, że pan pomoże, panie Ludwiku?... Zrobi pan to, prawda?... Pan to musi zrobić!...

I tak go ściskała za ręce, tak patrzyła mu w oczy, tak prawie chciała zawiesić mu się na szyi, że panu Krukowskiemu na chwilę błysnęła myśl: porwać ją i uciec na kraj świata, a potem — umrzeć...

— Zrobi pan to?... zrobi pan?.. — pytała Madzia słodkim głosem, w którym było tyle prośby i niepokoju, że odurzony pan Ludwik odparł:

— Wszystko zrobię!... Przecież pani rozumie chyba, że ja muszę robić, co pani chce...

— Ach, jak to dobrze... jaki pan szlachetny... jaki pan kochany...

„Kochany!“... Wyraz ten, który Madzia już raz połączyła z nazwiskiem Miętlewicza, kolnął w serce pana Krukowskiego. Szczęściem, przyszło mu na myśl, że ona to powiedziała innym tonem i że on,

pan Ludwik Krukowski, ma prawo przywiązywać do tego wyrazu inne znaczenie.

— Cóż mam robić?... — spytał z uśmiechem.— Niech pani rozkazuje...

— Co?... — Madzia zadumała się. — Refektarz jest — mówiła — fortepian jest, wiolonczela jest... Wie pan co?... Naprzód będziemy rozprzedawać bilety...

— Ja z panią? Doskonale.

— Później da pan bukiet Stelli, kiedy będzie wychodziła na salę. Damy nie mogą występować na estradzie bez bukietu, przecież wiem...

— Nie, pani. Ja mogę dawać bukiety tylko jednej kobiecie... więcej żadnej. Ale, jeżeli pani życzy sobie, ażeby koncertantka miała bukiet, każę go zrobić, a wręczy jej który z tutejszej młodzieży.

— Dobrze — zgodziła się Madzia. — Ale zato musi mi pan zrobić jedną rzecz...

— Słucham i jestem gotów.

— Widzi pan — mówiła zamyślona — to będzie koncert bardzo nieurozmaicony... wiolonczela i śpiew, cóż to znaczy, osobliwie, jeżeli postawimy wysokie ceny... Prawda?...

— Rozumie się.

— Otóż widzi pan, ja zaraz pomyślałam, że będzie źle... I dlatego wie pan co zrobimy?... Pan — zagra na skrzypcach!... Pan tak ślicznie gra, panie Ludwiku... — mówiła mi Femcia.

— Ja?... — rzekł pan Ludwik i cofnął się.

— Pan, drogi panie... Przecież ja wiem, że pan ślicznie gra... cudownie... wszyscy będą płakali...

— Ja, z wędrownymi aktorami?...

— Przecież to na cel dobroczynny... Oni tacy biedni... O, pan musi grać, jeżeli mnie pan choć trochę lubi...

Pan Krukowski, usłyszawszy to, pobladł i odparł poważnym głosem:

— Jeżeli-ja-panią-lubię?... Panno Magdaleno... Krukowscy stawali dotychczas naprzeciw armat — pistoletów — szpad... Żaden — na estradzie, obok wędrownych aktorów... Ale jeżeli — w ten sposób— mam pani dowieść mego przywiązania — będę grał na koncercie...

I ukłonił się.

— Ach, jak to dobrze... Nie, pan jest najszlachetniejszy człowiek, jakiego spotkałam w życiu... Wie pan... naznaczymy ceny: po trzy ruble za pierwszy rząd, po dwa za drugi, a resztę po rublu...

Pan Ludwik uśmiechnął się melancholijnie.

— No, ale już dosyć... Dziękuję panu... bardzo dziękuję... — mówiła Madzia, patrząc mu w oczy i ściskając za ręce. — Jeszcze raz dziękuję i uciekam, bo od mamy dostanę burę...

Pan Krukowski, milcząc, pocałował ją w rękę, a gdy Madzia pożegnała się z jego siostrą, odprowadził panienkę na ganek i jeszcze raz pocałował ja w rączkę.

Gdy wrócił do ogrodu, chora siostra zaczęła przypatrywać mu się przez złotą lornetkę.

— Mój Ludwiku—rzekła surowo — co to znaczy? Magdalena jest rozdrażniona, ty zmieszany — przysięgam, że w mieście coś się stało!... Kto umarł:

proboszcz, czy major?... Nic nie taj przede mną, bo ja już wiem... Miałam okropne sny tej nocy...

— Nikt nie umarł i nic się nie stało.

— Luciu... nie przerażaj mnie — mówiła drżącym głosem. — Luciu... wszystko wyznaj... Ty wiesz, że ja wiele ci przebaczałam... Tobie coś jest...

— Nic. Poprostu jestem szczęśliwy.

— W imię Ojca!... Jakto szczęśliwy?... Przed godziną, kiedym kazała zamknąć balkon i zapuścić rolety, powiedziałeś, że niema nieszczęśliwszej istoty od ciebie, a teraz... Czy odebrałeś jaki list?... Może sztafetę?...

— Jestem szczęśliwy z wizyty panny Magdaleny — odparł znękanym głosem pan Ludwik.

Chora dama wybuchnęła śmiechem.

— Ach, więc oświadczyłeś się Madzi i zostałeś przyjęty?... Także mi mów... Ale żeń się, żeń.., niech w domu nareszcie zobaczę młodą twarz, bo z wami można oszaleć... To żona dla ciebie... ta potrafi mnie pielęgnować... Co za dobroć, jaki brak egoizmu, jakie delikatne dotknięcie... Nikt tak lekko nie podnosi mnie, jak ona... Nikt z prowadzących mnie pod rękę tak nie uważa, czy niema kamienia na drodze, ażebym się nie uraziła...

— Ależ, siostruniu, to jeszcze nie skończone... to ledwo zaczęte!.., — przerwał niecierpliwie pan Ludwik.

— Więc nie przyjęła cię?

— Nie.

— Tylko co?

— Dała mi do zrozumienia, że wie, iż ja ją kocham i, w imię tej miłości, zażądała pewnej ofiary...

— W imię Ojca!... Jakiej ofiary?... — zawołała przerażona.

— Chce, ażebym zagrał na skrzypcach na koncercie — odparł stłumionym głosem.

— Tylko tego?... Więc graj, owszem... kobieta ma prawo żądać ofiar od mężczyzny, bo i sama niemałe ponosi. Wiem coś o tem... — dodała z westchnieniem

— Więc siostrunia chce, ażebym wystąpił na koncercie?...

— A rozumie się. Cóżto, Kącki nie występował ze skrzypcami a jednak miał piękną renomę... Zresztą, niech ludzie dowiedzą się, że i ty coś umiesz.

Pan Ludwik nie chciał wspomnieć o najważniejszej rzeczy: o wędrownych aktorach. Siedział zatem, milcząc, a chora dama prawiła:

— Daj koncert, kiedy tego chce i... żeń się, tylko prędko, gdyż czuję, że umrę wśród tych pomarszczonych twarzy, a jeszcze więcej — zeschłych serc... Nie wiem, jak zrobić: czy oddać wam drugą połowę domu, czy lepiej, ażebyście w tej ze mną mieszkali...

— Czy podobna, siostruniu?...

— Jakto, czy podobna?... Pokój, który zajmujesz obok mojego sypialnego, jest tak obszerny, że mogłyby w nim mieszkać ze cztery osoby, a nie dopiero młode małżeństwo. Ja przecież nie mogę zo-

stawać na noc sama, bez żywej duszy obok... Jeszczeby mnie zamordowali...

— Ależ, siostruniu...

— Ach, no!.. tak... — odparła dama po namyśle. — Tak, musicie mieć osobne mieszkanie, rozumiem to... Ale powiem ci, że i ja w tej pustce nie zostanę sama... Któreś z was, — ty, albo ona, musi czuwać nade mną. Więc umówcie się: jednej nocy ty będziesz spał w pokoju obok mnie, a drugiej ona... To was nie utrudzi; nawet wypada, ażeby małżonkowie dzielili się nietylko mojemi dochodami, ale i obowiązkami względem mnie...

Ton eks-paralityczki zrobił się tak cierpkim, że pan Krukowski, nie chcąc sprzeczać się z siostrą, skorzystał z przyjścia Walentowej i usunął się w głąb ogrodu — marzyć o pięknej przyszłości.

Dzięki ruchliwej strategji pana Miętlewicza, zanim skończył się dzień, już miasto wiedziało o mającym nastąpić koncercie. Miejscowa młodzież natychmiast wzięła w opiekę dwoje artystów. Jedni złożyli wizytę pannie Stelli, ofiarowując jej przy okazji kilka bukiecików i parę pudełek tanich cukierków, drudzy, zaznajomiwszy się z Sataniellem, ułatwili mu zaciągnięcie drobnej pożyczki.

Rezultat był ten, że już około wieczora w mieszkaniu, zajmowanem przez artystów, zjawiła się do Stelli praczka i szwaczka. Zaś około północy Sataniello, w towarzystwie miejscowej młodzieży, tak dobrze bawił się u Eisenmana, że — nagle odzyskał głos i z kielichem w ręku zaczął deklamować „Żałobny marsz“ do muzyki Chopina. Wrażenie było ko-

losalne, i niewiadomo, czy młodzież nie odniosłaby na rękach znakomitego deklamatora, gdyby mu — w połowie utworu — głos nie odmówił posłuszeństwa.

— Przeklęty lufcik! — syknął deklamator. — Znowu mnie zawiało...

— Może dym zaszkodził?... Za dużo dymu — wtrącił ktoś.

— A ja myślałbym, że to poncz — dodał sekretarz rejenta.

— Wogóle pił za wiele—szepnął Miętlewicz— ale za parę dni to minie, a na koncercie będzie deklamował jak — sam Trapszo.

— Niech żyje Trapszo!... To mi deklamator!— odezwał się przez łzy ktoś inny, którego za kłębami dymu nie można było dojrzeć, lecz który posiadał skłonność do płaczu, ile razy znalazł się u Eisenmana za stołem.

Na drugi dzień wpadła do Madzi panna Eufemja; była trochę blada, co jednak przy błyszczących oczach podnosiło jej wdzięki.

— Moja Madziu — rzekła obrażonym tonem— cożto znaczy?... Mówią w mieście, że urządzasz koncert — beze mnie... A przecież, jeżeli mamy być wspólniczkami, to chyba do wszystkiego...

— Nie śmiałam cię fatygować, bo... to wędrowni aktorzy... — odparła Madzia.

— Czy oni mówili ci co o nas?... — spytała wylękniona panna Eufemja.

— Nic nie słyszałam — odpowiedziała Madzia, rumieniąc się za kłamstwo.

— Bo widzisz, ona, ta śpiewaczka, była wczoraj u mamy z prośbą o pożyczenie fortepianu. Ponieważ mama nie znała jej, więc pojmujesz, nie mogła dać stanowczej odpowiedzi. Ale ja dziś przychodzę oświadczyć ci, że owszem... pożyczymy im fortepianu.

— Chcieli wziąć fortepian od nas, ale wasz lepszy.

— Rozumie się... bezporównania lepszy — mówiła panna Eufemja.—Słyszałam też, że Krukowski chce grać na skrzypcach... Nie wiem, czy to wypada, ażeby akompanjowała mu jakaś tam wędrowna artystka... Byłoby stosownie, gdyby mu akompanjował ktoś z towarzystwa... Zawsze grywaliśmy oboje razem, więc ze mną poszłoby doskonale... Jeżeli jednak żenuje się prosić o akompanjament, to napomknij mu, że ja mogę się zgodzić...

— Ach, jakże to doskonale!... — zawołała Madzia. — Więc będziesz grać na koncercie?

— Z Krukowskim... tak...

— Zaraz mu to powiem, i przyjdzie do ciebie z deputacją. Kogo wolisz: majora z rejentem, czy majora z moim ojcem?...

— Ja mówię o Krukowskim — odpowiedziała panna Eufemja. — Więc należy i major?...

— A jakże. Będzie nawet sprzedawał bilety, on i proboszcz, bo jakąś cząstkę z dochodu oddamy na kościół — mówiła z zachwytem Madzia. — Rozumiesz, że dla ciebie i pana Ludwika będzie nawet poręczniej występować na cel dobroczynny.

— Tak, ach tak... Jesteś zachwycająca!... — za-

wołała panna Eufemja. Powiadam ci — rzekła ciszej — tylko mnie nie wydaj z sekretu: Miętlewicz szaleje za tobą... Mówi, że na twój rozkaz skoczyłby w ogień... słyszałaś?...

— Bardzo dobry człowiek pan Miętlewicz — odpowiedziała spokojnie Madzia.

Panna Eufemja pogroziła jej palcem.

— Jakaś ty kokietka, Madziu!... Umiesz za nos wodzić chłopców... Tylko mi nie zbałamuć pana Ludwika, a zresztą wszystkich ci daruję...

X.

Koncert w małem miasteczku.

Tydzień ciągnęły się przygotowania do koncertu w Iksinowie. Wszystkie kwiaty z księżego ogrodu zamówiono dla dam; szwaczki, wynagradzane jak sopranistki, nie sypiały po nocach; z gubernjalnego miasta przywieziono furgon kapeluszy i wachlarzy; Eisenman, na ten raz jako kupiec bławatny, zapisał w księgach parę stronic nowych wierzytelności.

Panny nie wychodziły z domu, zajęte upiększaniem swoich sukien; aptekarzowa telegrafowała po narzutkę, obszytą łabędzim puchem; aptekarz, stojąc w progu apteki, głośno wyrzekał na niskość taksy aptekarskiej, przy której niepodobna dogodzić żonie. Cuda zaś opowiadano o nowej tualecie panny Eufemji i jej egzercytowaniu się na fortepianie.

Tylko Madzia nie miała czasu myśleć o strojach. Ledwie skończyła akompanjować Stelli do śpiewu (Sataniello leżał chory w łóżku), zaraz przybiegał pan Miętlewicz z pudełkiem kartek, na których trzeba było pisać numery krzeseł. Ledwie skończyła pisać numery, znowu musiała je nawłóczyć nitkami. Ledwie skończyła zajęcia w domu, wołano ją do refektarza, aby zasięgnąć opinji: czy sala wogóle dobrze wygląda.

Gdyby sama troszczyła się o ubranie, zapewne poszłaby na koncert w szarej sukience. Lecz pamiętała o niej matka, pocichu, bez wielkich dopasowywań, przygotowała jej sukienkę z gazy kremowego koloru. W dniu koncertu doktorowa uczesała ją, tu i owdzie zrobiła jeszcze parę ściegów na sukni. Lecz gdy Madzia około ósmej weszła z ojcem na salę, mając we włosach żółtą różę, a przy staniku amarantową — Miętlewicz osłupiał, a po refektarzu przeleciał szmer:

— Jakaż śliczna!..

Pusty refektarz sławnego niegdyś klasztoru zmienił się w salę teatralną. Ściany ozdobiono festonami z dębowych liści i naftowemi kinkietami; ze sklepienia zwieszały się dwa pająki, każdy na 20 świec, wybudowane z nieznanego materjału, lecz również obwieszone zielonością. Na jednym końcu sali stał fortepian państwa podsędków, parę krzeseł i parę stoliczków z kwiatami; zaś o kilka kroków od fortepianu, aż do głównych drzwi, tłoczyły się szeregi foteli, krzeseł krytych, taburetów, krzesełek giętych, a nawet ogrodowych ławek.

Dziwnie wyglądałoby to zbiegowisko sprzętów, gdyby kto miał czas na nie patrzeć. Szczęściem, na meble nikt nie zwracał uwagi, zebrani bowiem w sali iksinowianie zajęci byli oglądaniem samych siebie. Przedewszystkiem każdy rzucał okiem w jedno z czterech luster i podziwiał odbicie własnej osoby, która wydawała mu się, jeżeli nie czemś zupełnie nowem, to przynajmniej bardzo odnowionem. Następnie rzucał okiem na bliźnich i dostrzegał to samo zjawisko: wszyscy byli tacy piękni i weseli, tacy uprzejmi i zaciekawieni, tacy nowi lub odnowieni, że patrzący rozpływał się w zdumieniu. Jest-że to naprawdę pani aptekarzowa, a to — pan pocztmajster, a tamto — pani rejentowa?... Każda panna wygląda jak promień światła; każda dama jak uroczystość; każdy starszy pan jak hrabia, albo dyplomata; każdy młodzieniec jak Apollo w obcisłych spodniach.

Patrząc na te wdzięki i cuda, można było przypuszczać, że Eisenman, za poradą Miętlewicza, wymienił zwyczajnych iksinowian na jakąś rasę wyższą, sprowadzoną z gubernjalnego miasta, a kto wie, czy nie z Warszawy?...

Niespodzianki, zamiast słabnąć, potęgowały się. Dopiero co wprowadził pan Krukowski siostrę, która miała ruchy tak swobodne, jakby nigdy nie narzekała na paraliż; wnet przypłynęła w towarzystwie rodziców panna Eufemja, na widok której Cynadrowski zawołał: aaa!... major zaś dodał półgłosem: fiu!... fiu!.. Ledwie uspokojono się po powitaniu panny Eufemji, już na jednym z pająków pochyliła się

świeca i zaczęła okapywać frak sekretarzowi komisarza. Zdawało się, że przy wejściu Madzi ogólny zapał dosięgnął zenitu, gdy nagle usłyszano od okna gęste trzaskanie batów, a w korytarzu wystraszony głos, który zawołał:

— Szlachta jedzie!...

Jakoż ukazał się jaśnie wielmożny Bieliński z małżonką i córką, jaśnie wielmożny Czerniawski z dwiema córkami i siostrzenicą, a po nich cały sznur znanych i powszechnie szanowanych wielmożnych panów Abecedowskich, Bedowskich, Cedowiczów, Efowskich, Feckich z małżonkami i córkami, około których krążyła czerstwa młodzież.

Towarzystwo to umieściło się przeważnie w kilku pierwszych rzędach foteli i wyściełanych krzeseł. Wszyscy mieli trzyrublowe bilety, wszystkie damy rozmawiały po francusku, niektórzy młodzi panowie zaopatrzyli się w lornety z wyścigów konnych. Jaśniejąca wdziękami w pierwszym rzędzie, panna Eufemja, zauważyła, że większa część owych lornetek i spojrzeń zwraca się do czwartego rzędu krzeseł, gdzie siedział doktór Brzeski z córką i — z bladym uśmiechem — szepnęła do matki:

— Jak ta Madzia kompromituje się!... Wszyscy na nią patrzą...

— Już ja uważam, że i na ciebie ktoś bardzo patrzy — cicho odparła matka. — O ten, pod ścianą... Tylko nie mogę dojrzeć: czy to młody Abecedowski, czy młody Cedowicz... Dobre partje...

Panna Eufemja spojrzała we wskazanym kierunku i szybko odwróciła cudowną główkę.

— Któż to? — spytała podsędkowa.

— Nie wiem — odparła z niechęcią piękna panna, spostrzegłszy Cynadrowskiego.

Aby zaakcentować różnicę między bezinteresownymi amatorami i płatnymi artystami, komitet koncertowy uchwalił: primo — że amatorowie wystąpią pierwej, secundo — że amatorowie wyjdą z pomiędzy widzów i wrócą pomiędzy widzów, zaś artyści będą wchodzić i wychodzić na salę drzwiami bocznemi, które kiedyś łączyły refektarz z klasztorną kuchnią.

Na chwilę przed rozpoczęciem jaśnie wielmożny Czerniawski, który, na znak szacunku i sympatji, siedział przy siostrze pana Krukowskiego, w jej imieniu doręczył bukiet pannie Eufemji. Hołd ten zachwycił podsędkową, lecz nie rozwiał melancholijnego uśmiechu z oblicza panny, która spostrzegła, że Krukowski nierównie piękniejszy bukiet osobiście wręczył Madzi. Przytem tak żywo rozmawiał z nią, że dopiero Miętlewicz przypomniał mu, iż pora zaczynać.

Wtedy pan Krukowski jakby ocknął się, zbliżył się do panny Eufemji, z ukłonem podał jej rękę i podprowadził do fortepianu.

Szmer rozległ się w sali: panna Eufemja bowiem w białej, powłóczystej sukni, wyglądała jak Wenus, skazana na osiedlenie do Iksinowa. Eleganc-ko usiadła przy fortepianie i z taką gracją zaczęła zdejmować długie jak wieczność rękawiczki, że sam pan Krukowski, pomimo nieograniczonej miłości dla Madzi, pomyślał:

„Ciekawym, dlaczego chrześcijaninowi nie wolnoby mieć dwóch żon?... Femcia jest pyszna!...“

Panna Eufemja zaczęła grać coś tak pięknego i eleganckiego, jak ona sama, ale co, pan Miętlewicz nie wiedział. Stojąc obok pierwszego rzędu krzeseł, spostrzegł, że podsędkowa zalewa się łzami macierzyńskiej radości, że Cynadrowski wygląda, jakgdyby chciał rzucić się do pedałów fortepianu. Lecz całą uwagę pana Miętlewicza pochłonęły urywki rozmowy, toczącej się półgłosem między siostrą pana Krukowskiego i jaśnie wielmożnym Czerniawskim.

— A... — mówił pan Czerniawski, wskazując okiem na fortepian — a... piękna kobieta!... Co za postawa... oko... pierś... odsada... A nóżka jaka cienka w pęci... w kostce... A... nie dziwię się Ludwikowi, że chciał się z nią żenić...

— Już za późno — odparła siostra pana Krukowskiego i, pochyliwszy się do sąsiada, szepnęła mu parę słów.

Co szepnęła?... pan Miętlewicz nie słyszał. Ale to widział, że jaśnie wielmożny Czerniawski odwrócił się i uważnie zaczął obserwować doktora Brzeskiego. Potem rzekł do eks-paralityczki:

— A... ma kuzynka słuszność: cudowna!... A... nie dziwię się Ludwikowi...

Pana Miętlewicza taki żal schwycił za gardło, że, bojąc się rozpłakać na środku sali, cofnął się aż na koniec refektarza, za drewniane krzesła, nawet za ogrodowe ławki.

Cóż go to interesowało, że pannie Eufemji da-

wano rzęsiste brawo, że obmierzły Krukowski aż dwa razy roztkliwiał się na swoich jękliwych skrzypcach?... Nierównie ważniejszem było, że w czasie antraktu pan Krukowski przedstawił Madzi jaśnie wielmożnego Czerniawskiego, po nim jaśnie wielmożnego Bielińskiego, a potem wszystkich znanych i szanowanych panów Abecedowskich, Bedowskich i Cedowiczów starszych i młodszych, z kwiatkami w tużurkach, lub z wielkiemi lornetami w pudłach, przewieszonych przez ramię.

W tej chwili on, pan Miętlewicz, powinien był udać się do kuchni, zajmowanej przez dwoje artystów, i powiedzieć im kilka słów otuchy. Lecz co go teraz obchodziła Stella lub Sataniello? Przecież nie dla nich objeżdżał wiejskie dwory i sprzedawał bilety po trzy ruble; nie dla nich, jak kot, wspinał się po drabince, aby na ścianach refektarza rozwieszać festony z dębowych liści; nie dla nich za własne pieniądze kupił dziesięć funtów świec stearynowych, po cztery na funt.

Cały koncert był dla pana Miętlewicza stracony. Prawie nic nie słyszał, co śpiewała Stella, a co odegrał na wiolonczeli Sataniello; nie rozumiał, za co dają im brawo i za co ich wywołują. On na całej sali widział tylko żółtą różę, a obok — pana Krukowskiego, który, wbrew przyzwoitości, zamiast asystować pannie Eufemji, jak rzypień przyczepił się do Madzi.

Dopiero na zakończenie koncertu przebudził go z bolesnej zadumy szmer głosów:

— Sataniello ma deklamować!... Sataniello...

Istotnie, wielki artysta stanął obok fortepianu.

przesunął ręką po długich kędziorach, które spadały mu aż na kołnierz wynajętego fraka, podniósł do góry bladą twarz i płomieniste oczy i głosem matowym, lecz przejmującym, zaczął:

„Powróciłem z podziemnej otchłani, z posępnego umarłych królestwa — i wciąż widzę, jak cierpią skazani, widzę wieczność męki i nicestwa... I straciłem u piekielnych progów pamięć szczęścia i słonecznych bogów...“

Świece w pająkach dopalały się, niektóre już gasły. W sali było tak cicho, jakgdyby zgromadzeni wyrzekli się prawa do własnego oddechu.

„Zostawiłem, za straszliwą bramą, mej miłości i walk moich ślady, a wyniosłem ból i rozpacz samą, gdy w objęciach jej cień zniknął blady, a jam nie mógł powrócić przebojem, po jej życie, które było mojem...“

Wtem — zaszlochał męski głos, i Miętlewicz zobaczył uciekającego z sali Cynadrowskiego. Kilka osób odwróciło głowy, w rękach dam zabielały chusteczki, lecz zresztą nikt nie przerwał ciszy.

Długowłosy deklamator mówił dalej, a każde jego słowo coraz ostrzejszym bólem przenikało serce Miętlewicza:

„Nie żądajcie więc pieśni ode mnie, bo — ja — z wami w szeregu nie stanę, by na gruzach przeszłości nikczemnie wielbić świata jaskrawą przemianę i, przed — waszym — schylając się bogiem, wydrzeć z serca, co mi było drogiem...“

Mówiąc: „waszym“ Sataniello wskazał na pierwszy rząd krzeseł, a więc albo na jaśnie wielmożnego Bielińskiego, albo na jaśnie wielmożnego

Czerniawskiego; w każdym razie na kogoś z partji szlacheckiej. Po sposobie, w jaki zakaszlał pan Abecedowski starszy, mieszczanie domyślili się, że partja uczuła zatruty pocisk, wypuszczony w jej piersi.

„Wszystkie — wasze pragnienia i cele, wszystko, co — was — upaja i pieści, i serc własnych — bezwstydne wesele, wszystko — mojej urąga boleści, i pogardzam kłamliwą rozkoszą i — bóstwami — co ją wam przynoszą...“

Artysta zachrypnął, ukłonił się i wybiegł w stronę drzwi kuchennych. Cisza... Wtem, jaśnie wielmożny Czerniawski krzyknął: brawo! jaśnie wielmożny Bieliński uderzył w tłuste dłonie, a za nimi cała partja szlachecka i wszyscy młodzi mieszczanie: sekretarze, prowizorowie, dietarjusze, pomocnicy i dependenci — wszyscy zaczęli bić brawo.

Sataniello odwrócił się, ukłonił i wskazał na gardło. Już młodzież obu stanów czekała na hasło, już jaśnie wielmożny Bieliński rozłożył ręce do powtórnego oklasku, gdy nagle zawołał jakiś głos:

— Kapie stearyna!...

Oklask zepsuł się, wszyscy ruszyli z miejsc. Wtem odezwał się drugi głos, przesiąknięty oburzeniem:

— Za co brawo?... Zato, że nas zwymyślał?... Że nas palcami wytykał?...

Był to wybuch aptekarza, któremu towarzyszyło potakujące chrząkanie kilku poważniejszych Iksinowian.

— Co on tam baje?... — szepnął jaśnie wiel-

możny Czerniawski do jaśnie wielmożnego Bielińskiego.

— Naturalnie! — odparł jaśnie wielmożny Bieliński jaśnie wielmożnemu Czerniawskiemu.

— A tu kapie na głowę stearyna... — dodał znany i powszechnie szanowany pan Abecedowski starszy.

Po tej wymianie zdań, cała partja szlachecka z damami i młodzieżą ruszyła ku drzwiom. Został tylko na chwilę pan Cedowicz młodszy, któremu nie chciała zamknąć się ogromna lorneta. Ale i ten wybiegł za resztą.

Pan Krukowski z siostrą i doktór Brzeski z Madzią także wyszli. Lecz państwo aptekarzowie i liczne grono ich przyjaciół zatrzymali się.

— Co to — irytował się aptekarz, usuwając się jak najdalej od kapiących pająków. — Co to, nie słyszeliście, państwo, jak ten aktor wymawiał — was — waszych — wam?... Nie uważaliście, jak na nas pokazywał rękami?... Wasze bezwstydne — mówił ten obieżyświat — wesele!... Że człowiek zje raz na dzień kawałek mięsa, to ma znaczyć bezwstyd?... A kiedy powiedział: wasze kłamliwe bóstwa — czy nie spojrzał na moją żonę?...

— Na mnie spojrzał — wtrąciła pani rejentowa.

— A czcigodnego doktora Brzozowskiego nie prowokował? — ciągnął dalej aptekarz. — Już nie pamiętam słów, ale były obrażające... Co w połączeniu ze wskazywaniem na osobę...

— Cóżby miał w tem? — nieśmiało wtrącił podsędek.

Pan aptekarz zniżył głos:

— Jeszcze sędzia nie rozumie?... Panna Brzeska urządziła mu koncert, więc on, wywdzięczając się... oszkalował doktora Brzozowskiego...

Podsędek chciał coś powiedzieć, lecz żona wzięła go za ramię.

— Nie spieraj się -- rzekła półgłosem. — Pan ma rację...

Podsędek spostrzegł, że jego małżonka i córka są bardzo oburzone; więc nawet nie starał się zbadać przyczyny, tylko opuścił głowę i wyszedł, niby oglądając swoje białe rękawiczki, które stanowczo były za duże.

Miętlewicz dziwił się, a zaczął się niepokoić, usłyszawszy w korytarzu rozmowę innej grupy Iksinowian.

— Co oni za jedni?... czy to małżeństwo — pytała jakaś dama.

— Małżeństwo, ale bez święconej wody — odpowiedział pan'ze śmiechem.

— Skądże znowu taka przyjaźń z panną Brzeską?...

— Stąd, że panna Stella jest emancypantka i panna Magdalena także emancypantka... Emancypantki trzymają się razem jak Żydzi, albo farmazoni...

Na ulicy Miętlewicz spotkał sekretarza pocztowego. Pan Cynadrowski był rozgorączkowany; chwycił Miętlewicza za palto i rzekł:

— Widziałeś dzisiaj pannę Eufemję?... Jak Boga kocham, albo sobie, albo Krukowskiemu strzelę w łeb, jeżeli on z nią będzie grywał koncerta...

— Ach, głupi!... — odparł z westchnieniem Miętlewicz. — Krukowski tyle myśli o pannie Eufemji, co i ja...

— Pewny jesteś? — spytał pan Cynadrowski, z odcieniem radości w głosie.

Miętlewicz wzruszył ramionami i, nie odpowiadając na pytanie, mówił jakby do siebie:

— Co im ten Sataniello zawinił?... — O co oni czepiają się panny Magdaleny?...

— Nic im Sataniello nie zawinił — przerwał Cynadrowski — ani panna Magdalena... To już gotowało się od kilku dni... Są przecież panny i panie, które wściekają się na pannę Magdalenę, że urządziła koncert bez nich... A znowu aptekarz — w łyżce wody utopiłby doktora Brzeskiego... Poczciwi ludzie, więc wszyscy na nich huzia!... Tak zawsze...— zakończył sekretarz z westchnieniem.

Pożegnawszy się z Cynadrowskim, który poszedł w stronę domu podsędków, Miętlewicz udał się do starej oberży. W ciemnej sieni potrącił jakąś ludzką figurę, w której poznał pana Fajkowskiego, prowizora farmacji.

— Co tu robisz? — spytał go Miętlewicz.

— Nic... byłem u nich... Tylko na miłość boską, nie mów o tem nikomu...

— Cóż twój stary taką awanturę zrobił dziś na koncercie?...

Pan Fajkowski zacisnął pięści i zaczął szeptać:

— Głupi on, stary kramarz... Mydło sprzedawać, śledziami handlować, nie aptekę prowadzić!... On się zna na deklamacji, albo na śpiewie!... Panna Stella śpiewała jak słowik, jak Dowiakowska, a ten mówi, że ma złą szkołę... Słyszałeś pan?... Mówi o szkole śpiewu facet, który ledwie sztubę ukończył... Boże, jakbym chciał wynieść się stąd!...

Rozpacz prowizora była tak wielka, że Miętlewicz nie próbował jej uspokajać. Pożegnał pana Fajkowskiego i zapukał do izby artystów.

— Wejść!... — zawołał ochrypłym głosem Sataniello.

Wielka izba wydawała się ogromną, przy mdłym blasku dwu świec, które Miętlewiczowi przypomniały, że on, za własne pieniądze, kupił dziesięć funtów świec na koncert. Było jednak o tyle widno, że dojrzał Sataniella, chodzącego dużym krokiem po izbie, i Stellę, siedzącą na kanapie, obok bukietów, nieco nadwerężonych. Na komodzie, między świecami, leżał laurowy wieniec z blachy, pomalowanej na zielono. Był to dar wielbicieli Sataniella, ofiarowany mu kiedyś, w Sokołowie, czy Węgrowie.

Stella obcierała oczy chusteczką, Sataniello dość gwałtownie zapytał Miętlewicza:

— Cóż, ile mamy z koncertu?

— Około stu rubli — odparł Miętlewicz.

— Czy i pan jesteś zdania, że nie udałby się nam drugi koncert?

Miętlewicz wzruszył ramionami. On już nie miał ochoty powtórnie urządzać koncertu poto, aże-

by pan Krukowski, okrywszy się na nim sławą, tem obcesowiej umizgał się do Madzi.

— A widzisz — zawołał Sataniello do swej towarzyszki — mówiłem, że nieproszona opieka panny Brzeskiej wylezie nam bokiem... Naraziliśmy się mocniejszej partji i — teraz mamy za swoje.

— Ależ, mój drogi, oni na ciebie są rozgniewani... — Zbyt żywo gestykulujesz...

— Co, więc ja źle deklamuję? — przerwał Sataniello.

— Cudownie deklamujesz, ale twoja gestykulacja tak podnosi wrażenie, iż ludziom zdaje się, że wymyślasz...

— Robić wrażenie jest posłannictwem artysty!... — wykrzyknął Sataniello. — Wówczas dopiero panuję nad tłumem, kiedy podnoszę go do niebios, rzucam w otchłań, pieszczę melodją wymowy, albo siekę sarkazmem... Czy dopiero jutro odbierzemy pieniądze, panie Miętlewicz?... — dodał nagle.

— Około południa.

— I pomyśleć — z zapałem prawił Sataniello— i pomyśleć, że moglibyśmy mieć ze dwa koncerta po sto rubli, a trzeci choćby za pięćdziesiąt... Ze trzy miesiące odpoczynku!...

— Wątpię — wtrącił Miętlewicz. — Miasto ubogie, okolica apatyczna...

— I z miasta przyszłoby więcej ludzi i z okolicy — mówił Sataniello. — Alboż mi to jeden dziś powiedział: panie, zastawiłbym co, ażeby znowu usłyszeć pańską deklamację... Ale cóż — protegowała nas panna Brzeska, osobistość niepopularna...

— Dajże spokój, Franiu! — wybuchnęła Stella, widząc, że Miętlewicz, który wszedł do nich roztargniony, zaczyna słuchać z uwagą i zdziwieniem. — Dajże spokój, przecież, gdyby nie pan Miętlewicz, nie pan Krukowski i nie panna Brzeska, nicbyśmy tu nie zrobili... Nawet ty nie miałbyś wiolonczeli, a ja fortepianu....

Miętlewicz popatrzył na nią szklanemi oczyma i, pożegnawszy się, wyszedł.

XI.

Echa koncertu.

Miętlewicz niebardzo rozumiał, o czem mówili artyści, tylko czuł, że wszystkie ich pretensje i skargi nie wypełniłyby głębokości jego żalu.

Szedł cichemi, niebrukowanemi ulicami, na których świeciły dwie dymiące latarnie, i myślał:

„Pocom ja wmieszał się do tego?... Naco ten koncert?... Nato, ażeby Krukowski bałamucił skrzypieniem pannę Magdalenę i później przedstawił jej rozmaitych wielkich panów, swoich niby przyjaciół... No i złapie ją z przed nosa... On, bogaty, elegant, familjant, a ja biedny cham!... Zawsze pulardy dla panów, a ochłapy dla hołoty“...

Im ciemniej robiło się na ulicach, tem posępniejsze myśli kotłowały w głowie Miętlewicza. Zdawało mu się, że ogarnia go powódź beznadziejnego smutku, którego fale uderzały razem z sercem, zmywając wszystkie cele, plany, widoki na przyszłość,

Co mu z jego kantoru, co po stosunkach z Eisenmanem i ze szlachtą, co po sprycie i pieniądzach, jeżeli zato nie można dostać Madzi? Przyjdzie ze skrzypcami w ręku lada furfant, żyjący z łaski siostry i — zabierze pannę, jak swoją.

A panna, rozumie się, woli duży dom, ładny ogród, trzydzieści tysięcy rubli i znajomość ze szlachtą, aniżeli ciężki dorobek jakiegoś tam Miętlewicza.

Pierwszy raz uczuł zniechęcenie do interesów, nawet do życia. Kiedy był marnym dietarjuszem w powiecie — marzył o niezależnem stanowisku. Zdobył stanowisko — zaczął myśleć o majątku, o przeniesieniu się do Warszawy, o wielkim kantorze, pośredniczącym między wszystkimi Eisenmanami i wszystką szlachtą... Nagle przez drogę jego życia przeszła Madzia z żółtą różą we włosach, z ponsową przy staniku i — rozleciały się piękne zamiary.

Tuż przy swoim domu, wśród ciemności, spostrzegł jakiegoś człowieka.

— To ty, Miętlewicz?... — odezwał się tamten.

— Ach, Cynadrowski... Czego włóczysz się po nocy?...

— Czekam na pocztę...

— Aha!... Na tę, co zmienia konie u podsędka.

Sekretarz zbliżył się do Miętlewicza i rzekł stłumionym, ale gorącym głosem:

— Gdybyś ty wiedział, jak mi się czasem chce palnąć sobie w łeb!... Nie dziwiłbyś się, jeżeli to kiedy zrobię.

— Niewiadomo, kto z brzega — odparł Miętlewicz.

— I ty także?...

— Bah!....

Rozeszli się bez pożegnania, jak dwaj ludzie, którzy nawzajem mają do siebie pretensję.

Przez cały następny dzień, po koncercie, Madzię trapił szczególny niepokój: ciągle spoglądała w okno, jakby czekając na coś niezwykłego; a ile razy kto wszedł — bladła, gdyż zdawało jej się, że już nadchodzi owa przykra wiadomość.

Ojciec milczał i, niewiadomo z jakiego powodu, wzruszał ramionami; matka unikała Madzi. W południe przyszedł Miętlewicz, niewyspany, czy rozgniewany: przedstawił rachunek z koncertu, oddał Madzi pieniądze, przypadające na kościół, i pożegnał ją chłodno. W godzinę później, chłopiec pana Krukowskiego przyniósł piękny bukiet i list, w którym ofiarodawca przepraszał Madzię, że nie może złożyć jej uszanowania, ponieważ dozoruje chorą siostrę. Wreszcie nad wieczorem ukazał się major: chciał zagrać w szachy, ale — nie zastał podsędka; owszem, dowiedział się ze zdumieniem, że podsędka wcale dziś nie było.

— Chory, albo zwarjował!... — mruknął major i, nawet nie kiwnąwszy głową Madzi, wybiegł z niezapaloną fajką.

„Boże! co się to dzieje?“... — myślała Madzia, bojąc się kogokolwiek zapytać o wyjaśnienie: wszyscy bowiem wyglądali na jej wrogów.

Sataniello i Stella także nie pokazywali się; ale

na ich nieobecność Madzia nie zwróciłaby uwagi, gdyby matka jej nie odezwała się cierpkim tonem.

— Pięknie odwdzięczają ci się twoi protegowani!...

— Co się stało?... Dlaczego mama to mówi?... — pytała wylękniona Madzia. Ale pani Brzeska wyszła do kuchni, oczywiście nie mając zamiaru dawać objaśnień.

Ciężko upłynął Madzi ten dzień pełen obaw i noc bezsenna, w ciągu których kwadranse wydawały się dłuższemi od godzin.

Nazajutrz pan Krukowski znowu przysłał bukiet, odznaczający się przewagą barw czerwonych. Miętlewicz tylko przeszedł pod oknami, ale nie wstąpił do domu doktora; owszem, patrzył na drugą stronę ulicy. Przed obiadem, w gabinecie przyjęć, odbyła się bardzo ożywiona rozmowa między matką i ojcem Madzi, a nawet parę razy doktór odezwał się podniesionym głosem, co nie było we zwyczaju. Madzia truchlała.

Około czwartej major z proboszczem przyszli na szachy, wynieśli je do altanki, gdzie pani Brzeska podała im czarną kawę, i odrazu siedli do partji.

— Nie czekają panowie na pana podsędka?— zdziwiła się Madzia.

Trzeba było widzieć w tej chwili majora!... Wyjął z ust olbrzymią faję, nastroszył siwe brwi, na czole żyły mu nabrzękły... Wyglądał, jak stary smok.

— Nie znam żadnego podsędka!... — wrzasnął, uderzając pięścią w stół, aż podskoczyły szachy i za-

dźwięczały szklanki. — Nie grywam z pantoflem, któremu baby mieszają we łbie, jak w szafliku!...

Jeszcze Madzia nie miała czasu ochłonąć ze zdziwienia, za co major tak strasznie znienawidził podsędka, gdy — służąca podała jej list.

„Od Femci“ — pomyślała Madzia, odchodząc w głąb ogrodu i drżącemi rękoma otwierając kopertę.

List rzeczywiście pochodził od panny Eufemji a oto, co w nim było:

„Pani! Uważam za obowiązek oświadczyć, że nasze projekta co do założenia pensji, przynajmniej z mojej strony, nadal nie będą miały poparcia. Cofam się, sądzę bowiem, że jeżeli jedna osoba nie szanuje najświętszych zobowiązań, to i druga nie może się niemi krępować. Jestem też zdania, że o dalszej przyjaźni między nami mowy być nie może... Eufemja“...

W górnej części listu, po lewej stronie, były wymalowane dwa całujące się gołąbki. Piękny ten symbol przyjaźni czy miłości panna Eufemja przemazała nakrzyż, dając do zrozumienia, że wszystko i nieodwołalnie skończone.

Madzi, gdy przeczytała list, a jeszcze bardziej — gdy oceniła doniosłość przekreślenia gołąbków, zdawało się, że w ogród uderzył piorun. Na chwilę przymknęła oczy i, bez oddechu, czekała: rychło na jej głowę upadnie dom, a pod nogami rozstąpi się ziemia... Ale dom, ziemia, ogród zostały na miejscu, słońce świeciło, kwiaty pachniały, a major z proboszczem grali w szachy, jakgdyby

nic osobliwego nie zdarzyło się ani w naturze, ani w Iksinowie, ani nawet w sercu Madzi.

Gra skończyła się. Proboszcz, jako przegrywający, odniósł szachy do gabinetu; major nałożył nową fajkę, pakując w jej wnętrze bezmała ćwierć funta tytoniu. Wówczas Madzia ze ściśniętem sercem weszła do altanki i, podniósłszy na starca oczy, pełne żalu, zapytała:

— Panie majorze, stało się ze mną coś okropnego, a ja nic nie rozumiem... Wszyscy się na mnie gniewają...

Majorowi zaświeciły oczy: wyjrzał z altanki, czy kogo nie widać, a potem — schwycił Madzię wpół i gorąco pocałował w szyję, mrucząc:

— Oj! ty... ty... figlarko!... Mogłabyś nie bałamucić przynajmniej mnie, starego...

Madzię ogarnęło nie dające się opisać zdumienie wobec tych ojcowskich karesów, w których nie było nic ojcowskiego.

— Ja bałamucę pana majora?...

— Naturalnie... rozumie się... Poco masz takie brzydkie oczy, które rzucają urok?... Poco te filutki nad czołem, albo — ta szyjka tak apetyczna?... To przecie wszystko pokusy na chłopców.

— Alboż pan major chłopiec?...

Starowina spojrzał na nią zdziwiony i — zmieszał się. Drżącemi rękami zaczął poprawiać fajkę i rzekł:

— Chłopiec, nie chłopiec!... Trzeba mnie było widzieć, kiedym był podporucznikiem... Nie takie

smarkate, jak ty, warjowały za mną. Ale dość tych głupstw. Czego chciałaś ode mnie?...

— Od onegdaj wszyscy mnie prześladują, i nie wiem, za co?... — odpowiedziała Madzia, mrugając oczyma.

— Nie wiesz za co!... A trzeba ci było urządzać koncert włóczykijom, którzy dziś mają jeszcze do ciebie pretensję, że popsułaś im interesa?...

— Bo oni byli tacy biedni...

— Biedni!... O sobie myśl, a nie o cudzej biedzie. A nie mogłaś to zaprosić podsędkowej do udziału w urządzaniu koncertu?... Podsędkowa, aptekarzowa, rejentowa — one u nas zajmują się spektaklami; nie trzeba im włazić w drogę

— Nie śmiałam tych pań zapraszać... Nie myślałam, że chciałyby się fatygować, tem więcej, że... (Tu Madzia zniżyła głos). Oni przecież chodzili do pani podsędkowej, i nawet fortepianu im odmówiła...

— Spróchniała laweta! — mruknął major. — Zawsze niecierpiałem tej baby i jej Femci, której już całkiem przewróciło się w głowie... Ale... poco włóczysz się po oberżach?...

— Bo ja, proszę pana majora — szeptała Madzia — chcę tu założyć niewielką pensyjkę i szukam lokalu.

Major otworzył oczy i podniósł wgórę fajkę. Lecz widząc, że nadchodzi proboszcz z doktorową, wzruszył ramionami i rzekł:

— Pluń na wszystko!... będzie dobrze...

— Teraźniejsze panny — mówiła pani Brzeska, robiąc surową minę — same jeżdżą, same wy-

chodzą do miasta, układają projekta bez wiedzy matek, a nawet zawierają znajomości, Bóg wie z kim...

— Emancypacja, pani dobrodziejko, emancypacja!... — odparł proboszcz. — Nieraz poza plecami rodziców robią się znajomości, które prowadzą do niestosownych małżeństw.

— Eh! — wtrącił major — nic tak niestosownego: panna podsędkówna i sekretarz pocztowy...

— Ale bez błogosławieństwa rodziców... — rzekł proboszcz.

— Madziu — odezwała się doktorowa — pan Miętlewicz czeka na ciebie w saloniku, znowu z rachunkami z tego koncertu, o którym chciałabym już nie słyszeć...

— A to dlaczego — odezwał się major. — Wcale ładny był koncert...

Madzia skierowała się w stronę domu, myśląc:

„Co to znaczy?... Czyliżby o Femcię już oświadczył się Cynadrowski?... Tak przecież z niego żartowała“...

W saloniku, dokąd weszła Madzia, stał Miętlewicz blady, z pliką papierów. Zwykle sterczące wąsiki ułożyły się mu poziomo; zato włosy miał bardziej najeżone.

— Pewnie omylił się pan w rachunkach! — zawołała Madzia.

— Nie, pani... Ja tylko mamie powiedziałem, że przyszedłem z rachunkami, ale...

Głos mu się załamał, na twarz wystąpiły rumieńce.

— Panno Magdeleno — rzekł ciszej, ale stanowczo — czy to prawda, że pani wychodzi za Krukowskiego?...

— Ja?!... — wykrzyknęła Madzia, rumieniąc się bezporównania silniej, aniżeli jej interlokutor.— Kto panu to powiedział?...

— Cynadrowski — odparł desperackim tonem młody człowiek. — Zresztą wszyscy zauważyli na koncercie, że pan Krukowski zaniedbywał pannę Eufemję, a ciągle zwracał się do pani.

— Ach, więc ona o to gniewa się na mnie?... — rzekła Madzia, jakby do siebie. — Ale na jakiej zasadzie — dodała głośno — pan Cynadrowski opowiada takie rzeczy?...

— Musiał słyszeć od panny Eufemji...

— Ona z nim nigdy nie rozmawia! — zawołała Madzia.

— O!... — westchnął Miętlewicz. — Ale mniejsza o nich... Panno Magdaleno, prawdaż to, że pani wychodzi za Krukowskiego?...

— Co pan mówi?... — zdziwiła się trochę obrażona Madzia. Lecz Miętlewicz miał tyle smutku w oczach, że uczuła litość i rzekła:

— Ani myślę wychodzić za pana Krukowskiego i... za nikogo...

Miętlewicz schwycił ją za rękę.

— Czy tak?... — spytał z uniesieniem. — Nie żartuje pani ze mnie?... Niech pani powie...

— Ależ daję panu słowo... — odparła zdziwiona Madzia.

Miętlewicz ukląkł przed nią i namiętnie ucałował jej ręce. Potem szybko zerwał się i mówił.

— Bóg panią wynagrodzi... Gdyby pani potwierdziła te plotki, za kwadrans nie żyłbym... U mnie tak: starosta, albo kapucyn...

Madzię ogarnął strach paniczny; cofnęła się, jakby chcąc uciekać, lecz nogi ugięły się pod nią, i siadła na fotelu. Zdawało jej się, że Miętlewicz wciąż myśli o zabiciu jej lub siebie.

Desperat spostrzegł to; zastanowił się i rzekł smutnym głosem:

— Niech się pani nie boi... Ja przecież nie chcę pani straszyć, ani krępować... Gdyby pani wychodziła za człowieka godnego jej... wola boska — nawet nie odezwałbym się. Ale mnie oburza ten Krukowski... To nie dla pani mąż: stary, zniszczony, żyje na łasce siostry, a więcej od panien dostał odkoszów, aniżeli ma sztucznych zębów... Więc pomyślałem: jeżeli taka kobieta, jak pani, może się sprzedać takiemu trupowi, to już nie warto żyć na świecie...

Madzia drżała, Miętlewicz mówił błagalnie:

— Panno Magdaleno, przysięgam, że nie chcę pani krępować... Niech pani choćby jutro idzie zamąż, a nic złego sobie nie zrobię... Tylko wyniosę się stąd do Warszawy... Niech pani wyjdzie za szlachcica, czy za mieszczanina, byle pani poszła z miłości, nie dla interesu... Niech ten człowiek będzie bogaty czy ubogi, z edukacją czy bez edukacji, byle to był człowiek młody, dzielny, który sam się wyrobił, a nie siedział u nikogo na łaskawym chlebie, bo to... fe... fe!... Ja panią bardzo, bardzo przepraszam za moją śmiałość — kończył, znowu całując Madzię w rękę. — Ale ja się pani nie narzu-

cam... Wiem, że nie jestem godzien... Pani dla mnie jest jak święta, i dlatego nie mogłem przenieść, nie mogłem wytrzymać, ażeby pani sprzedawała się takiemu dziadowi i jeszcze za pieniądze jego siostry!...

— Posądzał mnie pan o to? — cicho spytała Madzia.

— Przepraszam... do śmierci sobie tego nie daruję, ale... panny miewają różne gusta... Dziś Krukowski, jutro Cynadrowski... Różne bywają kaprysy panien!...

Usłyszawszy za oknem głos doktorowej, Miętlewicz szybko rozwinął papiery i zaczął mówić zwykłym tonem, który jednak chwilami drżał:

— Więc wszystko w porządku, tylko mamy jeszcze naddatków pięć... nie — dziesięć rubli... Może pani będzie łaskawa dołączyć te dzie... nie — te piętnaście rubli na kościół...

Do saloniku weszli goście ogrodowi. Proboszcz ucieszył się z naddatku, a doktorowa z tego, że już skończyły się koncertowe interesa. Tylko przekorny major nie mógł utaić zdziwienia: skąd wpłynęło tyle naddatków?...

— Bo to u nas — mówił — każdy potrafi nie dodać, ale żeby miał coś naddać?...

— Może kto ze szlachty, a może siostra pana Krukowskiego, bo ona miewa fantazje — wtrącił proboszcz.

Miętlewicz śpiesznie objaśnił, że naddatek nie pochodzi od pana Krukowskiego, ani od jego siostry, lecz utworzył się z wpływów ogólnych. Potem ostentacyjnie zwinął papiery i pożegnał towarzy-

stwo, tłumacząc się, że musi iść natychmiast w interesie młocarni pana Bielińskiego.

— Czy mi się zdaje, czy Madzia jest zmieniona? — zauważył proboszcz.

— Trochę boli mnie głowa...

— Pewnie Miętlewicz musiał jej powtórzyć jakąś plotkę — wtrącił gniewnie major. — Babski język!...

— Owszem, niech jej wszystko powtarzają!... — odezwała się doktorowa. — Na drugi raz będzie miała naukę, żeby nie robić projektów bez wiedzy matki...

XII.

Eks-paralityczka zaczyna reagować.

Znalazłszy się sama, wśród ogrodu, Madzia schwyciła się za głowę.

„Boże! — myślała — ależ ci mężczyźni to prawdziwe zwierzęta... Krukowski, taki szlachetny, taki delikatny, taki dobry przyjaciel — i pomimo to przypuszcza, że ja mogłabym wyjść za niego... Brr... Major ze swojemi pieszczotami jest obrzydliwy, Miętlewicz straszny... I wyobrazić sobie, że gdybym na żart powiedziała: otóż wychodzę za Krukowskiego... ten człowiek zabiłby się!... No i co ja mam począć z takimi ludźmi; gdzie się skryję, a choćby — komu to opowiem?...“

Przyszedł jej na myśl ojciec, najzacniejszy człowiek, który ją tak kocha, że życie poświęciłby dla niej. Ależ ojciec ma pacjentów, kłopoty, wresz-

cie — wstyd mówić o czemś podobnem do ojca. Jakby on na nią spojrzał!... Może, co gorsza, zerwałby stosunki z majorem, Krukowskim i Miętlewiczem, a może nawet uniósłby się i — gotowa awantura o nic! Naturalnie, że o nic, bo przecież cóż znaczy ona, Madzia?... Nic. Jest sobie głupiutką dziewczyną, którą znajomi lekko traktują, a ona nie ma siły znosić tego z pokorą. Gdyby była tak mądrą i bogatą, jak Ada Solska, albo taką wielką damą, jak nieboszczka pani Latter, albo tak piękną, jak Helenka Norska, ź pewnością traktowanoby ją inaczej.

Helenka przypomniała jej pana Kazimierza. Jaki on inny, niż ci tutejsi panowie!... Jak on inaczej mówił do niej o swojem przywiązaniu, jak prosił, ażeby czuwała nad jego matką... Prawda, że ze wszystkich drwił, ale w najboleśniejszych jego żartach było coś niezwykłego. A jak on ją wtedy uścisnął!... Tak ściskać może tylko anioł albo szatan, nigdy człowiek...

Madzia wstrząsnęła się, chcac odegnać wspomnienia pana Kazimierza: wstydziła się samej siebie i swojej okropnej demoralizacji.

— Jestem bardzo zepsuta! — szepnęła mimowoli i zasłoniła twarz, czując, że oblewa się rumieńcem wyżej skroni.

— Bardzo jestem zepsuta! — powtórzyła.

Świadomość zepsucia przyniosła Madzi ulgę; teraz, gdy zrozumiała swoją z gruntu zdemoralizowaną naturę, wie przynajmniej, dlaczego nie lubi jej matka?

Bo niema co taić przed sobą: matka, dość surowa dla dzieci, dla niej zawsze była najsurowszą.

Najwięcej kochała Zdzisława i słusznie: jest to przecież syn. Bardzo lubi Zosię, gdyż Zosia jest najmłodszą. Ale jej, Madzi, matka nigdy bardzo nie lubiła. Nazywała ją upartą i samowolną, i zawsze sprzeczała się o nią z nieboszczką babką, dla której znowu Madzia była oczkiem w głowie.

Babka, wbrew woli matki, wysłała Madzię na pensję pani Latter i płaciła za nią. Babka, z pominięciem dwojga innych wnuków, zapisała Madzi cały swój majątek — trzy tysiące rubli. Nie dziw, że gdy Madzia skończyła pensję, matka nie broniła jej zostać nauczycielką.

— Niech pracuje — mówiła — kiedy chce, między obcymi ludźmi; oni ją oduczą samowoli i wykorzenią to, co babka zasiała pobłażaniem.

Dopiero, gdy Madzia, wróciwszy z Warszawy, zachorowała na tyfus, surowość matki rozpłynęła się we łzach i trwodze. Nawet po chorobie było całkiem dobrze: w sercu matki obudziła się większa czułość dla Madzi, gdy nagle — zdarzył się nieszczęśliwy koncert, i matka znowu ochłodła.

Może zrobiłaby Madzi niejedną wymówkę, gdyby nie opór ojca, który stanowczo prosił matkę, ażeby nie dotykała kwestji koncertu wobec Madzi i wogóle, ażeby nie krępowała jej w niczem.

— Jest to panna dorastająca — mówił ojciec— dziecko rozumne i poczciwe, które nawet złożyło dowód, że potrafi pracować na siebie. Nie można więc zanudzać jej morałami. Niech ona w matce znajdzie przyjaciółkę, a nie surową dozorczynię.

Madzia o tem wiedziała, a czego nie wiedzia-

ła — domyślała się. Czuła, że między nią a matką stosunki zadrażniają się ostrzej, niż kiedykolwiek, a nie wiedziała, co robić, ażeby tego uniknąć?

Trapiąc się podobnemi rozmyślaniami, Madzia dostała migreny. Drobny ten wypadek miał dobrą stronę: nieco ułagodził panią Brzeską, która, związując Madzi chustką głowę, pocałowała ją w czoło i rzekła:

— No, no, już dość... nie martw się. Tylko na drugi raz nie rób podobnych znajomości, ani urządzaj koncertów. Panienka w twoim wieku nie może się afiszować, bo ją pochwycą na języki.

W taki sposób zakończył się parudniowy niepokój Madzi, ale — nie na długo.

Doktorowa Brzeska, jakkolwiek sama ubrała córkę na koncert i cieszyła się z jej triumfu, miała jednak (w swojem przekonaniu) obowiązek gniewać się na Madzię. Zaraz bowiem na drugi dzień po koncercie doniesiono jej (i to z kilku stron), że — całe miasto jest wzburzone.

Czem wzburzone? na kogo? i z jakiego powodu? — o tem niebardzo wiedziała doktorowa i zresztą — było jej wszystko jedno. Jej wystarczał fakt, że Madzia należała do sprawy, która wzburzyła miasto, i że powszechny wybuch niezadowolenia mógł zwichnąć karjerę młodej panienki.

„Kto ożeni się z panną, na którą oburza się całe miasto?..“ — myślała pani Brzeska, pocieszając się nadzieją, że może Bóg odwróci nieszczęście i że — pan Krukowski zapewne poważnie myśli o Madzi, skoro dzień po dniu przysyła jej bukiety.

Naprawdę, z dziesięciu tysięcy mieszkańców Iksinowa, 9.975 nietylko nie oburzyło się, ale nawet nie myślało o koncercie. Z pozostałych zaś dwudziestu pięciu osób — kilku młodych panów rozpaczało po wyjeździe Stelli, kilku ojców rodzin frasowało się długami, zaciągniętemi na koncert, który żadnej zmiany nie wywołał w losie ich córek, a dopiero kilka starszych pań urządzało wzburzenie umysłów w Iksinowie.

Jedną z agitatorek była pani podsędkowa. Czcigodna dama liczyła na pewno, że skoro Femcia, jej córka, zaakompanjuje panu Krukowskiemu na koncercie, pan Krukowski, jeżeli ma odrobinę honoru, musi oświadczyć się o rękę Femci. Że zaś pan Krukowski nietylko nie oświadczył się o Femcię, lecz nawet podczas koncertu skandalicznie asystował Madzi, więc jedno z dwojga:

Albo pan Krukowski jest człowiekiem podłym, na którego nie powinna spojrzeć żadna uczciwa kobieta, nie wyłączając Madzi.

Albo pan Krukowski jest człowiekiem szlachetnym, który wpadł w sieci, zastawione na niego przez Madzię, Stellę, Sataniella i wszystkich miejscowych i zamiejscowych intrygantów.

W rozumowaniu tem utwierdziła panią podsędkową inna czcigodna matrona, pani rejentowa, której Madzia wydarła możność urządzenia koncertu. Jak Iksinów Iksinowem, nikt nie urządzał koncertu bez udziału pani rejentowej; zrobiła to dopiero panna Brzeska, córka doktora, który (jak trafnie orzekł pan aptekarz) swoją zdolność do intryg — przelał na potomstwo.

To też nie dziw, że pani podsędkowa z panią rejentową porozumiały się przy wyjściu z sali koncertowej. Potem obie, z odnośnymi mężami i dziećmi, udały się na kolację do państwa aptekarzów i tam — gruntownie rozstrząsnęły sprawę.

W rezultacie uchwalono, że podsędkowie muszą zerwać stosunki z domem państwa Brzeskich, wbrew opozycji szlachetnej Eufemji, która — tak kochała Madzię, tak jej ufała!... Nadto, ktoś życzliwy powinien był wydobyć niemniej szlachetnego pana Krukowskiego z sieci intryg, rozsnutych przez Madzię, a to — zapomocą ostrzeżenia jego siostry.

Jakoż na drugi dzień po koncercie, około ósmej rano, kiedy jeszcze pan Krukowski spał na oba uszy, do jego zacnej siostry, pijącej kawę w ogrodzie, przyszła z wizytą pani rejentowa. I, nie owijając w bawełnę, opowiedziała jej w niewielu słowach:

Że Sataniello swoją deklamacją znieważył najszanowniejszych Iksinowian; że Stella i Sataniello nie są małżeństwem, a mimo to mieszkają w jednym pokoju; że nareszcie pan Krukowski, gdyby nie jego siostra i zacne nazwisko, byłby na wieki skompromitowany udziałem w koncercie wędrownych grajków.

— A kto tego narobił? — zakończyła rejentowa. — Narobiła panna Brzeska, która, niewiadomo skąd, przyjaźni się z dwojgiem ludzi tak niemoralnych, jak Stella i Sataniello

Siostra pana Krukowskiego, jeszcze wczoraj, a nawet jeszcze dziś, o szóstej i siódmej rano, była zadowolona ze skrzypcowych popisów swego brata.

Lecz o ósmej, dowiedziawszy się od tak poważnej osoby, jak pani rejentowa, że całe miasto okryło się żałobą z powodu zniesławienia nazwiska Krukowskich, eks-paralityczka dostała ataku.

Straszny to był dzień, straszne były dwa dni, podczas których chora dama położyła się do łóżka, kazała pielęgnować się całemu domowi, wezwała do siebie doktora Brzozowskiego i piła tylko jego lekarstwa, rozkazawszy poprzednio wyrzucić wszystkie recepty ojca Madzi. Chora nawet czuła zbliżające się konanie, chciała wezwać księdza i wśród spazmów oświadczyła bratu, że wydziedziczy go. ponieważ zhańbił nazwisko.

Ale pan Krukowski, który znał siostrę, wysłał pızedewszystkiem bukiet Madzi, a następnie sprowadził do chorej proboszcza.

Paralityczka, zobaczywszy księdza, zlękła się: pomyślała bowiem, że jest naprawdę chora. Gdy jednak wesoły staruszek uspokoił ją, w nagrodę wysłuchała jego opowiadań o wczorajszym koncercie.

— Co to za zasługa przed Bogiem, pani dobrodziejko — mówił ksiądz — złożyć tyle pieniędzy na kościół a choćby wesprzeć takie biedactwo, jak ci śpiewacy....

— Ale czy jegomość wie — przerwała chora— że ci państwo nie są małżeństwem?...

— Może być.

— I mimo to sypiają w jednym pokoju!... — dodała chora tonem najwyższego oburzenia.

Proboszcz machnął ręką.

— A przypomnijże sobie, dobrodziejko, że

i my oboje spaliśmy w karczmie w jednej izbie, kiedy to nas burza zaskoczyła na odpuście... A co z tego?...

Eks-paralityczka otworzyła usta i upadła na poduszki. Argument wydał jej się tak silny, że z proboszczem już nie rozmawiała o koncertantach.

W ten sposób upłynęła druga doba po koncercie. Ku wieczorowi siostra pana Krukowskiego nie mówiła o skonaniu, ale zato bardzo dużo mówiła o kompromitacji i niewdzięczności brata. W nocy stan jej zdrowia pogorszył się: przyszło jej bowiem na myśl, że wiadomość o tem, iż jeden Krukowski koncertował z wędrownymi śpiewakami, może być wydrukowaną w gazetach.

Pod wpływem okropnej hipotezy obudziła brata i oświadczyła mu, że — jeżeli o jego hańbie napiszą gazety, ona nieodwołalnie umrze, a cały majątek zapisze na cele dobroczynne.

Lecz ranek (był to dzień trzeci) przyniósł nową kombinację. Gazety mogły przecież napisać, że utalentowany pan L. Krukowski raczył wziąć udział w koncercie, z którego część dochodu była przeznaczona na kościół. Nadto p. Krukowski występował jako amator, nie wchodził na salę od kuchni, tylko z krzeseł i, jeżeli grał na skrzypcach, to przy akompanjamencie panny Eufemji, córki jednej z najpoważniejszych rodzin w mieście.

Tak, przecież sama pani rejentowa oświadczyła, że akompanjament podsędkówny uratował honor Krukowskich.

„Poczciwa dziewczyna!“ — pomyślała eks-paralityczka, a zawoławszy brata, rzekła mu:

— Femcia ładna panna. Sam Czerniawski bardzo się nią zachwycał... Zauważyłeś ty jej ramiona, gors, nogę... Nogi ma arystokratyczne... Trzeba jej posłać bukiet, a gdy wyzdrowieję, musisz im złożyć wizytę...

— Nie wiem, czy to wypada na nowo zawiązywać stosunki. Przecież sama siostrunia kazała mi zerwać z nią, z powodu tego... tego z poczty...

Chora zasępiła się; więc dla ułagodzenia jej pan Krukowski posłał pannie Eufemji bukiet z bladych kwiatów, a w chwilę później — Madzi bukiet większy i czerwieńszy. Nie miał on wstrętu do panny Eufemji, owszem — oceniał należycie piękność jej gorsu i ramion, a dobrze pamiętał jej węgierskie buciki, ale... Madzia podobała mu się więcej. Gdyby Madzi nie było w Iksinowie...

Wtem, około południa zdarzył się nieoczekiwany wypadek. Pani podsędkowa, dumna pani podsędkowa, we własnej osobie przyszła do łoża chorej siostry pana Krukowskiego i we własnych rękach przyniosła jej w porcelanowym imbryczku cudowny rumianek od paraliżu, zgotowany pięknemi rączkami panny Eufemji.

— Wperawdzie pani pierwsza zerewała z nami — mówiła podsędkowa do chorej, sznurując usta i wykonywając ruchy okrągłe. — Powinnabym czuć się oberażona i byłam nią... Ale na wiadomość o cierpieniach pani nie mogłam wytrzymać i powiedziałam mężowi: muszę pójść do tej czcigodnej kobiety, chociaż nie zgadza się to z konwenansem...

W czasie krótkiej wizyty siostra pana Krukow-

skiego była tak wzruszona dobrocią podsędkowej, że wypiła cały imbryk ciepłych ziółek, wylała z pół imbryka łez i oświadczyła, iż czuje, że ziółka panny Eufemji przywrócą jej zdrowie.

Po odejściu podsędkowej, chora wobec brata tak stanowczo zaczęła chwalić pannę Eufemję i jej ziółka, że zaniepokojony pan Krukowski uznał za stosowne znowu przypomnieć urzędnika pocztowego. Ale siostra zgromiła go:

— Mój kochany, Femcia jest zanadto piękna, ażeby nie wzdychali do niej ludzie najrozmaitszych kondycyj. Ja sama tylu miałam wielbicieli, że nieboszczyk robił mi ciągle sceny zazdrości. A czy słusznie?...

Pan Ludwik był zdesperowany i, czując, że jego siostra gotowa znowu swatać go z panną Eufemją, zaczął na pociechę wyobrażać sobie jej gors, ramiona i węgierskie buciki. Ale, pomimo wszelkich wysiłków, nie mógł zapomnieć o Madzi: jedno jej słówko, jedno spojrzenie miały dla niego więcej uroku, aniżeli cała suma jawnych i ukrytych wdzięków panny Eufemji.

Już postanowił albo oprzeć się nowemu kaprysowi siostry, albo — co najmniej — nie wyrzec się Madzi bez ciężkiej walki, gdy niespodziewanie los przyszedł mu na odsiecz. Eks-paralityczka uczuła tępy ból w boku, co ją tak przestraszyło, że, zerwawszy się z łóżka z lekkością 16-letniej panienki, kazała wezwać doktora Brzeskiego.

— Ależ, siostruniu — odezwał się pan Ludwik — wszak wczoraj podarłaś recepty Brzeskie-

go, a postanowiłaś leczyć się tylko u Brzozowskiego...

— Co mi tam twój Brzozowski! — odparła. — Ja chcę Brzeskiego... ja jestem ciężko chora... może mi nawet zaszkodziły ziółka tej... tej... Eufemji...

XIII.

Oświadczyny.

Więc sprowadzono Brzeskiego, który, przez proste ugniecenie, w ciągu kilku minut usunął tępy ból w boku. Eks-paralityczka, rozpływając się w oświadczeniach wdzięczności, tak gorącym afektem na nowo zapłonęła do rodziny Brzeskich, że zaczęła robić doktorowi wymówki:

— Dlaczego to Madzia nie była u mnie przez dwa dni?... Nie widziałam jej od koncertu...

— Nie miała poco przychodzić, gdyż, o ile wiem, jesteś pani na nią obrażona za koncert — odpowiedział doktór.

— Ja?...To fałsz!... Kto mógł przed panem narobić takich plotek?... Pewnie rejentowa, albo podsędkowa... Proszę pana, jak o największą łaskę, ażeby Madzia jutro tu przyszła.

Doktór wzruszył ramionami i obiecał przysłać Madzię. Ale zato pan Krukowski wybiegł do swego pokoju i kazał chłopcu wylać sobie na głowę dzbanek zimnej wody.

— Oszaleję!...—mruczał.—Oszaleję niezawodnie!... Codzień, co godzina inne sympatje u tej ko-

biety, inne plany. Boże, za co mnie tak strasznie skarałeś!... Wolałbym drwa rąbać...

Następnego dnia eks-paralityczka otrzymała z poczty „do rąk własnych“ list bezimienny, mocno pachnący aptecznemi produktami. W liście „życzliwy przyjaciel“ donosił, że cała szlachta trzęsie się na pana Krukowskiego za udział w koncercie, do którego został wciągnięty przez pannę Brzeską.

Chora dama zrozumiała, że jest to figiel, i zaczęła domyślać się jego źródła. Nie mogąc jednak dosięgnąć autora anonimu, postanowiła znaleźć satysfakcję na innej drodze i rzekła do brata:

— Madzia jest dobra dziewczyna; nie mogę zapomnieć, że uratowała mi życie i że najwięcej okazuje mi serca z pomiędzy wszystkich moich znajomych... Ale muszę jej natrzeć uszu za ten koncert, który przyprawił mnie o nieprzyjemności i ciężką chorobę...

— Na miłość boską, siostruniu, nie rób tego!— zawołał przestraszony pan Ludwik. — Co zyskasz... jakie wreszcie masz prawo?...

— Ja, nie mam prawa upomnieć osoby, którą przyjmuję do mego domu i do mojej rodziny?... Ty chyba oszalałeś, Ludwiku!

— Ha, jeżeli tak, więc pozwolisz, siostruniu, że oświadczę się o pannę Magdalenę... Żonie swego brata możesz robić wymówki, lecz nie osobie obcej...

— Oświadcz się, czy nie oświadczaj, mnie wszystko jedno... Ale muszę powiedzieć swoje, bo inaczej umarłabym...

— Więc idę — rzekł pan Ludwik stanowczo.

— Idź. Gdybyś to wcześniej zrobił, nie byłoby głupiego koncertu i wszystkich skandalów.

Żaden malarz, żaden poeta, żaden muzyk nie potrafiłby przedstawić zamętu, jaki w tej chwili opanował duszę pana Krukowskiego. Ginął w bezmiarze radości, z powodu, że siostra pozwoliła mu oświadczyć się o Madzię, a truchlał z obawy na myśl o awanturze, jaką chora dama zrobi jego ukochanej.

„Wynagrodzę jej to!“...—mówił sobie, gorączkowo naciągając świeżą koszulę, popielate spodnie i czarny tużurek. Chwilami jednak drżały pod nim nogi: wiedział bowiem, że w podobnych wypadkach łatwiej obiecywać nagrodę, aniżeli dotrzymać.

Czule pożegnał siostrę i, promieniejący eleganckiem ułożeniem, uperfumowany, z kwiatkiem w dziurce od guzika, biegł na czterdziestopięcioletnich skrzydłach miłości do domu państwa Brzeskich, aby tam urzeczywistnić (jak mówił) swoje najpiękniejsze marzenia.

Zastał doktorową, ale Madzi już nie było: wyszła do jego siostry.

Chora dama przywitała Madzię dosyć chłodno. Potem, wziąwszy swój cenny wachlarz, flakon wody kolońskiej i ów bezimienny list, rzekła:

— Może pójdziemy do altanki, kochanie?

Madzia podała jej rękę i z taką troskliwością dźwigała drogi ciężar przyszłej bratowej, tak ostrożnie sprowadziła ją ze schodków, tak uważnie wybierała najgładsze miejsca bardzo gładkiej ścieżki, że gniew eks-paralityczki mocno ochłonął.

„Gdyby ona, po wyjściu za Ludwika, pielęgnowała mnie tak, jak dzisiaj, trudno byłoby znaleźć lepszą żonę“...

Usiadła na ławeczce w cieniu dzikiego wina. Jeden z listków, poruszony przez wiatr, tak załaskotał Madzię w szyjkę, że otrząsnęła się, przypomniawszy sobie majora.

— Przeczytaj-no, moje dziecko, jakie okropne skutki wynikły z tego koncertu — rzekła chora dama, podając Madzi anonim.

Madzię oblały ognie, a ciemno zrobiło się w oczach; przejrzała jednak list i zwróciła go w milczeniu.

— Oto widzisz — mówiła siostra pana Krukowskiego — jak kobieta powinna zważać na siebie, jeżeli nie chce sprowadzić nieszczęść na własną głowę i tych, którzy ją kochają... Samodzielność!... Cóżto, myślisz, że tylko ty jesteś kobietą samodzielną... A twoja matka, która cały dom prowadzi, a ja?...

Chora dama zatrzymała sowie oczy na zmartwionej twarzyczce Madzi i prawiła dalej:

— Ja nie wdawałam się z ludźmi podejrzanej konduity, chociaż byłam samodzielną!... Trzeba było widzieć, jak ugłaskałam mego świętej pamięci męża, niech mu Bóg nie pamięta, egoistę i zazdrośnika, który mnie posądzał o romanse z pisarzem prowentowym... A co ja miałam z Ludwikiem!... Bóg jeden wie, ile kosztowały mnie jego karty i kuracje... Był to koń stepowy, a przecież i jemu dałam

radę, bo kobieta musi kierować mężczyzną, jeżeli oboje nie mają zginąć.

Wszystkie zaś triumfy zawdzięczam nietylko samodzielnemu charakterowi, ale i taktowi, który chronił mnie od niewłaściwych stosunków... Emancypacja!... Nowy to wyraz, ale rzecz dawna jak świat: kobieta powinna być panią domu, oto jest emancypacja. Taka zaś, która wdaje się z aktorami i naraża się na ludzkie obmowy, nie będzie nigdy panią. Cała nasza siła tkwi w naszej niewinności, w tem, że mamy prawo, codzień i co godzinę, mówić mężom i braciom: jesteś hultaj, przeniewierca, włóczęga, a ja — pilnuję domu, jego czci, i jestem czysta, jak łza...

— Ale, proszę pani, cóżto złego urządzić koncert?... — szepnęła Madzia.

— Naprzód do koncertów jesteś za młoda, a potem, cóżto za ludzie ci aktorzy?... Ich towarzystwo mogłoby skompromitować nawet... mnie!... Przecież oni, nie będąc małżeństwem, sypiali w jednym pokoju...

— To nieprawda!...—zawołała Madzia, ostro zwracając na eks-paralityczkę oczy, w których, obok wielkiego zuchwalstwa, błyszczały łzy hamowane.

— A ty skąd wiesz, że nieprawda?—wybuchnęła zdumiona chora.

— Widziałam. W ich pokoju było tylko jedno łóżko...

Gniew nagle opuścił chorą damę. Klasnęła w ręce i odparła bardzo spokojnym tonem:

— Jezus, Marja... moja Madziu, jakażeś ty głupia!...

Madzia rozpłakała się i, wstając z ławki, rzekła:

— Aaa... dziękuję pani... Aaa!... nigdy nie spodziewałam się usłyszeć od pani takiego wyrazu... Aaa!...

Eks-paralityczka żywo podniosła się i, schwyciwszy oburącz Madzię za głowę, poczęła ją całować.

— Moje dziecko, przepraszam cię, ale.. nigdy nie słyszałam nic podobnie naiwnego... Gdybyś była mężatką, rozumiałabyś, że właśnie ta okoliczność najbardziej ich potępia... Ale jesteś jeszcze tak naiwna, że wstydzę się dawać ci objaśnienia.

— Pani zupełnie fałszywie mnie sądzi... Ja wcale nie jestem taka naiwna... O nie!...— mówiła rozdrażniona Madzia.

— Jesteś, kochanko, jesteś...—powtarzała chora dama, okrywając ją pocałunkami. — To właśnie stanowi twój największy wdzięk: znam się na tem, bo przecież i ja byłam w twoim wieku... Nie wiem, doprawdy, czem sobie ten birbant Ludwik na taką nagrodę u Pana Boga zasłużył...

— Proszę pani, ja do tego namówiłam pana Ludwika, ja... Nic nie chcę taić... Gdyby nie ja, pan Ludwik nie grałby na koncercie...

— Złote, kochane dziecko!... No, dajmy spokój koncertowi i tym aktorom, bo już widzę, że nie dogadamy się, pomimo twego doświadczenia—mówiła, śmiejąc się chora dama.

Po tej uwerturze eks-paralityczka chciała przejść do sprawy głównej i napomknąć Madzi, że

jej ukochany brat, pan Ludwik Krukowski, lada dzień, jeżeli nie lada godzinę, oświadczy się o nią. Ale Madzia była zachmurzona, a chora dama tak wrażliwa, że pomyślała:

„Cóż, ta smarkata będzie grymasić?... Widzicie ją!... Że jej powiedziałam parę słów prawdy, to zaraz obraża się. O, moja panno, jeżeli chcesz usłyszeć o szczęściu, jakie cię spotka, musisz do mnie przyjść w innym humorze“...

Więc i ona zasępiła się, co widząc, Madzia pożegnała chorą damę. Gdy już była w sieni, dama zawołała:

— Madziu, proszę cię...

— Co pani każe? — zapytała Madzia tonem tak chłodnym, że rozdrażnienie eks-paralityczki wzmogło się.

— Nic, moje dziecko — odparła jeszcze chłodniej.

Już Madzia była w połowie drogi do domu, kiedy w sercu chorej damy zbudziła się dla niej tak wielka czułość, że chciała wysłać służącego, ażeby zawrócił panienkę. Lecz po chwili znowu zmieniła projekt.

„Ludwik — myślała — chociaż się tak odgrażał i wystroił, nie będzie miał odwagi oświadczyć się... Tyle mu już razy odmówiono!... Ja zaś najlepiej zrobię, jeżeli sama pójdę do Brzeskich. To będzie pewniejsze i stosowniejsze. Jestem jakby matką Ludwika, więc wypada mi zrobić ten krok“...

Swoją drogą czuła wyrzuty sumienia za dzisiejszą rozmowę z Madzią. Koncert głupstwo, a bez

potrzeby zrobiło się przykrość dziewczynie dobrej, jak anioł.

Jużto skala uczuć siostry pana Krukowskiego była nadzwyczajnie szeroka: mieściły się w niej wszystkie tony, pół-tony i ćwierć-tony od miłości— do nienawiści, od pogardy—do uwielbienia, od rozpaczy — do zachwytu. Nadto, fortepian jej duszy tak często i nagle zmieniał melodje, że ludzie niechętni mogliby posądzić znakomitą damę, jeżeli nie o zupełnego bzika, to przynajmniej o wysoko rozwiniętą histerję. Na szczęście, pani ta prawie nie znała niechętnych, ponieważ — wszyscy jej unikali; kto zaś miał interes, uważał ją za uosobienie rozumu i energji, niekiedy przytłumianej newralgicznemi cierpieniami.

Tylko major nazywał ją starą warjatką; ale ponieważ jego sądy o wszystkich iksinowianach były ostre, więc zgodzono się nie zwracać na to uwagi.

Tymczasem rozgorączkowana Madzia wpadła do domu. W sieni zastąpiła jej drogę matka z silnemi rumieńcami na twarzy, a nieopisaną czułością w oczach. Przez chwilę patrzyły na siebie: matka widziała w niej córkę, którą niebawem ma utracić, Madzia — nie rozumiejąc powodu rozrzewnienia matki.

— Zdejmij prędko kapelusz... — rzekła doktorowa drżącemi ustami. — Krukowski oświadczył się o ciebie...

Madzi zabrakło tchu i rozszerzyła źrenice.

— Co?... — zapytała.

— Nic. Wejdź.

Lekko popchnęła ją do saloniku, gdzie obok fotela stał pan Krukowski w popielatych spodniach, z kwiatkiem w tużurku, z podsiniałemi oczyma i włosami czarniejszemi niż zwykle. Wąska jego ręka w popielatej rękawiczce machinalnie szarpała tasiemkę, na której niespokojnie kręcił się monokl.

— Niech ona sama panu odpowie—rzekła do pana Krukowskiego doktorowa.

— Pani, w ręku twem spoczywa szczęście mego życia — odezwał się z ukłonem pan Krukowski. Nieznośna zaś pamięć podszepnęła mu, jeszcze przed dokończeniem tej wzruszającej formuły, że powtarza ją po raz dziewiąty w życiu.

Madzia patrzyła na niego blada; ale rzeczywiście nic nie rozumiała. Była zdumiona, gdyż pod wpływem chwilowego osłupienia przemknęło jej przez myśl, że pan Krukowski — oświadcza się... o matkę.

— Najwyższem marzeniem mojem, a wyznam, że i najśmielszem jest... otrzymać rękę pani...—mówił niewyraźnie pan Ludwik i znowu ukłonił się.

Madzia milczała. Była już do pewnego stopnia przygotowaną na ten honor, lecz mimo to, usłyszawszy oświadczyny pana Krukowskiego, myślała, że szaleje. Wstręt, obawa i rozpacz — to uczucia, jakich doznała w tym najpiękniejszym momencie swego życia.

— Cóż o tem sądzisz, Madziu?...— spytała zakłopotana doktorowa.—Pan Krukowski prosi o twoją rękę... — dodała.

Po fazie kompletnego zgnębienia, w Madzi ocknęła się energja. Twarz przybrała wyraz surowy, oczy błysnęły, i odpowiedziała tonem osoby dojrzałej a obojętnej:

— Ja, mamo, nie wyjdę zamąż... za... nikogo...

Teraz matka zbladła. Uderzyła ją nietyle treść odpowiedzi, ile ton i fizjognomja córki.

— Śpieszyć się nie potrzebujesz... — wtrąciła doktorowa.

— Wprawdzie byłbym najszczęśliwszym... — dorzucił pan Krukowski.

— To moja ostateczna odpowiedź, mamo — rzekła Madzia, znowu tonem, który w ustach słodkiej dzieweczki brzmiał jak zniewaga.

Pan Krukowski odczuł to, już dzięki biegłości w matrymonjalnych niepowodzeniach, już dzięki temu, że niepodobna było mylić się co do znaczenia słów Madzi. Ukłonił się więc niżej, niż zwykle, a następnie podniósł głowę wyżej, niż to było w jego zwyczaju.

— Przepraszam za mój błąd — odparł. — Ośmieliłem się jednak przypuszczać, że w rozmowie, którą mieliśmy przed koncertem (ostatni wyraz zaakcentował), zrobiła mi pani jakby... cień nadziei...

— Cóżto znaczy, Madziu?... — zapytała matka.

— Ach, nic... pani!... — szybko wtrącił pan Krukowski. — Naturalnie, że coś mi się przywidziało... Przepraszam, stokrotnie przepraszam...

I wyszedł wśród ukłonów.

Doktorowa usiadła na krześle. Splotła ręce,

które jej drgały, i blademi oczyma patrzyła na drzwi, któremi wyszedł pan Krukowski. Na jej twarzy malowała się tak ciężka boleść, że przerażona Madzia z płaczem upadła jej do kolan, szlochając:

— Nie patrz tak, mateczko... nie gniewaj się... Ale przysięgam ci, że nie mogłam tego zrobić... nie mogłam, mamo... nie mogłam!...

Doktorowa łagodnie odsunęła ją od siebie. Westchnęła, wzruszyła ramionami i odparła spokojnym głosem:

— Cóż znowu za scena?... Nie chcesz iść zamąż, nikt nie będzie ci radził. Bo wreszcie już za późno. Jesteś samodzielna — ani słowa!... Taką cię zrobiła babka, tak chce ojciec... a moje zdanie zawsze niewiele znaczyło... Ale czy ty wiesz, jakie jest nasze położenie...

Madzia podniosła wylęknione oczy.

— Ojciec mało zarabia, tak mało, że ledwie wystarcza na dom... Prawda, że Zdzisław już niczego od nas nie potrzebuje, ale Zosia jest jeszcze na pensji. Mniejsza o nią...Kobiety emancypowane mogą nie troszczyć się o młodsze rodzeństwo, bo co tam rodzina!... Ale siostrze Krukowskiego jesteśmy winni kilkaset rubli, które natychmiast trzeba zwrócić....

— Mamo, przecież ja mam trzy tysiące rubli po babci... Weźcie z tej sumy, ile wam potrzeba na długi i na Zosię...Weźcie wszystko!...

— Nie wiem, czy z tej sumy oddadzą nam zaraz trzysta rubli, ale... niedużo z niej zostało. Przypuszczając, że kochasz swoje rodzeństwo, czerpa-

łam stamtąd na edukację Zdzisława... Wydaliśmy przeszło dwa tysiące rubli, czego dziś żałuję...

— A niechże mama tak nie mówi!... Dobrze mama zrobiła, pomagając Zdzisławowi, bardzo dobrze... Z pozostałej reszty spłaci mama ten dług, a Zosię ja wezmę do Warszawy... ja się nią zajmę...

— Ty?... — rzekła doktorowa. — A niech Bóg broni!... Dość już mieć jedną córkę emancypantką. Gdybym w podobny sposób straciła drugą, cóżby nam zostało na starość?...

— Nie mówże tak, mamo!... — jęknęła Madzia.

Upadła do nóg matce i zaniosła się tak żałosnym płaczem, że doktorowa złagodniała. Podniosła Madzię z ziemi, zaczęła ją uspokajać, nawet złożyła chłodny pocałunek na jej czole.

— Tyś temu niewinna, biedne dziecko!... — rzekła. — To ta przeklęta emancypacja robi z was dziwolągi...

— Które nie chcą się sprzedawać zdeboszowanym eks-birbantom!... Czy tak?... — odezwał się nagle ojciec, który od kilku chwil przez okno od ogrodu patrzył na tę scenę.

Wszedł do saloniku szklanemi dzwiami, wziął Madzię w objęcia i, z wymówką patrząc na matkę, rzekł:

— Czy ci nie wstyd, mateczko, dziewczyny, która ma więcej taktu, aniżeli my starzy?... Pomyśl, jakie byłoby nasze życie, gdybyśmy musieli patrzeć na jej męki, między mężem niedołęgą i jego siostrą, napół obłąkaną kobietą?... Przecież tym ludziom nie oddałabyś psa, któryby ci kilka lat służył!...

— Taki majątek, Feliksie...

— Ale dusza ludzka ma być więcej warta, aniżeli wasze majątki — odparł doktór. — O tem zapominacie, choć po dwa razy na dzień modlicie się o jej zbawienie.

XIV.

Echa oświadczyn.

Pan Krukowski, po niepomyślnej konferencji z Madzią, wyszedł na ulicę, jak męczennik na stos. Czuł się wyższym nad cały świat, którym głęboko pogardzał; tylko serce ciążyło mu, jakgdyby w piersiach dźwigał centnar wybuchowych materjałów.

Był, w swojem przekonaniu, znieważony, zdeptany, słowem—bardzo nieszczęśliwy; lecz mimo to, burzyło się w nim coś nakształt lekkomyślnej radości. Gdyby przed paroma godzinami dano mu do wyboru: śmierć albo odrzucenie go przez Madzię, wybrałby śmierć. Ale, gdy go już odrzucono, w panu Ludwiku ocknęła się drzemiąca energja i — drwił. „Trzy Marje — myślał — dwie Stanisławy, jedna Katarzyna, jedna Leokadja, a teraz Magdalena... Oczywiście, nie mam powodzenia u kobiet“...

Potem przypomniał sobie, że od kilkunastu lat jest na łasce siostry, że jest niczem, że ludzie pod grzecznemi formami lekceważą go, więc zacisnął pięść i mruknął:

— Musi się to raz skończyć!...

Kiedy wchodził na ganek domu i do sieni, z przyjemnością wsłuchiwał się w odgłos własnych kroków: takie były dzielne. Bez wahania ujął za klamkę, pchnął drzwi i — oko w oko, znalazł się wobec siostry.

Chora dama podniosła binokle i spojrzała. Brat wydał się jej w tej chwili jakby zamienionym. Jego popielate spodnie, kapelusz panama w prawej, zdjęta rękawiczka w lewej ręce, jego czarny tużurek, kwiatek w dziurce, a nadewszystko — twarz, w której jaśniała energja, wszystko to zaimponowało eks-paralityczce. Z zadowoleniem obejrzała go od stóp do głów, pomyślała: przyjęty!... i tylko dla formy spytała:

— No?...

To — no?... w takiej chwili wydało się panu Krukowskiemu bezdnią szyderstwa. Jak błyskawica przeleciały mu przez głowę wszystkie kaprysy siostry, wszystkie upokorzenia, jakich od niej doznał, całe jego śmieszne nicestwo, które już nie budziło nawet litości. — Więc — strzepnął rękoma, upadł na kanapę i — wybuchnął płaczem tak głośnym, że do pokoju wbiegł chłopiec, a za nim kucharka.

Chora zerwała się na równe nogi. Przyszło jej na myśl, że brat grał w karty i przegrał.

— Precz stąd! — krzyknęła na służbę, a zbliżywszy się do brata, rzekła groźnym głosem:

— Ludwik, co to znaczy?...

— Nieprzyjęty!... — wyszlochał bardzo pełnoletni mężczyzna.

— Więc oświadczyłeś się?...

— Tak...

— A tyś to poco zrobił?... Nie mogłeś zaczekać, aż ja załawię sprawę?... Koniecznie chciało ci się pokazać, że nie dbasz o mnie?...

Przerwała, ponieważ pan Ludwik przestał płakać, a natomiast począł zachowywać się, jak człowiek zemdlony. Ręce mu zwisły, głowa opadła na poręcz kanapy.

— No... no... no... — zawołała siostra, lecz widząc, że to nie pomaga, wezwała służbę.

Karafka wody zwyczajnej, pół flakona kolońskiej wody przywróciły panu Ludwikowi świadomość. Chora dama, odzyskawszy zadziwiającą sprężystość we wszystkich członkach, z zaciętemi ustami pomagała przenieść brata na łóżko i posłała po doktora Brzozowskiego.

Pan Ludwik i przy doktorze zemdlał tak głęboko, że lekarz zaniepokoił się. Obstawił pacjenta synapizmami i flaszkami i cały tydzień nie pozwolił mu podnosić się z łóżka. Eks-paralityczka dniem i nocą czuwała przy bracie, a pomagający jej w pielęgnowaniu chorego chłopak miał spuchnięte oba policzki.

Ósmego dnia pan Ludwik ubrał się w szlafrok i przeszedł się po ogrodzie. Potem z pod haftowanej kołderki wydobył skrzypce i — cicho, jak szelest motylich skrzydeł, popłynęła z pod jego palców — barkarola, ta sama, którą niegdyś grywał przy akompanjamencie panny Eufemji, ta sama, za którą na koncercie otrzymał burzę oklasków.

Tegoż dnia eks-paralityczka zaprowadziła dok-

tora do najodleglejszego pokoju i zapytała: co właściwie jest bratu?

Brzozowski podniósł brwi i począł wykładać; a ponieważ siedzieli obok siebie, więc, za każdym punktem, uderzał damę w kolano:

— Proszę pani, brat jej — po pierwsze — jest wyczerpany, musi odpocząć i odżywić się...

— On przecież ciągle to robi.

— Doskonale!... Proszę pani, brat jej — powtóre — jest mocno zdenerwowany, na co może nietyle wpływają jego kłopoty, ile zdenerwowanie samej pani. Ciągłe przebywanie z osobą tak rozstrojoną, jak pani, musiało i jego rozstroić...

— Ależ, mój doktorze...

— Ależ, proszę pani — przerwał Brzozowski, znowu uderzając ją w kolano — pani zrobi, co zechce, a ja powiem, czego uczy medycyna... Brat pani, jeżeli ma przyjść do siebie, musi zmienić otoczenie i tryb życia, koniecznie... Dlatego najlepiej będzie wysłać go w podróż...

— Nigdy!... — przerwała chora dama.

— Jak się pani podoba — odparł doktór i znowu uderzył ją w kolano.

— A gdyby go ożenić? — spytała dama.

Doktorowi błysnęły oczy.

— Można. Tylko... żona pana Ludwika musi być osobą wyrozumiałą, spokojną, taktowną... No i niezbyt młodziutką, bo te bardzo młode — nie dla nas.

— Znajdziemy taką — odparła dama.

— Szukajmy, byle prędzej. Ale nadewszystko — niech pani da trochę swobody bratu...

— Cóżto, przypuszcza pan?...

— Ja nic nie przypuszczam, ja jestem pewny, że pani rządzisz nim despotycznie... Otóż tyranja męska wyciska łzy kobietom, ale tyranja kobieca przyprawia mężczyzn o choroby, ogłupia ich, obezwładnia, demoralizuje...

— Jesteś pan impertynent!... Dziękuję za takie porady...

— Ja pani nie prosiłem, ażebyś mnie wzywała... Ja nie lubię odbierać Brzeskiemu jego nielicznych pacjentów... Ale kiedy jestem wezwany do chorego, mówię, co widzę, bo to mój obowiązek... Gdyby pan Krukowski umiał tak okulbaczyć panią, jak pani jego, bylibyście oboje zdrowi...

Po tej prelekcji chora dama rozpłakała się, zwymyślała Brzozowskiego, ale dała mu trzy ruble. Doktór wziął trzy ruble, zwymyślał ją jeszcze lepiej i — rozstali się, zadowoleni z siebie.

Gdy Brzozowski wyszedł, potrącając sprzęty i nakładając czapkę w pokoju, chora dama pomyślała z westchnieniem:

„Tak, gdyby Ludwik był podobny do niego...“

Przez ośm dni choroby pana Krukowskiego w najwyższych słojach towarzyskich Iksinowa kipiały plotki. Żadna elektryczność nie obiega tak szybko drutu obwodowego, jak wieść o nowym koszu pana Ludwika obiegła miasto.

Naturalnie, zaraz utworzyły się dwa stronnictwa. Proboszcz mówił, że Madzia jest bezinteresowna; major nazwał ją szlachetną dziewczyną; pan Miętlewicz uważał ją za bóstwo, u którego nóg

powinien cały świat leżeć. Ale pani rejentowa, pani podsędkowa i ich towarzyszki miały o Madzi cokolwiek odmienne zdanie, które pan aptekarz, ważąc proszki, lub korkując flaszeczki, formułował w ten sposób:

— A co, nie mówiłem, że pannie Brzeskiej na złe wyjdzie przyjaźń z wędrownymi aktorami?... Dopóki chodziło o mizdrzenie się, strojenie, urządzanie koncertów, panna Magdalena brylowała w Iksinowie. Ale kiedy przyszło do sakramentu... prr!... nie mogę... To panie tak z naszemi emancypantkami: zaczyna się od teorji, a potem... prr!...

Przy jednem z takich opowiadań, pani rejentowa, skromnie spuszczając oczy, odezwała się:

— Ależ złośliwy z pana!... Któż-bo słyszał mówić takie rzeczy o... panienkach?

Aptekarz zdziwił się, gdyż jakkolwiek chciał uchodzić za piekielnie złośliwego i pesymistę, niemniej — swoje opinje o postępowaniu Madzi opierał na sądach pani rejentowej.

Drobny ten wypadek ochłodził przyjazne stosunki między czcigodnemi domami państwa rejentów i aptekarzów. Aptekarz nagle przestał interesować się Madzią, ale zato począł rozwodzić się nad małomiasteczkowemi intrygami.

— Ho, ho! — mówił do żony. — Chciałyby baby zrobić ze mnie miech do rozdmuchiwania plotek... Ale musi rano wstać, kto myśli, że wyprowadzi mnie w pole... Nie z takimi ja grałem!...

Przez te ciężkie dni Madzia prawie nie ukazywała się na ulicy: od rana do późnej nocy przeglą-

dała elementarne książki i swoje kajety z niższych klas, sposobiąc się na kierowniczkę pensji w Iksinowie. Doktór Brzeski z niezamąconym spokojem odwiedzał albo przyjmował chorych, a doktorowa trochę pożółkła i może płakiwała po nocach, ale Madzi nie robiła wymówek. Obie z córką ledwie po kilka zdań wymieniały w ciągu doby. Nie było między niemi gniewu, owszem — życzliwość; tylko jedna i druga czuły, że jest im obco ze sobą.

Gdyby której z nich groziło niebezpieczeństwo, matka za córkę, a córka za matkę poświęciłaby życie. Ale mieszkać razem było im coraz trudniej: między niemi stał cień babki, długie oddalenie, pensja pani Latter, różnica wieku, a nadewszystko różnica pojęć. Nikt nie wytłumaczyłby doktorowej, że Madzia nie jest jej okiem, jej sercem, jej mózgiem, słowem — ważną, a nieoddzielną częścią jej istoty i że ona z córką powinny mieć jedną duszę. A tymczasem Madzia czuła z każdym dniem wyraźniej, że jest czemś odrębnem od matki, że ma swoją własną duszę, której za nic się nie wyrzeknie.

Od chwili odrzucenia pana Krukowskiego, Madzi zdawało się, że jest obcą w domu rodziców. Czuła się osobą, która wyzyskuje ludzi uczciwych, a niezasobnych. Przy obiedzie prawie lękała się jeść, gdyż w jej przekonaniu każdy kęsek był kradziony. Czasem machinalnie mówiła „dziękuję...“, gdy jej podsunięto potrawę, a raz, gdy z brzękiem upadła jej łyżka na stół, dostała drżenia serca. Przy pracy, w swoim pokoju, choć nikt na nią nie patrzył,

starała się jak najmniej zabierać miejsca na stoliku, siedziała na rożku krzesła, nieledwie wstrzymywała oddech, ażeby nie zabierać powietrza ukochanym rodzicom, których tak skrzywdziła.

Mogła jednym wyrazem usunąć im wszystkie prace i kłopoty, zapewnić bezpieczną starość i — nie zrobiła tego!... Ona, tak odczuwająca cudzą niedolę, taka skora do poświęceń. Ach, i dziś jeszcze i w każdej chwili chętnie ofiarowałaby im życie; dlaczegóż więc nie żądano od niej życia, tylko oddania się człowiekowi, który, jako mąż, był dla niej wstrętny?

Wogóle zamążpójście wydało się Madzi czemś kompromitującem kobietę. Każdy mężczyzna budził w niej uczucie głębokiego wstydu, który był tak silny, że przemóc go mogłaby tylko dla jednego — dla pana Kazimierza Norskiego. Ale, kiedy pierwszy raz przyszło jej to na myśl, rozpłakała się, a potem uklękła i, drżąca, zmówiła pacierz; zdawało się jej, że jest wyuzdaną rozpustnicą, którą ludzie powinni gardzić, a Bóg potępić.

W sercach dziewiczych trafiają się podobne obłąkania.

A tymczasem po mieście opowiadały sobie najczcigodniejsze damy, że Madzia daleko, o! bardzo daleko musiała zajść w emancypacji, skoro odrzuciła tak świetną partję, jak pan Ludwik Krukowski. Wprawdzie pan Ludwik i u innych panien nie miewał powodzenia, ale tamto bywały panny bogate, szlachcianki. Żadna córka doktora, a choćby podsędka, rejenta czy aptekarza, nie byłaby tak

nierozsądną, bez powodów pierwszorzędnej doniosłości...

Choroba pana Krukowskiego budziła żywe współczucie głównie wśród starszych iksinowianek. Opowiadano sobie, że z domu pana Brzeskiego, w owej fatalnej godzinie, wracał pan Krukowski jak posąg, że wpadł na wóz z owsem i nie odkłonił się panu rejentowi. — Czysty automat!... Opisywano jego wybuch płaczu, który miał trwać około pięciu godzin, a rozlegał się aż pod starą oberżą. Mówiono, że nieszczęśliwy pan Ludwik codzień mdleje i, gdyby nie nadludzki ratunek Brzozowskiego, jużby umarł.

— A tak — objaśniała pani rejentowa pani pomocnikowej — to tylko albo zwarjuje, albo dostanie rozmiękczenia mózgu, albo choroby szpiku. W każdym razie jego siostra sprzeda dom, ogród, odbierze kapitały z hipotek i wywiezie męczennika gdzieś zagranicę. W taki dziki kąt, w taką odciętą od świata miejscowość, gdzieby nawet nie wiedziano o Iksinowie.

Słuchając tego, z powagą właściwą swemu stanowisku, rejent zrobił minę, która oznaczała, że jednak trudno będzie znaleźć okolicę, dokąd nie dosięgłyby odgłosy z Iksinowa.

— A co to za nieszczęście dla Femci... — mówiła pani rejentowa. — Bo gdyby nie przyjazd tej... panny Magdaleny, Krukowski niezawodnie ożeniłby się z podsędkówną. Byli tak dobrze... a dziś!...

— No, ale Cynadrowski był tam niepotrzebny — wtrącił rejent.

— Mój kochany, co znaczy twoje: tam?... — podniosła głos rejentowa. — Że do niej wzdychał?... Każdy z was wzdycha do każdej pięknej kobiety...

— Cynadrowski kręci się wieczorami koło domu podsędków — rzekł rejent.

— Więc cóż z tego?... Wolno mu kręcić się nawet koło kościoła... Proszę cię nie powtarzaj plotek, bo mnie gniewasz.

Rejent umilkł, ale zrobił minę, która mogła oznaczać, że dziwi się wstrętowi swej małżonki do plotek. Przynajmniej tak oceniła to pani rejentowa i wpadła w zły humor.

XV.

Przechadzki cmentarne.

W piątym dniu choroby pana Krukowskiego, na krótko przed zachodem słońca, Madzia spacerowała po ogródku. Nagle, nad parkanem od strony ulicy mignęła czapka z gwiazdką, a po chwili obok krzaka malin upadł list.

— Od panny Eufemji!... — odezwał się stłumiony głos z poza parkanu.

Madzia trochę zlękła się, trochę rozgniewała się na dziwnego posłańca, lecz podniosła i przeczytała kartkę.

Były znowu na niej dwa całujące się gołąbki, tym razem nieprzekreślone.

„Najdroższa, święta, jedyna przyjaciółko moja! Dziś po zachodzie słońca przyjdź na cmentarz, gdzie czekać cię będę z nieopisaną tęsknotą. Błagam cię, nie odmów, chodzi bowiem o ważne rzeczy".

W pół godziny Madzia, której już nikt nie zapytywał: dokąd wychodzi, znalazła się na wskazanem miejscu.

Cmentarz był niewielki, opasany murem; wchodziło się do niego przez furtkę, która, puszczona z ręki, sama się zamykała, wahając się w prawo i lewo i — kłapiąc. Na białych pomnikach jeszcze było znać różowe blaski zorzy wieczornej. Madzi, gdy biegła główną ulicą, wydawało się, że mogiłki są jakby wyższe, że szare i czarne krzyże spoglądają na nią i że wśród wielkiej ciszy, między drzewami, snują się cienie i słychać szepty.

Mijając kamień grobowy swej babki, Madzia uklękła i odmówiła pacierz. W rzeczy samej, na cmentarzu było słychać szelest, a potem odgłos, jakby kto przelazł mur i skoczył na drugą stronę.

„Boże, poco ja tu przyszłam?..." — pomyślała wylękniona Madzia. W tej chwili usłyszała szybkie kroki i głos panny Eufemji...

— To ty, Madziu?...

Madzia powstała z klęczek; panna Eufemja rzuciła się jej na szyję i zaczęła całować ją z płaczem.

— Czy przebaczysz mi kiedy?...

Zamiast odpowiedzi, Madzia uścisnęła ją. Potem obie, wziąwszy się pod ręce, pobiegły między

najgęstsze drzewa i usiadły na ławce, naprzeciw niskiego krzyżyka, który pochylił się na bok, jakby chciał słyszeć ich szepty.

— Odrzuciłaś Krukowskiego?... — mówiła panna Eufemja, tuląc się do ramienia Madzi. — Ach, jakaś ty szlachetna... jakaś ty odważna!... Nie wiesz nawet, ile cię błogosławię, bo dopiero ty otworzyłaś mi oczy na prawdę... Dla mojej matki majątek jest wszystkiem i, gdyby pół roku temu, ach, gdyby nawet po koncercie oświadczył mi się Krukowski, przyjęłabym go i zdeptałabym najszlachetniejsze serce...

Zadyszana odpoczęła.

— Widzisz, Madziu, my, kobiety na partykularzu, jesteśmy bardzo nikczemne: sprzedajemy się, pozwalamy się sprzedawać, wyrzekamy się własnej woli, a nawet uczuć dla majątku... A tymczasem jakiż majątek zastąpi prawdziwą miłość?...

Spojrzyj na te groby, Madziu, w których wszystko się kończy, dokąd nie można zabrać majątku, i powiedz: czy dla podłej mamony godzi się odtrącać serce... kochające... ubóstwiające nas serce? Ja dopiero dziś czuję kobiecą godność, dopiero dziś jestem dumna, kiedy wiem — jak on mnie kocha... Dać komu tyle szczęścia, ile ja mogę dać temu człowiekowi... ach... czy jest coś ważniejszego na świecie?...

— O kim mówisz — spytała Madzia.

— O Cynadrowskim. Nie chcę nic taić przed tobą: zaręczyliśmy się z nim, i czuję, że zaczynam go kochać... Kobieta potrzebuje być kochaną, ubó-

stwianą... to jej wynagradza ofiary, jakie ponosi w życiu...

— A rodzice?...

Panna Eufemja otrząsnęła się.

— Rodzice?... Alboż ty, odrzucając Krukowskiego, pytałaś się rodziców?... Jestem także kobietą, człowiekiem i mam prawo rozporządzać przynajmniej mojem ciałem... Przecież to — moje — ciało, jedyna moja własność, które mogę oddać ukochanemu, ale sprzedawać — nigdy!

Madzi boleśnie ścisnęło się serce i długo, długo całowała pannę Eufemję.

— W zimie — mówiła podsędkówna — ojciec mego narzeczonego ma kupić mu poczthalterję w kieleckiem. Będzie to dla nas podstawa bytu, a resztę dopiero pracą... Bo i któż mi broni, nawet gdy zostanę poczthalterową, uczyć dzieci?

Otarła chustką oczy.

— Dlatego proszę cię, Madziu, przyjmij mnie na spólniczkę do twej szkoły. Będę pracowała od rana do wieczora... Nie chcę już własnego pokoju, firanek, tapetów... Pobielone ściany, to dosyć... Przy tobie nawyknę do uczenia, a wieczorami będę haftowała; może zresztą znajdę lekcje muzyki i tym sposobem zbiorę pieniądze na wyprawę, bardzo skromną... Bo mama, jestem pewna, nic mi nie da przed ślubem.

Powstały z ławki i opuściły cmentarz.

Madzia była wzruszona: w tej pokornej, gotowej do poświęceń, narzeczonej nie mogła poznać dawnej panny Eufemji, pysznej egoistki.

Od tej pory Madzia co wieczór przychodziła na cmentarz i rozmawiała z panną Eufemją o jej planach na przyszłość, albo o pensyjce, którą miały założyć. Podsędkównie zawsze towarzyszył sekretarz pocztowy, lecz, na widok Madzi, krył się za mur.

Kiedy pan Krukowski na dobre dźwignął się z niemocy i zrzucił szlafrok, a dla kompensaty, coraz częściej grywał na skrzypcach, jego siostra zaprosiła do siebie panią rejentową i odbyła długą konferencję przy zamkniętych drzwiach. Po skończeniu jej, pani rejentowa, promieniejąca zadowoleniem, udała się do pani podsędkowej i odbyła z nią drugą konferencję. Po skończeniu jej, pani rejentowa wyszła, a zkolei pani podsędkowa zaczęła promieniować wielkiem zadowoleniem.

Następnie pani podsędkowa wezwała pana podsędka i zaczęła z nim konferencję. Po wysłuchaniu zdań początkowych, pan podsędek zawołał:

— Ja to przeczuwałem oddawna!...

Ale w dalszym ciągu rozmowy, zerwał się z krzesła, zaczął tupać nogami i krzyczeć:

— Ja do tego mieszać się nie będę!... Daj mi syna, to zrobię z nim, co mi się podoba; ale córka należy do ciebie...

— Masz niedobrze w gełowie, czy co?... — odpowiedziała uroczyście pani podsędkowa. — Skądże ja ci syna wezmę?...

I uwagę swoją poparła ruchami pełnemi godności; może zbyt wielkiej na tak małą odpowiedź. A że zbliżał się zachód słońca, więc z naciskiem poprosiła podsędka, ażeby nie wydalał się z domu.

Podsędek był zrozpaczony; całe szczęście, że niedługo czekał. Wnet bowiem usłyszał szanowną małżonkę, która mówiła do panny Eufemji:

— Dokądże to panienka?...

— Na spacer.

Musiało to być hasłem, gdyż podsędek ze swego pokoju przeszedł do saloniku i usiadł na krześle, pod piecem, w sposób, charakteryzujący człowieka, który cierpi na żołądek.

Również do saloniku wsunęła się majestatycznie pani podsędkowa, a za nią panna Eufemja w kapeluszu na głowie. Nawet już zapinała drugą rękawiczkę.

Podsędkowa z powagą usadowiła się na fotelu i rzekła do córki:

— Więc panienka na spacer?

— Tak.

— Czy nie na cmentarz?

— Na cmentarz.

— I nie boisz się sama sepacerować o tej porze między grobami?...

— Ach, więc tak?... — rzekła spokojnie panna Eufemja, siadając obok stołu, naprzeciw podsędkowej. — Ktoś, widzę, wyszpiegował mnie, więc nie mam co taić. Tak, mamo, chodzę po cmentarzu albo z Madzią, albo z panem... Cynadrowskim.

Podsędek z wielką uwagą obserwował szparę podłogi; podsędkowa rzuciła się na fotelu, ale nie zmieniła tonu.

— Pan Cenaderowski — rzekła — bardzo nie-

stosowne towarzystwo dla panienki twego setanowiska!

Panna Eufemja schyliła głowę i zaczęła mrugać oczyma.

— Ja go kocham, mamo.... — szepnęła.

Podsędek rozkrzyżował ręce.

— Nierozsądena jesteś, moja Femciu — odpowiedziała podsędkowa — z twojem kochaniem i z twoją pensją. Wszystko to są skutki przestawania z panną Magdaleną...

— O, nie... Z nią zakładam pensję, ale jego kocham sama... Długo walczyłam z jego błaganiami i rodzącem się we mnie uczuciem... Ale, skoro raz przysięgłam, że będę należeć do niego...

Podsędek schwycił się za brzuch i kiwał głową. Podsędkowa przerwała córce:

— Nigdy nie sądziłabym, Eufemjo, że możesz zapomnieć o swem stanowisku...

— No, nie jest tak znowu świetne stanowisko starej panny, którą zostałabym za rok, lub dwa?... Dotychczas ślepo słuchałam mamy i co z tego?... Skończyłam dwadzieścia pięć lat...

— O i dobrze!... — mruknął podsędek.

— A przyzna mama, że lepiej umrzeć, aniżeli zostać starą panną... Czyliż ich tu nie znamy dosyć, w rozmaitym wieku?... Im która starsza, tem bardziej nieszczęśliwa i wyśmiewana... Dziękuję za takie stanowisko, wolę być panią poczthalterową...— mówiła panna, bawiąc się albumem.

— Pi!... jak ta dziewczyna gada... jak ona gada!... — wtrącił podsędek.

— A ja sądzę — rzekła powoli podsędkowa — że lepiej być panią Krukowską z bełogosławieństwem rodziców, aniżeli wydziedziczoną i wyklętą panią Cenaderowską...

Pannie Eufemji wysunął się z rąk album i z łoskotem upadł na ziemię.

— Cóżto znaczy?... — spytała drżącym głosem.

— To, że pan Krukowski i jego siostra w tych dniach oświadczają się o twoją rękę, jeżeli będą pewni, że nie odmówisz...

Panna Eufemja wybuchnęła płaczem.

— Boże, cóż się to dzieje!... Ależ Cynadrowski...

— Przelotna sełabostka — odparła matka.

— Ja mu przysię... ja mu przyrzekłam...

— Zapewne w chwili szlachetnego uniesienia, oszołomiona jego bełaganiami i rozpaczą...

— Zamieniliśmy pierścionki... zresztą — on ma moje listy...

— Aj, do djabła!... — mruknął podsędek.

— Moja Eufemjo — mówiła podsędkowa, — Pan Kerukowski jest szlachetnie urodzony, pięknie wychowany, a mimo to — nieszczęśliwy i osamotniony. Takiemu człowiekowi podać rękę, wełać mu otuchę, przywrócić wiarę w siebie — to, mojem zedaniem, cel godny kobiety wyższej... Ale pan Cenaderowski, któremu wystarczyćby mogła tewoja pokojówka...

Podsędkowa wyniośle wzruszyła ramionami: panna Eufemja płakała.

Rozpoczęta w tej kwestji konferencja ciągnęła się do późnej nocy, przeplatana łzami i uściskami, matki i córki, tudzież wykrzyknikami podsędka, które w bardzo niewielkim stopniu przyczyniały się do wyjaśnienia sytuacji.

Panna Eufemja nie była tego wieczora na cmentarzu.

XVI.

Gdzie się kończą.

Nazajutrz podsędek, zmizerowany i nieśmiały, złożył wizytę majorowi i odbył z nim konferencję.— O czem mówiono?—pozostanie wieczną tajemnicą. Jedno jest pewne, że major tak brzydko wymyślał na podsędkową, aż szyby drżały z oburzenia.

Gdy zaś spocony podsędek, opuściwszy dom majora, lekkim kłusem podążył na łono rodziny, major udał się do doktora Brzeskiego i, wszedłszy do pokoju Madzi, która pisała jakieś kursa, rzekł zniżonym głosem, bez wstępów:

— Powiedz mi: czy prawda, żeś pośredniczyła między panną Eufemją i Cynadrowskim?

— Ja?... — krzyknęła zdumiona Madzia.

— Powiedz mi, dziecko, szczerze — mówił major.—Bo oni twierdzą, że ty namówiłaś Eufemję do schadzek i nakłoniłaś ją do zamiany pierścionków z Cynadrowskim?

Madzia oburzyła się. A ponieważ jeszcze na pensji przywykła chować swoją korespondencję,

więc — oddała majorowi dwa listy: jeden z przekreślonemi gołąbkami, w którym panna Eufemja zerwała z nią stosunki, drugi z nieprzekreślonemi gołąbkami, w którym zaprosiła ją na cmentarz.

— Naturalnie!... — mówił starzec, przeczytawszy listy. — Byłem tego pewny!...

Potem wyjrzał przez okno, spojrzał na drzwi, i, schwyciwszy Madzię wpół, przytulił swoje siwe, nasycone tytoniem wąsy, do jej szyi, mrucząc:

— Oj, ty... ty... figlarko!... Mogłabyś nie kusić mnie starego...

No, bywaj zdrowa — dodał po chwili i pocałował Madzię w czoło.

Z domu doktora, major podreptał ku poczcie, nakładając swoją potworną fajkę, i wszedł do ekspedycji, gdzie, pochylony nad biurkiem, młody blondyn z grzywką sumował cyfry.

— Cynadrowski—rzekł major—masz czas?...

Młody blondyn położył palec na jednej z cyfr i, spojrzawszy groźnie na majora, odparł:

— Zaraz będę miał... Ale za kratkę wchodzić nie wolno...

— Tam także wchodzić nie wolno, a jednak chciałeś... — odparł major. I nietylko usiadł na urzędowej kanapce, obok biurka, ale jeszcze urzędowemi zapałkami zapalił straszliwą fajkę.

— Pan jest bezceremonjalny!...—rzekł Cynadrowski.

— Nauczyłem się od ciebie i zaraz ci to opowiem, tylko skończ pisanie.

Blondyn z grzywką przygryzł wargi, zsumował kolumnę, a potem sprawdził.

— Masz jaki pokoik? — zapytał major.

Cynadrowski wstał i, milcząc, zaprowadził majora do następnego pokoiku, gdzie było żelazne łóżko, parę czarnych szaf z papierami, a w kącie stos juków, wydających woń odświeżonej skóry.

Major usiadł na łóżku i przez chwilę wydmuchiwał kłęby dymu, patrząc w sufit. Przypomniał sobie, że przed pół godziną podsędek ukląkł, literalnie ukląkł przed nim, błagając, ażeby bardzo ostrożnie, bardzo delikatnie i bardzo stopniowo przygotował sekretarza do pewnej smutnej wiadomości.

„Bo widzi kochany major — mówił podsędek— Cynadrowski to chłopak porywczy i, jeżeli nie weźmiemy się do niego dyplomatycznie, gotów zrobić awanturę“.

To przypomniał sobie major i widać ułożył jakiś plan meternichowski, gdyż, uśmiechnąwszy się, rzekł:

— Wiesz, poco do ciebie przyszedłem?

— Nie mogę domyślić się, za co spotyka mnie ten honor — odpowiedział krewki młodzieniec, którego niecierpliwiło zachowywanie się majora.

— Widzisz... przyszedłem ci oddać, w imieniu panny Eufemji, twoje listy do niej, no... i pierścionek.

To mówiąc, zwolna położył na stole, naprzód pakiecik, obwiązany nakrzyż czarną wstążeczką, a następnie — małe pudełko po pigułkach, gdzie, owinięty w watę, błyszczał pierścionek z wizerunkiem Matki Boskiej.

— Oprócz tego, proszę cię, również w imieniu panny Eufemji, o jej listy i jej pierścionek — zakończył major i spojrzał na Cynadrowskiego.

Młody człowiek stał pod szafą, z rękoma w kieszeni. Miał twarz, jakby zmarzniętą, białe usta i grzywkę rozczochraną, choć jej nie dotknął. Majorowi zrobiło się żal biedaka i właśnie dlatego nasrożył siwe brwi.

— To nie może być — rzekł chrapliwym głosem Cynadrowski.

— Masz rację — odparł major. — Nie może być, ażeby człowiek honorowy zatrzymywał listy i pierścionek panny, która mu odsyła jego efekta.

— To nie może być!... — powtórzył z krzykiem młody człowiek, uderzając się pięścią w piersi. — Jeszcze onegdaj przysięgła mi...

— Onegdaj przysięgała ci na onegdaj, ale nie na dzisiaj. Baba nigdy nie przysięga na odległy termin, chyba w kościele. Nie należy jej też podsuwać zbyt długiej roty przysięgi, bo nim dojdzie do końca, zapomni, co było na początku.

— Ale dlaczego to zrobiła?... Dlaczego?...

— Podobno ma oświadczyć się jej Krukowski.

— Więc idzie zamąż?...— prawie zawył młody człowiek.

— A no juści... I szkoda, że jej się to wcześniej nie udało... Tak pięknie zbudowana kobieta mogłaby już mieć ze sześcioro dzieci...

Cynadrowski nagle odwrócił się i ukląkł w kącie, między pachnącemi jukami. Wcisnął czoło między dwie ściany i jęczał, nie roniąc ani jednej łzy:

— Jezu... Jezu... czy to podobna?... Jezu miłosierny, czy tak można zabijać ludzi na równej drodze?... Jezu!...

Majorowi zrobiło się przykro.

— Djabli mnie tu przynieśli... — mruknął.

Podniósł się z łóżka, podszedł do klęczącego i, uderzywszy go w ramię, rzekł:

— No, wstawaj!...

— Co?... — odparł młody człowiek, zrywając się na nogi.

Wyglądał jak warjat.

— Przedewszystkiem — nie bądź głupi.

— A potem?

— Oddaj listy panny i jej pierścionek, a swój zabierz.

Cynadrowski rzucił się do wielkiego kufra, otworzył go, a w nim skrytkę, z której wydobył pakiet listów. Porachował je, włożył w grubą kopertę i zapieczętował trzema urzędowemi pieczęciami.

Następnie zdjął z palca pierścionek z opalem i ostrożnie umieścił w pudełeczku z watą; pierścionek zaś z Matką Boską wsadził sobie na palec.

— To jeszcze po matce — rzekł, dygocąc.

— Piękna pamiątka — odparł major. — Szkoda, żeś jej nie szanował.

— Ha? — spytał Cynadrowski.

— Nic. Teraz — powinieneś wziąć na przeczyszczenie. Nawet — wiesz co?... Przyszlę ci sześć reformackich pigułek; zażyj wszystkie, a do jutra tak ci się uspokoi serce... W naszym pułku był doktor

Gerard: ile razy jaki oficer zakochał się nieszczęśliwie, dawał mu na przeczyszczenie. A jeżeli chłopak bardzo dokazywał, to pierwej aplikował wymioty. Niezawodny środek... jak niegaszone wapno na szczury.

— Kpi pan ze mnie?... — szepnął młody człowiek.

Major objął go prawą ręką (w lewej trzymał fajkę) i pocałował w oba policzki, mówiąc:

— Jak Boga kocham, nie kpię... Jak cię szanuję, mój Cynadrowski!... Tylko widzisz, spódnica— dobra rzecz, ale nie trzeba sobie zawijać w nią głowy. I nie myśl, że cię nie rozumiem. Ja wiem, co to miłość: kochałem się po dwanaście razy na rok, może i więcej. A że byłem chłopak, jak malowidło, więc latały za mną dziewczęta, jak koty za sadłem. I co powiesz: każda umierała z miłości, przysięgała, że mnie na wieki będzie kochać, a nie było ani jednej, ażeby bestyjka nie zdradziła. Co najbardziej mnie gniewało, że zawsze zdradziła choćby o godzinę wcześniej, aniżeli ja ją. Z tego powodu mam nawet żal do kobiet i taką zawziętość, że — jak mnie widzisz żywym — każdą zniesławiłbym bez wyrzutu sumienia.

Cynadrowski uśmiechnął się bezmyślnie.

— Bardzo dobrze — mówił major — już rozum zaczyna ci wracać. Zażyj jeszcze moich pigułek, a spojrzysz na świat całkiem jasno. Mój kochany, nieszczęście w miłości nie wtedy bywa, kiedy ciebie zdradzają, ale kiedy cię już zdradzić nie mogą, choćby najbardziej chciały. Zimno mnie, powiadam

ci, przechodzi, gdy pomyślę, że jeszcze: rok, dwa, a trzy najwięcej i... przestaną zajmować człowieka te marności!

Wierz mi, prawdziwa nad tobą łaska boża, że tak się stało. Miałbyś teścia... no!... a teściową!... i w dodatku jedną jedyną żonę, która pilniej strzegłaby twojej cnoty, aniżeli Żydzi kopytkowego przy rogatkach. A tobie naco jedna żona?... Masz tu gdzie lustro, więc przyjrzyj się: pyski jak u tatara, czoło jak u byka, kark barana, nogi kogucie... Czyś ty zwarjował, człowieku, ażeby takie zdolności marnować dla jednej kobiety!

— Więc ona idzie zamąż?... — wtrącił Cynadrowski.

— Kto?

— Panna Eufemja...

— Ależ idzie, aż się oblizuje!... — odparł major. — Dwudziestoośmioletnia panna, to jak roczna wdowa: serce gorętsze od samowara, rękę ugotowałbyś do kości...

— Jezu... Jezu!... — szeptał młody człowiek, chwytając się za głowę.

— No... no!... Tylko pana Jezusa tu nie mieszaj — zgromił go major. A chowając do bocznej kieszeni kopertę z listami i pudełeczko z pierścionkiem panny Eufemji, dodał:

— Tak, doskonale... Uszy do góry!... A jak ci moja kucharka przyniesie pigułki, zażyj wszystkie... Tylko nie zaczep jej samej, bo tego nie lubię. Smutek smutkiem, a co nie twoje, nie ruszaj. Bądź zdrów.

Ścisnął Cynadrowskiego za rękę i nadstawił mu do pocałunku policzek.

W parę dni po tych wypadkach, kiedy Madzia bocznemi ulicami przemykała się do sklepu Eisenmana, zastąpił jej drogę Miętlewicz. Był zakłopotany, lecz starał się panować nad sobą.

— Czy słyszała pani — rzekł — że dzisiaj pan Krukowski z siostrą był u państwa podsędków i oświadczył się o pannę Eufemję?

— Wiem o tem — odparła Madzia, rumieniąc się.

— Przepraszam panią... Ale — czy został przyjęty?...

— Tak przynajmniej mówił pan podsędek memu ojcu.

— Ja, proszę pani, nie przez ciekawość pytam... — tłumaczył się Miętlewicz. — Tylko ten biedak Cynadrowski zobowiązał mnie, ażeby się o tem dowiedzieć... Przyrzekłem mu i...

— Naco jemu ta wiadomość!... — odpowiedziała Madzia, wzruszając ramionami. — Bo przecie jest chyba o tyle szlachetny, że o awanturze nie myśli...

Miętlewicz zarumienił się, jak wyrostek, schwytany na psocie. Zrozumiał niewłaściwość pogróżek, zapomocą których chciał zapobiec związkowi Madzi z Krukowskim.

— Czasami — wyjąkał — człowiek tak szaleje z żalu, że gotów zrobić awanturę, przynajmniej... z samym sobą... Ale Cynadrowski nie zrobi tego, o nie... To kamień; już wczoraj cały dzień pisał ra-

porta. Tylko chciał się przekonać: czy rodzice nie zmusili panny Eufemji i czy ona przyjmie dobrowolnie pana Krukowskiego?

— Podobno już w tę niedzielę mają wyjść ich zapowiedzi — wtrąciła Madzia.

— Czy tak?... Śpieszy się panna Eufemja!... dobrze robi Cynadrowski, że na parę tygodni wyjeżdża do ojca, na wieś... Bo możeby i nie wytrzymał, gdy innemu zagrają Veni Creator.

XVII.

Echo przechadzek po cmentarzu.

Madzia pożegnała rozgadanego Miętlewicza i, załatwiwszy w mieście sprawunki, wróciła do domu. Ku wieczorowi przyszedł major z proboszczem i, jak zazwyczaj, siedli starcy do szachów w altanie, dokąd Madzia przyniosła kawę. Doktór Brzeski palił niedrogie cygaro i przypatrywał się grającym.

Ale partja wlokła się nieporządnie, gdyż partnerzy ciągle przerywali ją rozmowami, nie mającemi związku ze szlachetną grą.

— Nie chciałbym być w skórze Eufemji — mówił major. — Przecież ona wchodzi do szpitala!...

— No, majątek... nazwisko... — wtrącił proboszcz.

— Co po nazwisku, kiedy mąż niedołęga? Dopiero będzie miała niespodziankę...

— A tak, z panią siostrą... Rzeczywiście, ekstraordynaryjna kobieta.

— Gorszy czeka ją szpas ze strony brata.

— Nie gadałbyś, major!... Taka brzydka gęba, że ile razy wypuści fajkę, musi powiedzieć wszeteczeństwo.

— Gadałeś i jegomość w młodszym wieku.

— Nigdy! — oburzył się proboszcz, uderzając pięścią w stół. — Nigdy, ani kiedy byłem wikarym, ani kiedym został proboszczem.

— Bo wikary nie wiedział, a proboszcz nie może — odparł major.

Ksiądz umilkł i począł rozpatrywać się w szachownicy.

— Teraz, mości dobrodzieju, posuniemy tak...— rzekł proboszcz. Następnie wziął dwoma palcami laufra i podniósł...

W tej chwili na ulicy rozległ się krzyk, jakby kto wołał: gore!... Potem gwałtownie otworzyła się furtka i wbiegł do ogrodu człowiek niski a pękaty, wołając:

— Doktora!...

— Pocztmajster... — rzekł major.

Istotnie, to był pocztmajster. Kiedy wpadł do altany, jego apoplektyczna twarz była pokryta siecią fioletowych żyłek. Chciał coś mówić, ale zakrztusił się i bezwładnie machnął rękoma.

— Zwarjowałeś pan?... — krzyknął na niego major.

— Udławił się... — dorzucił proboszcz.

— Zastrze... zastrzelił...—jęknął pocztmajster.

— Kto?... kogo?...

— Siebie...

— Oho!... to już pewnie ten osioł Cynadrowski... — rzekł major i z fajką w zębach, bez czapki, wybiegł z altany, a za nim proboszcz.

Doktór Brzeski wpadł do swego gabinetu po środki opatrunkowe i z pocztmajstrem poszedł za przyjaciółmi.

Przed pocztą stała, ciągle powiększająca się, gromadka mieszczanek i Żydów.

Major rozepchnął tłum, minął biuro ekspedycyjne i wszedł do pokoiku Cynadrowskiego, gdzie zapach skóry mieszał się z wonią prochu.

Cynadrowski siedział na łóżku, oparty plecami o ścianę. Pełna jego twarz wydawała się obwisłą i miała odcień żółtego wosku. Jeden pocztyljon stał osłupiały w kącie, między jukami—drugi, rzewnie płacząc, ściągał Cynadrowskiemu z lewej ręki surdut i kamizelkę, rozerwawszy mu koszulę na piersiach.

Major potknął się o olbrzymi pistolet pocztowy, leżący na podłodze, zbliżył się do łóżka i spojrzał. Cynadrowski na lewej stronie piersi miał ranę, wielkości dziesięciu groszy; brzeg jej był nieco odwinięty, środek zatkany skrzepem krwi, która różowym paskiem spływała nadół.

— Ech, to skaleczenie!... — odezwał się proboszcz.

Major odwrócił się i popchnął proboszcza bliżej łóżka.

— On już umiera — rzekł, nie wyjmując z ust fajki.

— Nie może być?...

— No, no... rób jegomość swoje...

Proboszcz zaczął drżeć. Oparł rękę o ścianę, pochylił się nad ranionym i, zbliżywszy swoją twarz do jego twarzy, zapytał półgłosem:

— Żałujesz za grzechy z całego serca, ze wszystkich sił twoich?...

— Żałuję... — odpowiedział ranny chrapliwym głosem.

— Żałujesz przez miłość dla Boga, Stwórcy i Zbawiciela twego, którego obraziłeś?...

— Tak...

Stojący przy łóżku pocztyljon płakał na cały głos; major mruczał pacierz.

— A b s o l v o t e i n n o m i n e P a t r i s e t F i l i i... — szeptał proboszcz. Potem przeżegnał konającego i ucałował go w czoło, na którem ukazały się krople potu.

Ranny podniósł rękę, rzucił się, zaczął ustami chwytać powietrze, w oczach było widać trwogę. Potem wyprężył się, odetchnął i spuścił głowę na piersi, a na pożółkłej twarzy ukazał się wyraz zniechęcenia. W tej chwili Brzeski wziął go za rękę i zaraz puścił.

— No, tak!... — rzekł doktór. — Połóżcie ciało na łóżku.

W kilka minut później wracali we trzech do domu.

— A już mógłbyś major nie gorszyć ludzi

przynajmniej w takim momencie — odezwał się proboszcz.

— Co znowu jegomość czepiasz się?... — odburknął major. — Przecie mówiłem pacierz...

— Tak i przy tem puszczałeś dym z fajki, aż w nosie kręciło.

— A jegomość rozgrzeszałeś nieboszczyka laufrem, którego jeszcze w garści trzymasz...

— Męko Chrystusowa!...—zawołał proboszcz, podnosząc ręce. — A toż ja naprawdę mam laufra w garści... Nigdy już grać nie będę w te przeklęte szachy, z których tylko obraza boska...

— Nie zarzekaj się, jegomość—przerwał major, — bo wpadniesz w gorszy grzech...

— Oto skutki obcowania z bezbożnikiem... O Męko Chrystusowa!... — biadał proboszcz.

— Nie desperuj jegomość!... nasz kapelan nieraz batem błogosławił umierających i nie przeszkodził im do zbawienia. Co ma wisieć, nie utonie.

Po tym wypadku w Iksinowie zrobił się bezporównania większy ruch umysłowy, aniżeli po koncercie. Pocztmajster o śmierci sekretarza telegrafował do gubernjalnego zarządu pocztowego, skąd na trzeci dzień zjechała rewizja. Gadano w mieście, że Cynadrowski popełniał wielkie nadużycia: odlepiał marki, wydobywał pieniądze z listów, no — i zastrzelił się ze strachu. Lecz gdy zrewidowano pocztę, okazało się, że nie brak ani jednego grosza, ani jednego kawałka laku; księgi rachunkowe były prowadzone do ostatniej godziny i znajdowały się w zupełnym porządku. Zauważono

tylko, że w ciągu kilku dni, poprzedzających śmierć biedaka, zmienił mu się charakter pisma: litery były większe i niepewne.

Przy sekcji, zrobionej na Cynadrowskim przez doktora Brzozowskiego, okazało się przekrwienie mózgu; skąd wniosek, że nieboszczyk dokonał zamachu pod wpływem obłędu. Lecz jaka mogła być przyczyna obłędu?

— Jaka przyczyna obłędu, doktorze?...— pytał na drugi dzień doktora Brzozowskiego aptekarz, stojąc w progu apteki. — Czy w tem wszystkiem nie ukrywa się jakieś fe, jakaś Fem...? — dodał, kontent ze swego dowcipu.

— Dajże pan spokój! — przerwał mu cierpko Brzozowski. — Obłęd może nie mieć wyraźnego powodu, a zaś pan Krukowski—mówił doktór ciszej—dał słowo, że: każdego wyzwie na pojedynek, kto przy tej awanturze wymieni nazwisko panny Eufemji...

Na obliczu aptekarza odmalowało się przykre zdziwienie.

— Tak?... — rzekł. — Ależ to nie ja mówię, tylko moja żona... Powiedz, żonusiu — dodał, zwracając się do opartej o kontuar połowicy — czy nie ty mówiłaś, że Cynadrowski zastrzelił się przez pannę... pst!...

— Ale Krukowski pana wyzwie na pojedynek, nie żonę — odparł doktór.

Pani aptekarzowa podbiegła do drzwi, wołając:

— Jakto?... pan Krukowski mężyka wyzwie

na pojedynek zato, o czem wszyscy mówią? A co będzie, jak mężyk nie przyjmie pojedynku?...

— Dość... dość!... — przerwał aptekarz, zamykając drzwi. — Człowiek, który wyzywa na pojedynek, jest na wszystko zdecydowany... Strzeliłby do mnie...potłukłby mi lustra... szafy... Niech Bóg broni!...

— A cóżto, niema rządu?... A cóżto, niema policji na rozbójników?...— protestowała pani. — Weźmiemy strażnika... najmiemy ludzi do pilnowania apteki... Więc ja zato płacę podatki, ażeby nie było mi wolno ust otworzyć?... Przecie to niesłychane!...

Z trudem udało się doktorowi i aptekarzowi uspokoić wzburzoną damę i wytłumaczyć jej, że wobec tego rodzaju pogróżek najwłaściwszą odpowiedzią jest pogardliwe milczenie.

— Słowo daję — mówił aptekarz — że od tej pory w naszym domu nikt nie wymówi nazwiska ani Krukowskiego, ani podsędkówny, ani nikogo z ich rodziny. Chcą awantury, będą mieli awanturę!...

— No, no... mężyku... Już tylko nie gorączkuj się — uspokajała go pani. — Owszem, ja nawet myślę, że pan Krukowski szlachetnie postąpił, bo już za dużo w mieście tych plotek. Co za niegodziwość psuć reputację uczciwej panience...

— Wiesz?... masz rację!...— odparł po namyśle aptekarz.

Zbytecznem byłoby dodawać, że w ciągu tej sceny między Brzozowskim i małżonkami pan Faj-

kowski, prowizor, nie posiadał się z radości. Niby coś robił za kontuarem, ale uśmiechał się złośliwie i mruczał:

— A to dobrze starej!... A to jej położyli plaster na buzi!... Żeby się choć nie rozchorowała, biedaczka...

W tej chwili do apteki wbiegła pani rejentowa.

— Cicho!... cicho!... — rzekła, wznosząc palec do góry. — Opowiem wam cudowne rzeczy.

Aptekarz schwycił ją pod rękę i zaprowadził do mieszkania; aptekarzowa i doktór poszli za nimi.

— Wiecie, co się stało? — zaczęła pani rejentowa. — Dziś, z rana, o dziewiątej, prawie w tym samym czasie, kiedy... (tu westchnęła) egzenterowali tego biedaka...

— Cynadrowskiego — wtrącił aptekarz, który lubił być domyślnym.

— O kimże innym mówiłabym? — przerwała obrażona rejentowa. — Dziś tedy rano, o dziewiątej, panna Magdalena Brzeska wyznaczyła Femci schadzkę w kościele.

— No?... — spytał Brzozowski, robiąc minę, która nie oznaczała zbyt wielkiego szacunku.

— Jakto no?... — oburzyła się rejentowa. — Zaś wczoraj mówił jeden z pocztyljonów, że niedawno, kilka dni temu, Cynadrowski rzucił przez parkan jakiś list do panny Brzeskiej...

— No?... — powtórzył doktór

Pani rejentowa zarumieniła się i wybuchła gniewem.

— A, wie doktor co, że jeżeli jest pan tak domyślny przy chorych...

— Właściwie to i ja niebardzo rozumiem, o co chodzi? — wmieszał się aptekarz, który wysoko cenił Brzozowskiego za obfitość recept.

Pani rejentowa przygryzła wargi i, zstępując z wyżyn uniesienia do lodowatej pogardy, odpowiedziała spokojnie:

— Ja wam, moi państwo, tłumaczyć nie będę, tylko wyliczę fakta. Proszę uważać: panna Magdalena namawia Femcię do założenia pensji, panna Magdalena kokietuje Krukowskiego, panna Magdalena kompromituje Krukowskiego i Femcię tym... koncertem... To jeszcze nie koniec, bo: panna Magdalena wyciąga Femcię na spacery z Cynadrowskim, z którym utrzymuje korespondencję. Ale i tego jej za mało, gdyż, zrozumiawszy, że pana Ludwika nie może odciągnąć od Femci, odmawia mu swej ręki (śmiać mi się chce z tej odmowy!...), a nareszcie dziś, kiedy już zaszła katastrofa, panna Magdalena znowu zwabia Femcię do kościoła. Cóż państwo na to?...

Aptekarz skrzywił się, a nawet pani aptekarzowa zdawała się być zdziwioną. Nagle wysunął się naprzód doktór i rzekł:

— Ja pani odpowiem. Otóż, po pierwsze — tu lekko uderzył w ramię panią rejentową — ja osobiście nie lubię Brzeskiego. Powtóre — tu nastąpiło nowe uderzenie w ramię...

— Ależ, doktorze!... — zawołała rejentowa i odepchnęła rękę, wzniesioną po raz trzeci.

— Powtóre — prawił Brzozowski, wybijając takt w powietrzu — panna Magdalena Brzeska niepotrzebnie wdaje się z aktorami i urządza koncerty. Po trzecie — gdyby założyła u nas pensję, nie powierzyłbym jej moich dzieci, gdyż jest za młoda na dyrektorkę... Widzi pani, że nabożeństwa do panny Brzeskiej nie mam...

— Słusznie — wtrąciła rejentowa.

— Tak — mówił doktór. — Ale, ażeby taż sama panna Brzeska bałamuciła kogokolwiek, albo urządzała komu schadzki, w to — przepraszam — nigdy nie uwierzę...

— Ani ja — odezwał się aptekarz, z ukłonem zacierając ręce.

Pani rejentowa osłupiała, lecz, jak biegły dyplomata, natychmiast zmieniła front.

— Przecież i ja nie mówiłam, że to jest pewne, tylko... dziwiłam się zbiegowi wypadków. Panna Brzeska może być najuczciwszą dziewczyną, ale u nas... nie powodzi się jej...

— Święta prawda! — dorzuciła pani aptekarzowa.

— Ach, powodzenie!... jaka to względna rzecz powodzenie, nieprawda, panie doktorze? — odezwał się aptekarz. — Wobec losu mądry, czy głupi, uczciwy, czy nieuczciwy... Wszak prawda, panie doktorze?...

Niemniej pani rejentowa miała do pewnego stopnia słuszność: Madzia była na schadzce z panną

Eufemją w kościele, ale — została wezwana tam przez pannę Eufemję.

Spotkały się w bocznej kapliczce, ciemnej i pustej. Ledwie Madzia weszła, panna Eufemja wciągnęła ją do ławki. Była blada, zapłakana i, przytuliwszy się do Madzi, zaczęła szeptać:

— Cóż ty na to?... Wczoraj, kiedy mi powiedziano, myślałam, że oszaleję... Całą noc spać nie mogłam... Aaa!... cóż to za człowiek mściwy... Ażeby w takiej chwili...

Madzia przyszła na schadzkę poto tylko, ażeby uspokoić pannę Eufemję, więc odpowiedziała, ściskając ją za rękę:

— Ależ, nie desperuj, moja droga... Tego dnia, kiedy pan Ludwik oświadczył się o ciebie, Miętlewicz mówił mi o tamtym biedaku i, trzeba zdarzenia, najwyraźniej zapewnił, że nieszczęśliwy ani myśli o odebraniu sobie życia... Może stało się to wypadkiem.

— Tak sądzisz? — spytała panna Eufemja, nie okazując zachwytu. — Z miłości — dodała — niejeden odbiera sobie życie, ale... cóż temu winna kobieta?... Czyliż kobieta nie jest istotą myślącą i wolną... Czy musi ulegać każdemu, kto ją kocha... Czy nie może robić wyboru?... Jakiżby to był okropny świat!...

Madzia ze zdziwieniem spojrzała na pannę Eufemję, której piękna twarz miała w tej chwili prawie anielski wyraz.

— Widzisz, moja droga — mówiła panna Eufemja, spuszczając cudne oczy — widzisz... chcę się

przed tobą wyspowiadać... Ja, moja droga, ja... zawsze kochałam Ludwika... Gdy Ludwik, nie wiem dlaczego, zaczął okazywać mi obojętność, byłam w rozpaczy... Złamana, wyznaję, popełniłam błąd, słuchając namiętnych wynurzeń tego nieszczęśliwego... Któraż kobieta nie lubi wyznań?... Której nie wzruszy prawdziwa miłość i cierpienie?... Chwilowo wzruszyłam się i ja... Sądząc, że Ludwik zdradził mnie, postanowiłam poświęcić się dla tamtego... Tamten zaś, nie wiem, uważał mnie za swoją niewolnicę, czy co?...

Zasłoniła oczy chustką i po chwili mówiła dalej:

— Ach, gdybyś ty wiedziała, jaki on szlachetny, jak mnie kocha...

— Pan Ludwik? — spytała Madzia.

— Któżby inny?... Wczoraj na wieść o nieszczęściu przybiegł do nas, upadł przede mną na kolana i błagał, ażebym do tego wypadku nie przywiązywała żadnej wagi. „Wiem — mówił Ludwik — że ten nieszczęśliwy uwielbiał panią, ale... iluż ludzi uwielbia słońce, kwiaty...?“. A kiedy mama zrobiła uwagę, że mogę paść ofiarą plotek, pan Ludwik przysiągł, że na żadne plotki nie pozwoli... Prosił mnie, ażebym dzisiaj wyszła z nim w południe do miasta. „Niech ludzie wiedzą — mówił — że mojej miłości nic nie zmieni... Nic!...“

Madzia, przypominając sobie niedawno minione wypadki, zdumiewała się nad szybkością, z jaką w sercach ludzkich następują po sobie wielkie i niezmienne uczucia. Jeszcze tylko nie była pewna, ko-

mu te rzeczy przyszły łatwiej: jej przyjaciółce, pannie Eufemji, czy ich wspólnemu wielbicielowi, panu Krukowskiemu.

XVIII.

Walka z cieniem.

Pomimo tak niemiłego zdarzenia, jak samobójstwo sekretarza poczty, małżeństwo panny Eufemji z panem Krukowskim było na najlepszej drodze. Bardzo silnym, zaiste, musiał być związek ich dusz, skoro nie zachwiał się pod takim ciosem! Zdawało się nawet, że tkliwe węzły między nimi zacisnęły się jeszcze bardziej, dzięki poświęceniu panny Eufemji i energji pana Krukowskiego.

Kiedy owego fatalnego wieczora wpadł do pana Ludwika chłopiec z wiadomością, że Cynadrowski zastrzelił się, pan Ludwik odrazu zrozumiał sytuację i zaczął działać.

Przedewszystkiem, ze wszelkiemi względami, należnemi ciężko chorej osobie, zawiadomił o tem siostrę. Ale eks-paralityczka pomiędzy mnóstwem niespodzianek, składających jej repertuar, miała jeszcze — nadzwyczajny zasób odwagi.

— Tak?... — rzekła. — Zastrzelił się?... A to oryginał!

— Obawiam się, ażeby ten wypadek nie ściągnął jakich przykrości na pannę Eufemję — nieśmiało odezwał się pan Ludwik.

— Przykrości?... — zawołała chora dama. —

A ty od czego jesteś narzeczonym kobiety, dla której odbierają sobie życie?... Iluż-to mężczyzn dla mnie chciało odebrać sobie życie, iluż ich już naprawdę nie żyje— a co z tego?... Piękna kobieta jest jak ogień: igrać z nią nie wolno.

— Więc siostrunia nie ma nic przeciw temu, ażebym uspokoił pannę Eufemję?

— Ależ to twój obowiązek! Idź do niej natychmiast, tylko... przyślij mi tu służących i sam siedź niedługo... Kiedy nadchodzi noc, jestem więcej zdenerwowana.

Załatwiwszy się z siostrą, pan Ludwik pobiegł do narzeczonej i, rzeczywiście, uspokoił ją tak, że sama pani podsędkowa powiedziała mu:

— Zerobiłeś pan cud!... Lękałam się o Femcię, bo ona taka delikatna, a to taki niezwykły wypadek w naszem mieście... Ale pan wszystko zemienił...

Od podsędków pan Ludwik wpadł na chwilę do doktora Brzozowskiego (którego bardzo polubił) i oświadczył mu poufnie, że: wyzwie na pojedynek każdego, kto z powodu samobójstwa wspomni imię panny Eufemji. Doktor przyznał mu słuszność, dodając, że w podobnych razach opinja publiczna w Iksinowie powinna mieć jakiś hamulec.

Krótko mówiąc — w kilka godzin po wypadku, który mógł znowu na długo, jeżeli nie na zawsze, pogrążyć go w otchłani celibatu, pan Ludwik był pewniejszym małżeństwa, aniżeli kiedykolwiek. Narzeczona kochała go nieskończenie, on umiał jej bronić — wszystko szło jak z płatka.

Tylko — noc miał trochę niespokojną. Eks-pa-

ralityczka była tak zdenerwowana, że obłożyła się świętościami i kazała spać w swoim pokoju kucharce i dziewczynie. Zaś pan Ludwik często budził się, a gdy zasnął — trapiły go dziwaczne marzenia. Zdawało mu się, że nieboszczyk otwiera drzwi do pokoju i, stanąwszy w progu, patrzy na pana Ludwika z nienawiścią i gniewem.

Ale pan Krukowski, który okropnie lękał się swojej siostry, mniej bał się niebezpieczeństw rzeczywistych, a najmniej przywidzeń. Więc ażeby raz na zawsze zapewnić sobie sen, poszedł na drugi dzień rano do szopy, w której leżały zwłoki samobójcy.

„Najlepiej — myślał — nieprzyjacielowi spojrzeć w oczy“.

Minął rynek, przeszedł ulicę Warszawską, przeszedł ulicę Piotrkowską, ażeby go wszyscy widzieli i — skręcił na pocztę, przed którą znowu stała gromadka ludzi.

— Gdzie leży nieboszczyk? — głośno zapytał strażnika, ażeby zwrócić na siebie uwagę tłumu.

— W szopie, przy stajni—odpowiedział strażnik.

W tłumie zaczęto szeptać. Pan Krukowski wytężył słuch, myśląc, że nazwie go kto — zabójcą, albo przynajmniej — narzeczonym zabójczyni. Lecz, zamiast tego, usłyszał wyrazy:

— Doktór!... Nie, to felczer... Ale gdzieżtam, to pan cywilny...

Tłum nie obwiniał go o nic, nie wyzywał do walki, ani do obrony. Pan Ludwik doznał w tej chwili podwójnego uczucia: ulgi i zawodu.

„Chodźmy do nieboszczyka!...“ — pomyślał.

Zdawało mu się, że twarz zmarłego powinna mieć jakiś straszny wyraz: gniewu czy nienawiści. Nie zdziwiłby się też (w swoich marzeniach), gdyby nieboszczyk spojrzał na niego i — głosem niesłyszanym dla innych, zawołał:

— „Poco tu przyszedłeś, morderco?... Czy naigrawać się nad nieszczęśliwym, który musiał dla ciebie wyrzec się ukochanej kobiety?...“.

Tak marzył pan Krukowski, mijając dziedziniec, na którym gromadka kur rozgrzebywała śmiecie, jeden pocztyljon rąbał drzewo, a drugi poił konia przy studni.

Przed szopą nudził się strażnik; lecz na widok eleganckiego pana, wyprostował się i — popchnął drzwi.

Pan Krukowski znalazł się sam w szopie, na środku której, na tapczanie, leżały zwłoki, w górnej połowie przykryte derką. Pan Ludwik zbliżył się, odsłonił derkę i spojrzał na swego rywala.

Zmarły miał oczy zamknięte, sinawe usta, twarz pożółkłą, a na niej jakiś niezwykły wyraz. Ale w tym wyrazie nie było ani gniewu, ani pogardy, ani nienawiści, słowem — żadnego z uczuć, które mogły obrazić lub zaniepokoić widza.

Gdyby nowe ubranie, porzucone przez swego właściciela na gościńcu, mogło przemówić głosem czy fizjognomją, zapewne mówiłoby w ten sens:

„Jestem nowe ubranie, wcale dobre i nie wiem, dlaczego porzucił mnie mój właściciel?...

Taki wyraz zdawał się być wypisany na obliczu zwłok.

„Dlaczego o n mnie zabił?...“ — pytały.

Ale pytanie to nie odnosiło się do pana Ludwika, lecz do właściciela tego młodego i zdrowego ciała, które w gwałtowny sposób opuścił.

Pan Krukowski stał przed zwłokami zdumiony.

„Jeżeli kto popchnął go do samobójstwa — myślał — to chyba ja... Jeżeli kto go skrzywdził, to także ja... I ten człowiek nie ma do mnie pretensji, nie okazuje wstrętu?...“.

Zdjął kapelusz, przeżegnał się i, chociaż to nie odpowiadało liberalnemu duchowi czasu, zmówił: „wieczny odpoczynek“... Potem opuścił szopę i dziedziniec boczną furtką, bo wstyd mu się zrobiło ludzi, czekających przed pocztą.

„Jaki to musiał być dobry człowiek — myślał pan Krukowski, idąc ze spuszczoną głową. — Jak on ją kochał i co mógł wycierpieć przez... przeze mnie...“

Po tej smutnej wizycie, pan Ludwik parę godzin nie mógł się uspokoić. Bo on chciał walczyć w obronie honoru panny Eufemji, koniecznie chciał walczyć, a tu — główny przeciwnik nietylko nie przyjął wyzwania, lecz wcale nie zwracał uwagi na pana Krukowskiego.

Na szczęście, pozostali żywi wrogowie.

W południe pan Krukowski przyszedł do państwa podsędków, ażeby, stosownie do wczorajszego projektu, przespacerować się z panną Eufemją po mieście. Panna Eufemja była mizerna i zgnębiona. Gdy zaś pan Ludwik wspomniał o spacerze, zaczęła go prosić, ażeby to odłożyć na inny dzień.

— Poco mamy wyzywać miejskich plotka-

rzy?... — mówiła. — Szepnie kto, nie ukłoni się, a choćby spojrzy i... co wyniknie...

— Właśnie o to chodzi — odpowiedział pan Krukowski, z pięknym ukłonem i niezwykłą stanowczością.

Ponieważ i pani podsędkowa zachęcała córkę do usłuchania rady narzeczonego, więc w kilka minut pan Ludwik i panna Eufemja znaleźli się na mieście.

Przeszli rynek i ulicę Warszawską, wszędzie spotykając dużo znajomych i nieznajomych osób. Ale mimo najpilniejszej uwagi ze strony pana Ludwika, nie usłyszeli przykrego słowa, nie zobaczyli ani jednego niewłaściwego spojrzenia. Znajomi witali ich uprzejmie, a niektórzy winszowali przyszłego związku.

Pan Krukowski pragnął jeszcze iść w stronę poczty, ale panna Eufemja tak zbladła, tyle miała przerażenia w oczach, że pełen rycerskości narzeczony, nie chcąc jej drażnić, zawrócił do domu.

— Widzi pani — mówił uradowany — jak to dobrze wyjść naprzeciw plotkarzy. Nikt nie wspomniał o tym nieszczęśliwym...

— A jednak jestem pewna, że od wczoraj wszyscy o nim mówią — odpowiedziała panna Eufemja.

Pan Krukowski sposępniał. Jego elegancja, jego delikatność, jego dobre wychowanie dosięgły szczytu wobec panny podsędkówny; tylko — opuścił go dobry humor. A co gorsza, że ten dobry humor coraz rzadziej pojawiał się między narzeczonymi, chociaż spędzali razem całe dni. Nawet eks-

paralityczka zwróciła na to uwagę i raz rzekła do brata:

— Mój Ludwiku, coś ty taki zamyślony?... Nic, tylko myślisz, ciągle myślisz... To nawet niezdrowo!

W najbliższą niedzielę, podobno z podszeptu pani podsędkowej, proboszcz zapomniał ogłosić zapowiedzi pana Ludwika z panną Eufemją. Nie dlatego, broń Boże, ażeby chciano opóźniać się z weselem, lecz... ot tak sobie!... Niewiadomo skąd pani podsędkowej przyszła taka myśl, która trochę rozgniewała siostrę pana Krukowskiego, ale jego samego zelektryzowała w sposób przyjemny.

„Będą plotki...“ rzekł do siebie; ciągle bowiem pragnął stoczyć walkę o honor i spokój panny Eufemji i przekonać cały świat i każdą z jego pięciu części, że panna Eufemja nie jest winna śmierci Cynadrowskiego.

Ale plotki i tym razem nie przychodziły.

Jakoś we dwa tygodnie po fatalnym wypadku, pan Krukowski, spacerując po pokoju siostry, rzekł:

— Co to jest, że niema plotek ani na mnie, ani na Eufemję?... Przecież w Iksinowie zawsze z najbłahszego powodu bywały plotki, a teraz nic!...

— Boją się twoich pogróżek — odpowiedziała siostra — i dlatego nie gadają głośno. Wspominała mi jednak rejentowa, że major chodził do Cynadrowskiego na kilka dni przed nieszczęściem... Mówiła też, że jeżeli kto zna prawdziwą przyczynę śmierci, to chyba ten pan... jakże on?... Miętlewicz!...

Nareszcie — pan Ludwik usłyszał jakieś nazwiska... Nareszcie znalazł jakichś ludzi, z którymi mógł jeżeli nie zrobić awantury w obronie czci i spo-

koju panny Eufemji, to przynajmniej — pogadać o wypadku. Niechże mu kto postawi zarzuty, niech się z nim sprzecza, byle raz przerwało się milczenie!...

Zadowolony pan Krukowski ubrał się w swoje prześliczne, popielate spodnie, w niemniej popielate rękawiczki, w czarny tużurek i poszedł z wizytą do lekceważonego dotychczas pana Miętlewicza. A zobowiązawszy go do absolutnej dyskrecji, zapytał: czy prawda, że nieboszczyk Cynadrowski zwierzył się przed nim, że umiera z miłości dla panny Eufemji?...

— Ależ, uchowaj Boże! — zawołał Miętlewicz. — Prawda, że raz, kiedyś tam, bardzo dawno, spotkawszy się ze mną w nocy, napomknął o samobójstwie, ale o pannie Eufemji nie wspomniał. Uwielbiał ją, nie można przeczyć; ale wiadomość o zaręczynach z panem przyjął spokojnie...

I w dalszym ciągu Miętlewicz, obawiając się, ażeby pan Ludwik znowu nie zwrócił swoich afektów do Madzi, tak zaczął wychwalać wdzięki, postawę, ułożenie i grę na fortepianie panny Eufemji, że jej narzeczonemu aż słabo się zrobiło od pochwał.

Smutno pan Krukowski pożegnał Miętlewicza i — poszedł do majora. Liczył na to, że opryskliwy starzec, który nie lubił panny Eufemji, da mu jakąś przyczynę do sporów.

Zastał majora w domu, poprosił go o chwilę poufnej rozmowy, napomknął o dyskrecji...

— Mój kochany — przerwał mu major — jeżeli nie jesteś pewien, że zachowam jakąś, zapewne głupią, tajemnicę, to poco chcesz mi ją powierzać?...

Zresztą ostrzegam cię, że ja tylko to utrzymuję w sekrecie, co sam uważam za godne sekretu.

Po mnóstwie najwykwintniejszych przeprosin, pan Ludwik odezwał się:

— Prawda, panie majorze, jaki okropny wypadek z tą śmiercią nieszczęśliwego Cynadrowskiego?

— A no, cóż?... Nie żyje i basta.

— Ale taka gwałtowna śmierć...

— Czasem trafia się kilka tysięcy śmierci gwałtownych w ciągu paru godzin — cóż z tego?... Dziury w niebie niema.

— Czy... czy nie sądzi pan major, że... nieszczęśliwa miłość dla panny Eufemji mogła popchnąć Cynadrowskiego do samobójstwa?...

— Dajże spokój!... Gdyby każde niepowodzenie u kobiet miało kończyć się śmiercią wielbiciela, to ty, mój kochany, dla samego siebie musiałbyś założyć oddzielny cmentarz... Dostawałeś przecie arbuzy za arbuzami a jednak żyjesz; dlaczegóż więc tamten młody człowiek miałby być głupszym od ciebie?

Argumentacja staruszka była tak silna, że spotniały pan Krukowski szybko zakończył rozprawę i z ulgą w sercu pożegnał majora.

„A cóżto za gbur!“ — myślał pan Ludwik, podwajając kroku. Lękał się, ażeby major nie zawrócił go z drogi i nie ufetował nowym szeregiem wyjaśnień.

I otóż stała się rzecz trudna do wiary, a jednak prawdziwa: Cynadrowski zabity, pokrajany i pogrzebany—nieboszczyk, o którym jedni zapomnieli, a inni starali się zapomnieć, nieboszczyk ten —

żył!... Żył jakiemś życiem niewidzialnem, nieujętem i niepojętem i —zatruwał spokój dwom najszanowniejszym domom w Iksinowie.

To dziwne życie zmarłego nie występowało w jednolitej formie. Istniał on, jak rozbite zwierciadło, którego cząstki kryją się w rozmaitych kątach, lecz od czasu do czasu przypominają się nagłem błyśnięciem.

Wszystkie te pojedyńcze błyśnięcia powoli sumowały się w umyśle pana Krukowskego, utworzyły jeden obraz silny i zmusiły do uwierzenia, że bądź co bądź nieboszczyk — jest i to jest — pomiędzy nim, panem Ludwikiem, a jego narzeczoną, panną Eufemją.

Pewnego dnia, naprzykład, eks - paralityczka, bez żadnych nerwowych wybuchów (musiała być naprawdę przestraszoną) rzekła do pana Krukowskiego:

— Mój kochany, nie chciałabym cię niepokoić... ale każdej nocy chodzi coś po naszym ogrodzie...

— Może stróż?

— Ale, gdzież tam. Pytałam się...

— Więc złodziej?

— Złodziej ukradłby coś jednej nocy, ale nie wałęsałby się każdej — odparła chora dama.

Pan Krukowski cicho westchnął i spuścił oczy.

— Widzisz, mój drogi — mówiła tajemniczo siostra — ty nie wierzysz w upiory... A jednak ludzie prości, którzy często muszą czuwać po nocach, twierdzą, że spotykali upiorów... Mówią, że najczę-

ściej upiorem zostaje samobójca... Odwiedza on tych, którzy go skrzywdzili, i jednym przeszkadza spać, a z innych... krew wysysa...

Odetchnęła i, kręcąc głową, kończyła:

— Osoby, wysysane przez upiorów, są smutne, blade, tracą siły... Niekiedy mają na ciele niewielkie plamki, pochodzące od ukąszenia...

— Ach, te brednie!... — przerwał niecierpliwie pan Ludwik, tak niecierpliwie, że to podobało się jego siostrze.

— Nie brednie!... — szeptała słodkim, nieledwie pokornym głosem. — Nie brednie!... Onegdajszej nocy sama widziałam w oknie jakąś straszną postać w bieli... Był to mężczyzna z dziką twarzą, oczyma jak węgle i z czarnemi pokudłanemi włosami...

— No, no... uspokój się, bo tamten był blondyn — odparł prawie niegrzecznie pan Ludwik.

— Kilka razy widziałam i blondyna...

Ale pan Ludwik wyszedł z pokoju i... trzasnął drzwiami!... Co tak zachwyciło jego siostrę, że zaprosiła go na wyborną czekoladę i nawet — starała się przypodobać, usługując mu, odgadując jego myśli.

XIX.

Cień zwycięża.

Ta rozmowa z siostrą była dla pana Krukowskiego punktem zwrotnym w jego życiu i w stosun-

kach. Zaczął uważniej przypatrywać się rodzinie państwa podsędków i przypominać sobie różne szczegóły.

Raz naprzykład słyszał, jak pani podsędkowa zrobiła awanturę w kuchni z tego powodu, że służące nie chciały jej powiedzieć, o czem pocichu rozmawiają między sobą?

„Co jej do tego?“ — pomyślał pan Ludwik — i niewiadomo z jakiej racji — stanął przed nim jak żywy Cynadrowski, z twarzą żółtą, ale spokojną i pozbawioną wyrazu jakiejkolwiek niechęci...

Innym razem pani podsędkowa (w obecności pana Ludwika) rozdrażnionym tonem odezwała się do męża:

— Mój derogi, dlaczego ty ciągle siedzisz w domu? Dawniej chodziłeś po całych dniach, a dziś!...

— Do kogóż pójdę?...—odparł cicho podsędek.

Krótka i łagodna odpowiedź tak wzburzyła panią podsędkową, że szanowna dama, wybiegłszy do drugiego pokoju, wybuchnęła płaczem.

Jeszcze innego dnia pani podsędkowa zaczęła bez powodu narzekać przed przyszłym zięciem na Iksinów:

— Cóż to za niezenośne miasto!... Jacy poziomi ludzie!...

— Czy zrobił pani kto przykrość?... — zawołał, zrywając się, pan Ludwik, ciągle gotów do walki o cześć i spokój narzeczonej.

— Ach, nie!... — odparła wyniośle podsędkowa.—Któżby mnie śemiał obrazić?... Ale tu jest takie liche towarzystwo... Rejentowa nie może żyć bez pelotek i nawet wówczas, gdy milczy, jeszcze

robi pelotki... A ta aptekarzowa, cóż to za obłudnica!... Kiedy całuje mnie, mam uczucie, jakbym dotknęła węża...

Pan Krukowski przyznał w duchu, że nie poradzi ani na obłudy aptekarzowej, ani na milczące plotki rejentowej.

— Powinnibyście, moi państwo—mówiła znowu pani podsędkowa—a nawet musicie, poberawszy się, wyjechać gdzieś na miodowy miesiąc... do Paryża, do Neapolu, czy do Ojcowa... Wam koniecznie potrzeba świeżego powietrza... Wszak potrzeba wyjrzeć na szerszy śewiat... Femcia tak mizernieje... no — powodem tego jest gorące uczucie... Ale zawsze wypada gdzieś wyjechać, choćby na krótko, na miesiąc, dwa...

Panu Ludwikowi, gdy słuchał tych rad, zrobiło się zimno. Naprzód wiedział, że siostra nie pozwoli mu wyjechać, a potem — zrozumiał, że pani podsędkowa, mówiąc o miodowym miesiącu, delikatnie przypomina mu o ślubie, który odwlókł się.

Istotnie,w tę niedzielę mogła już wyjść trzecia zapowiedź... Przecie już upływa trzecia niedziela od śmierci Cynadrowskiego...

„Znowu ten Cynadrowski!...“ — pomyślał pan Ludwik i, wykwintnie pożegnawszy piękną narzeczoną, tudzież jej szanownych rodziców, udał się—do proboszcza.

Chciał go prosić o ogłoszenie zapowiedzi w nadchodzącą niedzielę.

Ale staruszek okrutnie zaczął trząść ręką około ucha.

— Co wam tak pilno?... — rzekł. — Czekaliście parę tygodni, możecie jeszcze poczekać z tydzień, ze dwa... Zresztą, jeżeli koniecznie chcesz...

— Ja zastosuję się do woli księdza proboszcza — szybko odpowiedział pan Ludwik — ale moja narzeczona... jej rodzice...

— Już ja im to wytłumaczę — odparł proboszcz. — Któż się żeni w lecie?... W jesieni rozumiem... po żniwach...

Pan Ludwik wyszedł od proboszcza zgnębiony. Dlaczego ksiądz radzi mu nie śpieszyć się ze ślubem?... Przecie to prawie obelga, a co najmniej insynuacja... Chciał natychmiast wrócić się i zapytać: co to znaczy?... Ale—nie rozumiał dlaczego—zabrakło mu odwagi.

Od tej chwili zdawało mu się, że stoi przed zasłoną, poza którą kryje się jakaś tajemnica. Gdyby ruszył palcem, upadłaby zasłona. Ale pan Krukowski przy wszystkich swoich śmiesznościach był tak delikatny, że nie śmiał usuwać tej zasłony.

Raz panna Eufemja była z dłuższą wizytą u siostry pana Ludwika. Siedzieli w altanie. Czas schodził im dość przyjemnie, panna bowiem czytała książkę, a ładnie czytała. Wtem wiatr wionął, i troskliwa o zdrowie eks- paralityczki panna Eufemja poszła do jej pokoju po szalik.

— Ludwiku — rzekła prędko chora dama — czy uważasz, że Femcia jest codzień bledsza?...

— Musi być niezdrowa.

— A... czy ty widzisz znamię na jej szyi... czerwone znamię?... — mówiła eks-paralityczka, z trwogą patrząc na brata.

Pan Ludwik zatrząsł się. Lecz gdy panna Eufemja wróciła do altanki z szalikiem, ostentacyjnie pocałował ją w rękę.

Chora dama spuściła głowę. Z głęboką radością uczuła, że jej brat zaczyna okazywać swoją wolę, lecz przykro jej było, że robi to w tym wypadku.

Nareszcie w połowie następnego tygodnia pan Krukowski postanowił rozciąć węzeł. Poszedł do proboszcza i poprosił o ogłoszenie zapowiedzi. A gdy staruszek znowu zatrząsł rękoma, pan Ludwik spytał poważnie:

— Co to znaczy, księże proboszczu? Dlaczego pan każe mi odkładać wesele?...

— Kazać nie każę — odparł ksiądz. — Tylko myślę, że może nie wypada tak znowu śpieszyć się, choćby ze względu na... narzeczoną... Zawsze to przykro musi być dziewczynie, że ktoś dla niej palnął sobie...

— A cóż to w rezultacie obchodzi pannę Eufemję?.... — zdziwił się pan Ludwik. — Zapewne, niemiła rzecz narazie, ale dziś ona sama...

Proboszcz zaczął się krzywić i wytrząsać rękoma.

— No — przerwał — zawsze choć trochę musiała lubić nieboszczyka. Nie tak mocno jak ciebie, ale zawsze... Przecież widywała się z nim, pisywała listy, nawet była mowa o pierścionkach...

Pan Ludwik zrobił się szary na twarzy i zaczesał bujne faworyty.

— Skądże proboszcz wie o tem?

— Całe miasto wie — odparł ksiądz. — Wresz-

cie nie wspominałbym o tych rzeczach, gdyby nie podsędek, który, czując pewne skrupuły, prosił mnie, ażeby ci o tem nadmienić... Naturalnie — dodał żywo proboszcz — wiem, że jesteś człowiek szlachetny i nie skompromitujesz panny, która jest do ciebie przywiązana...

— Ależ rozumie się!... — odpowiedział pan Krukowski, żegnając proboszcza.

Był jednak zirytowany i wybiegł na miasto.

„Dowiaduję się nowych rzeczy — myślał — o których notabene mówi całe miasto... Ale podsędek uczciwy człowiek, tak... on miał skrupuły... Pani podsędkowa nie miała ich, ani panna... No, wreszcie!... Ona chodziła na spacer z tamtym, ja z Madzią... Ona pisywała listy, ja posyłałem bukiety... ona tam... coś... z pierścionkami, a ja oświadczyłem się o Madzię... Zaniedbywałem ją, tamten szalał, więc nie dziw, że serce przemówiło... Zresztą—sam się ukarał... Trzeba odłożyć wesele, niech biedaczka uspokoi się zupełnie“...

Pan Ludwik tak czuł swoją wyższość nad Cynadrowskim, że nawet nie był o niego zazdrosny. Tem bardziej, iż zgodnie z wymaganiami przyzwoitości — panna przeniosła Krukowskiego nad Cynadrowskiego, a Cynadrowski dobrowolnie ustąpił Krukowskiemu, rozumiejąc, że kto miał zaszczyt uwielbiać przyszłą panią Krukowską żyć nie powinien.

„Bardzo... bardzo rozsądny chłopiec“... Miał nawet to, co nazywa się delikatnością uczuć“... — myślał pan Ludwik.

Ale pomimo optymistycznych poglądów na sto-

sunek swój do panny Eufemji, a panny Eufemji do pana Cynadrowskiego, czuł jakiś brak i chciał się o czemś dowiedzieć. Ale o czem?... sam nie rozumiał.

Więc, zapomniawszy o niechęci, poszedł jeszcze raz do majora; kombinując bowiem rozmaite półsłówka, które go dolatywały, domyślał się, że major więcej musi wiedzieć, niż inni.

Starzec wychodził na szachy, więc rozmówili się w ganku.

— Panie majorze — zaczął odrazu pan Ludwik. — Nie chcę wypytywać o to, czego mi pan sam nie powiedział, ale... Niech mi pan szczerze objaśni, jakie wrażenie sprawił na panu Cynadrowski?

— Ja prawie go nie znałem.

— Lecz... o ile go pan znał...

Major wydął usta.

— To był honorowy chłopak. Głupi, ale bardzo uczciwy... bardzo. Może nawet za bardzo...

Pożegnali się — pan Krukowski odetchnął zadowolony. Opinja majora o zmarłym pochlebiła jemu samemu.

„Mała figura — myślał — jakiś tam urzędniczek i do tego Cynadrowski... Kto znowu tak się nazywa!... Ale przynajmniej nie żadna mętna osobistość... Panna Eufemja, nawet gniewając się na mnie, miała dobry smak“.

Na rynku pan Ludwik niechcący zetknął się z Miętlewiczem. Przywitał go bardzo wykwintnie i, po wymianie kilku zdań obojętnych, spytał:

— Proszę pana, kto to właściwie był ten pan Cynadrowski?

— Przecież pan wie: sekretarz poczty, brał 20 rubli miesięcznie.

— Ale charakter, panie, charakter?...

— O, charakter miał gwałtowny, co wreszcie mogło pochodzić z niedość starannego wychowania — odpowiedział Miętlewicz, poprawiając kołnierzyk w sposób, który oznaczał, że on sam jest starannie wychowany.

— Ale... czy to był dobry człowiek?...— nalegał pan Krukowski.

Miętlewicz spojrzał na niego z podziwem.

— Pan się o to pyta?... Ależ to chodząca uczciwość, szlachetność... Gdy raz został czyim przyjacielem, dałby się porąbać...

Zapał, z jakim Miętlewicz unosił się nad zmarłym, był tak szczery, że pan Krukowski doznał dziwnego wzruszenia.

„Tak — myślał — to widocznie był dobry człowiek... Nie omyliłem się... On musiał być nawet bardzo dobry... I kto wie, czy nie szkoda chłopca?... Miłość i ambicja!... Szlachecka krew... Szkoda chłopca“...

Był kontent. Bo jakkolwiek rozumiał, że panna Eufemja pogwałciła światowe konwenanse, kochając jakiegoś tam urzędniczka, to jednak nawet tym czynem zdradziła dobry smak i wzniosłość uczuć.

„Trzeba mieć bardzo szlachetną duszę, ażeby odczuć inną szlachetną duszę, pomimo tylu prze-

szkód, zbudowanych przez konwenanse" — myślał pan Ludwik.

Był więc kontent, o! bardzo był kontent. Miał bowiem prawo i nawet miał zamiar powiedzieć narzeczonej:

„Pani, nie nalegam o przyśpieszenie wesela (wbrew upomnieniom doktora Brzozowskiego... Nie, tego nie może jej powiedzieć!). Nie nalegam, pani, bo szanuję twój smutek... Oznaczysz zatem dzień ślubu, gdy zechcesz, a już ja sam uspokoję twoich rodziców, moją siostrę i nawet doktora... (Nie, tego nie można jej powiedzieć!)"...

Był kontent i dumny. Dumny nietylko z narzeczonej, ale nawet ze swego rywala.

— Tak — mówił, zacierając ręce. — To nie był jakiś tam tuzinkowy urzędniczek... To raczej był zaklęty królewicz... No — i ustąpił wobec mnie... Taki ustąpił!...

W jego oczach Cynadrowski z pocztowego sekretarza wyrósł bodaj czy nie na jeneralnego pocztmistrza Wielkiej Brytanji, którym przecie może być lord angielski.

Tego wieczora pan Krukowski z domu swej siostry odprowadzał pannę Eufemję do rodziców. Noc była piękna, księżyc świecił w pełni; niezbyt czyste domy Iksinowa zamieniły się w blasku tych promieni na egzotyczne wille, wieże kościoła urosły.

Pan Ludwik był rozmarzony i czule ściskał przecudną rączkę panny Eufemji, która, pomimo tego, nie miała humoru. Nawet kilka razy perłowemi ząbkami szarpnęła batystową chusteczkę, co może nie zgadzało się z etykietą, lecz było pełne wdzięku.

— Zdaje się, że moja pani jest nieco zdenerwowana? — odezwał się melodyjnym głosem pan Krukowski.

— Poprostu — jestem zła....

— Domyślam się, że na mnie?...

— Ma pan słuszność.

— Czy wolno odgadnąć powód?...

— Ciekawam?...

— Posądzasz mnie — szepnął — że nie umiem uszanować twego żalu...

— Żalu?... — spytała, zatrzymując się. — O co?... do kogo?...

— Właściwie: po kim?...

W tej chwili wbrew sztuce życia, rozsądkowi, a nawet własnej woli, panna Eufemja straciła panowanie nad sobą. Zbladła, oczy jej rozszerzyły się i, usunąwszy rękę z tkliwego uścisku pana Ludwika, zapytała stłumionym głosem:

— Po kimś żal?... Może myślisz, że po tamtym człowieku?...

— Sądziłem...

Panna Eufemja zaśmiała się, szarpiąc w rękach chusteczkę.

— Ja?... — mówiła — ja mogłabym żałować człowieka, który naraził mnie na plotki, na podejrzenia?... I za co!... Żem się zlitowała.., żem się zniżyła do znajomości z nim... Czy ja wiem zresztą?... żem się nim bawiła...

Panna Eufemja, mówiąc to, chciała usprawiedliwić się przed narzeczonym, z pogłosek, które mogły dojść do niego.

— Bawiłaś się?...—powtórzył pan Krukowski nieokreślonym tonem.

— Zdradzałeś mnie dla Madzi — mówiła już żartobliwie panna Eufemja — więc miałam prawo odwetu... Ale zaręczam, cokolwiek powiedzieliby ludzie, że był to sposób najniewinniejszy... Przysięgam ci, Ludwiku!...

Weszli na ganek domu, w gęsty cień, rzucany przez winograd. Panna Eufemja oparła rączki na ramionach narzeczonego i — delikatnie dotknęła ustami jego czoła.

— Przysięgam ci — rzekła, że jesteś pierwszym mężczyzną, którego... to spotyka...

— Ba-wi-łaś się?... — powtórzył pan Ludwik.

— Naturalnie... Czy przypuszczałeś co innego?... A... wiesz, że powinnam się obrazić!...

Pan Ludwik delikatnie odsunął się od niej. Gdy mu na twarz padł blask księżyca, pannie Eufemji zdawało się, że stoi przed nią jakiś obcy mężczyzna.

— Bawiłaś się — szeptał — i to tak niewinnie, że...

— Że co?... Widzę, że doleciała cię jakaś nikczemna potwarz... — przerwała mu wylękniona.

— Gardzę plotkami! — odparł. — Tu przecie nie o potwarz chodzi, ale o... śmierć człowieka...

— Ach!... — krzyknęła panna Eufemja, rzucając się na ławkę w ganku.

Po chwili na jej krzyk wybiegła podsędkowa w białym szlafroczku z trenem, a za nią podsędek.

— Femciu... co to zenaczy?... — zapytała matka. — Sepodziewałam się, kochany Ludwiku...

Ale kochanego Ludwika już nie było przy ganku. Umknął szybko, wybierając miejsca, na które padały cienie domów.

Gdy przybiegł do swego mieszkania i wszedł do pokoju siostry, chora dama, nawet nie podnoszac do oczu binokli, zawołała niespokojnie:

— A tobie co?...

Taki miał dziki wyraz twarzy, tak nieporządnie wyglądało jego odzienie.

Napił się wody, usiadł obok siostry i rzekł niskim głosem:

— Siostruniu... musisz mi dać pieniędzy... Wyjeżdżam jutro rano...

— Dokąd?... poco?... A ja?..,

— Dokąd?... Gdzie każesz, a ty przyjedź za mną... Wyniesiemy się stąd...

— A Femcia?...

— Nie chcę Femci!... Nie chcę jej znać... nawet słyszeć o niej nie chcę... Przecież ta kobieta nietylko ma odwagę mówić, że — bawiła się, słyszysz: ba-wi-ła się tym nieszczęśliwym urzędniczkiem, ale nawet nie rozumie tego, co powiedziała!...

Eks-paralityczka strzeliła z palców jak grenadjer.

— A wiesz co — rzekła — doskonale robisz, że się z nią nie żenisz! Ja już od tygodnia opłakuję to małżeństwo... To nie dla ciebie kobieta... To...

— Chwała Bogu!... — cierpko przerwał pan Ludwik. — Dlaczegóż siostrunia wcześniej mi tego nie powiedziała?...

— Bałam się, kochanie... bałam się ciebie...

Ty od pewnego czasu jesteś okropny!... Wszystkich wyzywasz na pojedynek... nie pozwalasz mówić... trzaskasz drzwiami...

Rozmawiali do świtu, ściskając się i popłakując. O czwartej rano pan Ludwik posłał chłopca po ekstrapocztę, a o piątej wyjechał, czule żegnany przez siostrę, która miała ruchy tak swobodne, jakby paraliż nie był jej znanym nawet z imienia.

W dziejach Iksinowa dzień wyjazdu pana Ludwika stanowił koronę całego pasma wielkich wypadków.

Trzeba przyznać, że inteligencja iksinowska zrozumiała położenie. Małomiasteczkowe plotki ucichły, ludzie spoważnieli. Pani rejentowa, pani pomocnikowa, a nadewszystko pani podsędkowa wcale nie wychodziły tego dnia z domów. Niezrównany takt kobiecy podszepnął im, że — w chwili tak poważnej — kobiety cofnąć się powinny na drugi plan, a zostawić wolne pole działalności mężów.

I mężowie działali. Naprzód — każdy z nich pojedynczo udawał się na pocztę, ażeby sprawdzić: czy pan Krukowski rzeczywiście wyjechał ekstrą, a do tego o piątej z rana? Sprawdziwszy zaś sam fakt, obejrzawszy bryczkę, która uniosła pana Ludwika, i pocztyljona, który go odwiózł — każdy z panów zawracał do apteki.

To miejsce wydało im się najwłaściwszem do wszechstronnego zbadania kwestji:

Czy pan Krukowski wyjechał za jakimś nagłym interesem (może w sprawie pieniężnej?), czyli też wyjechał bez interesu. A w tym ostatnim

wypadku: zerwał, czy nie zerwał z narzeczoną i— dla jakich uczyniłby to powodów?

Ze sześciu panów zebrało się w aptece, lecz wszyscy zachowywali milczenie, godne rzymskich senatorów. Wkońcu milczenie stało się tak przygniatającem, że sam gospodarz uczuł się zniewolonym do wypowiedzenia kilku słów.

— Proszę panów — rzekł — jedno dla mnie jest niewątpliwe...

— Że Krukowski wyjechał — wtrącił rejent.

— To swoją drogą, ale... że Iksinów staje się wielkiem miastem. Proszę panów o chwilę uwagi: skandal na koncercie, zerwanie pana Krukowskiego z panną Brzeską, oświadczenie się pana Krukowskiego naszej najsympatyczniejszej pannie Eufemji, samobójstwo Cynadrowskiego i... dzisiejszy wyjazd.

Aptekarz odetchnął.

— Proszę panów, to już nie Iksinów — mówił dalej — to bezmała Warszawa. Bo tylko w Warszawie codzień jest jakiś koncert, codzień ktoś się zabija...

— Codzień ktoś wyjeżdża... — wtrącił z namaszczeniem rejent.

Aptekarz stropił się. Szczęściem ukazała się pani, zapraszając gości na przekąskę.

Do jakich wniosków doszli zgromadzeni w czasie przekąski — o tem nie dowiedział się nawet pan prowizor. Domyślał się tylko, że musiano ubolewać nad położeniem szanownej rodziny państwa podsędków. Wszyscy bowiem zebrani byli

ich przyjaciółmi i, opuszczając prywatne mieszkanie aptekarza, mieli niewyraźne miny, jak ludzie, którzy nie znaleźli powodu do uciechy, a nie chcą okazać smutku.

XX.

Dnie pomyślne.

Dziwnym zbiegiem wydarzeń, w tym czasie, kiedy dla państwa podsędków zaczęły się utrapienia, na dom doktora Brzeskiego, a na Madzię w szczególności, spadło parę przyjemnych niespodzianek.

Pan Efoski, w którego rękach znajdowały się pieniądze Madzi, na pierwsze żądanie doktorowej przywiózł jej trzysta rubli. Taką sumę pani Brzeska była winna siostrze pana Krukowskiego; a ponieważ, skutkiem obojętności Madzi dla pana Ludwika, stosunki między dwiema rodzinami zerwały się, więc doktorowa natychmiast odniosła pieniądze chorej damie.

Eks-paralityczka przyjęła panią Brzeską życzliwie, choć etykietalnie i — trzysta rubli odebrała. Lecz na drugi dzień osobiście złożyła wizytę doktorowi Brzeskiemu, gorąco podziękowała mu za dotychczasową opiekę nad jej zdrowiem i zakończyła:

— Ociągałam się z uregulowaniem naszych rachunków...

— Jakich?... — zapytał doktór.

— No, przecież od roku nic pan ode mnie nie otrzymywał za wizyty... Że zaś zapewne opuścimy z Ludwikiem Iksinów, więc niech pan będzie łaskaw, przyjmie... Bardzo... ale to bardzo proszę...

Nie było rady. Brzeski wziął pieniądze i przekonał się, że są to te same trzysta rubli, które wczoraj jego żona doręczyła chorej damie.

Zadowolony, ale i trochę zmieszany doktór wezwał żonę i córkę do gabinetu i wypowiedział mowę następnej treści:

— Mateczko! Wiem, że Madzia ze swych pieniędzy spłaciła nasz dług... No, nie udawajcie zdziwionych: mówię o trzystu rublach... A ponieważ te same pieniądze siostra pana Ludwika ofiarowała mi za wizyty, więc... masz, Madziu, napowrót twoje trzysta rubli...

Niepodobna ściśle oznaczyć, jak wiele upłynęło czasu: kwadrans, czy pół godziny, zanim Madzia wzięła z rąk ojca tyle razy wymienioną kwotę i — oddała ją do przechowania matce. Narazie w żaden sposób nie mogło pomieścić się w jej głowie, że — ona jest naprawdę właścicielką tak wielkiej sumy, a już wprost doznawała zawrotu, myśląc: co zrobi z takiem mnóstwem pieniędzy?... Trzysta rubli!... co to za kapitał dla osoby, która nieraz przez cały tydzień nie wydała na siebie złotówki.

W ciągu kilku dni przyszło upamiętanie i rozwaga, dzięki czemu Madzia postanowiła — uklęknąć przed matką i błagać ją, ażeby: wzięła z owych trzystu rubli tyle, ile potrzeba na edukację Zosi. Z pozostałej sumy, ażeby — w największym

sekrecie przed ojcem wytrąciła sobie za śniadania, kolacje i obiady.

„Niech mameczka liczy się ze mną jak z obcą... Niech mama tyle mi porachuje, ile musiałaby wziąć od obcej panienki za jej stół... Tylko niech mama nie obraża się na mnie, bo“... — tak sobie myślała Madzia, oczekując chwili, w której matka będzie miała najwięcej czasu i najlepszy humor.

Lecz właśnie tego wieczora, kiedy, widząc matkę w ogrodzie, chciała wyjść i powiedzieć:

„Proszę mamy, ja mam wielką... wielką prośbę!... Ale to bardzo wielką“...

Prawie w tej chwili wszedł listonosz i wręczył Madzi urzędowy papier.

Zdumiona, odpieczętowała go i znalazła — pozwolenie na otwarcie prywatnej szkoły żeńskiej dwuklasowej, tudzież klasy wstępnej!...

Radość uderzyła jej do głowy. Tańczyła po pokoju, całowała urzędowy papier, potem wbiegła do kuchni, ażeby uściskać matkę. Lecz ponieważ matka rozmawiała z chłopem, który dzierżawił jej pole, więc Madzia wybiegła do ogrodu i — zaczęła ściskać i pieścić swój ulubiony kasztan. Zdawało się jej, że już ma zapewnione szczęście, którego nic zachwiać nie może. Ma pozwolenie na szkołę i ma pieniądze, więc jakaż jeszcze może istnieć przeszkoda?... Chyba, żeby ona umarła, lub ażeby Iksinów zapadł się pod ziemię.

Ale ona nie umrze, bo przecież ją Bóg przysłał do Iksinowa, ażeby tu założyła szkołę. Czyliż Matka Boska sama nie dała jej znaku wówczas, w kościele, że rozumie jej troskę i wysłucha mo-

dlitwy? Czy owi chłopcy, którzy tak dokazywali podczas procesji, nie stanowią wskazówki z nieba zesłanej, że ona powinna zająć się wychowaniem iksinowskich dzieci?

„Przecież tu jest kilkaset dzieci — myślała — a zatem, choćby pięćdziesięcioro z nich może chodzić do szkoły. A niech tylko od trzydziestu wezmę po rublu na miesiąc, to już mam utrzymanie i jeszcze mogę pomóc rodzinie, gdyż będę stołowała się u mamy“...

Nareszcie udało jej się złapać oboje rodziców w pokoju ojca.

— Mamo!... tatku!... — zawołała. — Mam pozwolenie na pensję...

I, skacząc, w obu rękach podniosła nad głową cenny papier.

Ale matka obojętnie ruszyła ramionami, a ojciec, zaledwie spojrzawszy na arkusz, uśmiechnął się i odparł:

— No, w takim razie, moja pani przełożona, zajmij się przedewszystkiem edukacją... naszej Madzi i naucz ją powagi...

Madzię jakby zimny wiatr owionął.

— Tatko śmieje się?...

— Nie, dziecko. Tylko—cóż ty zrobisz z tym papierem?

— Zaraz otworzę wstępną klasę... Mam przecież pieniądze... Wezmę pokój w starej oberży... stolarz zrobi mi ławki i tablicę...

— I przy tej tablicy będziesz wykładała lekcje ławkom — wtrącił ojciec. — Masz uczniów?...

— Ach, znajdą się, tatku!...—Ja tu już rozma-

wiałam z kilkoma osobami... Mogę mieć bardzo wiele uczennic...

— W takim razie odstąp kilka z nich tutejszemu nauczycielowi, bo nieborak straszną biedę cierpi — odparł ojciec.

— A, Boże!...—zawołała rozżalona Madzia.— Więc mnie państwo tak zachęcacie?... Tatko żartuje, a mama nic nie mówi...

— Bo już wiem od wczoraj, że masz pozwolenie — odpowiedziała matka, machając ręką. — Zosia pisała mi, że przełożona robi jej wymówki na rachunek tej twojej pensji. Skarży się, że ją zrujnujesz...

Madzia stanęła na środku pokoju, załamując ręce.

„Co to znaczy?... — myślała. — Zawsze i wszyscy mówili mi, że powinnam pracować na siebie; a dziś, gdy chcę pracować, co się stało?... Ojciec żartuje ze mnie, mama jest obojętna, a przełożona Zosi narzeka, że ją zrujnuję?... Ja ją zrujnuję... ja kogokolwiek miałabym zrujnować!... Boże miłosierny, cóż się tu dzieje“...

I w jednej chwili z bezbrzeżnej radości wpadła w bezdenną rozpacz. Ogarnęło ją zdziwienie, że jest tak niezrozumiana, strach wobec przyszłości, a nadewszystko żal. Żal nadziei, któremi karmiła się od tak dawna, a które, ledwie zaczęły się spełniać, już upadają w nicość...

Ojciec zbliżył się do niej i, pogłaskawszy pod brodę, zapytał wesoło:

— Cóż znaczy ta minka?... Wyglądasz, jakbyś spadła z księżyca.

— Bo co ja teraz poczne, tatku?... — wyszeptała Madzia.

— O, moje biedactwo! — odparł ojciec, tuląc ją w objęciach. — Co ona pocznie!... A cóżto: nie masz ojca, matki?...

— Ależ, tatku — wybuchnęła Madzia. — Czy ja mogę żyć bez celu i pracy?... Jeść wasz chleb, którego każdy kawałek dławi mnie, jakgdyby był kradziony?... Przecież ja wiem, że wam samym ciężko, i jeżeli nie mogę dziś pomagać, to przynajmniej nie chcę was zubożać...

Uklękła przed rodzicami i, wyciągając ręce, zawołała z płaczem:

— Przysięgam, że od wakacyj nie będę jadać u was darmo... Nie mogę, no — nie mogę!... Tatuchnu, ty mnie zrozumiej!... — mówiła, zwracając się do ojca. — Ty mi poradź... bo ja wam tu umrę... bo ja nie mogę karmić się waszą pracą i niedostatkiem...

Matka zerwała się z krzesła, ojciec schwycił Madzię w objęcia i, okrywając pocałunkami, posadził ją na kanapie.

—Ach, ta egzaltacja... ta egzaltacja!... — mówił. — Co ty wyrabiasz, dziewczyno?... Jak mogłaś ojcu rzucić taki frazes niedorzeczny?...— Ona jadać u nas nie będzie darmo... słyszał kto?... Ona umrze... A ty głupiutka... a ty niepoczciwa!... Każę ci skrócić sukienkę i zaprowadzić do naszej bakalarni... Ty sama jeszcze powinnaś być na pensji, a nie zakładać pensję, dzieciaku!...

— Nie mogę próżnować... nie mogę was ob-

jadać... No — nie mogę!... — powtórzyła Madzia, płacząc.

Ojciec wciąż tulił ją w objęciach, a gdy zaczęła się uspokajać, mrugnął na matkę. Doktorowa, z wypiekami na twarzy, opuściła gabinet.

— Madziu, pogadajmy rozsądnie — rzekł doktór, gdy wyszła matka. — Jesteś najlepszem dzieckiem, szlachetną kobietą, ale...

Tu uderzył się rękoma w kolana i dodał:

— Powiedz mi: czego ty chcesz właściwie?...

— Nie chcę żyć darmo, na wasz koszt... Bo wy sami nie macie... — odparła Madzia, kładąc głowę na ramieniu ojca.

— Prześlicznie!... Ale... jakże ty chcesz pracować?...

— Mam przecież pozwolenie na pensję...

— Wybornie!... A uczennice masz?...

— Będę miała.

— A jeżeli nie będziesz ich miała? Albo jeżeli koszta utrzymania pensji będą większe niż twoje zarobki, co wtedy?...

— Kiedy tatko ciągle mnie wyśmiewa, albo zniechęca — odpowiedziała Madzia już weselszym głosem.

— Nie, dziecino, ja cię nie zniechęcam... Ja może mylę się, ale dopóty nie będę podzielał twojej radości, dopóki nie zobaczę pomyślnego skutku. Widzisz, im kto mniej cieszy się ze swych zamiarów a więcej przewiduje zawad, tem mniej będzie miał smutku, gdy mu się zamiar nie uda. Rozumiesz?...

— Ale dlaczego nie ma mi się udać?... Dlaczego?...

— Ja nie twierdzę, że ci się nie uda. Tylko, ponieważ stawiasz sobie cel poważny, więc ostrzegam, że zgóry musisz sobie powiedzieć: albo się uda, albo się nie uda i — co robić dalej, jeżeli się nie uda?...

— Kiedy tatku... Ja tatce coś powiem... Ja... mam przeczucie, że wszystko pójdzie dobrze!...

Doktór uśmiechnął się.

— Twoja matka ma dwa razy na rok przeczucia, że wygra główny los na loterji. I co powiesz: od dziesięciu lat wróciło się jej zaledwie kilka stawek.

— Tatko mnie ciągle zniechęca! — zawołała Madzia, tupiąc.

— Ależ nie! Ja cię tylko proszę o jedno: zanim przystąpisz do otworzenia swojej pensji, pomyśl: co zrobisz, jeżeli pensja nie pójdzie, a ty stracisz pieniądze?... A jak wymyślisz plan, powiedz mi o nim. Dobrze?

— O, dobrze!... Jeżeli tatko chce, będę przez całą noc myślała, że nie uda mi się nic w życiu!... Dobrze, jeżeli tatko chce!...

— Ach, baba jesteś... Co wam rozprawiać o emancypacji, kiedy wy, baby, rozsądnie myśleć nie umiecie? Ja ci mówię: zrób jakiś plan na wypadek niepowodzenia...

— Mam plan!... — zawołała Madzia. — Zaraz napiszę do Warszawy, ażeby wystarali mi się o miejsce nauczycielki od wakacyj. Nie będę miała pensji — wyjadę do Warszawy...

— Warjatka jesteś...

— Wyjadę, tateczku... Ja nie mogę jeść darmo waszego chleba... Ja chcę sama się utrzymywać...

Przysięgłam tu w tym pokoju i nie cofnę słowa... Gniewa się tatuś?... — dodała z przymileniem, patrząc mu w oczy.

Doktór zastanowił się. Nie dlatego, ażeby argumentacja była nową, ale — że usłyszał ją z ust własnej córki. Takie mu się to wydawało dziwne, takie niesłychane... Tak mocno uczuł w tej chwili, że jego córka jest już osobą, i to osobą należącą do innego pokolenia, którego on prawie nie znał.

— Gdybyś ty była starsza!...—rzekł strapiony.

— Zestarzeję się, tatku, i ja — odpowiedziała smutnym głosem.

Ojciec podniósł się z kanapy i przeszedł po pokoju. Nagle stanął przed Madzią.

— Ha!... trudno — rzekł. — Już nie mam żadnej władzy nad tobą... Rób, jak chcesz, i niech cię Bóg błogosławi... Tylko — dodał — nie zapomnij, że masz we mnie najserdeczniejszego przyjaciela...

Łzy potoczyły mu się, lecz powściągnął je.

Stary zegar wybił dziesiątą; Madzia powiedziała ojcu dobranoc i wyszła do swojego pokoju. Zdawało jej się, że już jest zimna, jak kamień; ale czuła, że rozsypie się w proch i rozpłynie we łzy, jeżeli choć przez chwilę przestanie panować nad sobą.

Usiadła przy stoliku, zasłoniła lampę abażurem i zaczęła pisać do panny Malinowskiej. Lecz gdy doszła do wyrazów: „Mogę po wakacjach potrzebować zajęcia, więc gdyby znalazło się jakie miejsce w Warszawie...“ — ogromna łza upadła jej na papier.

Wzięła drugi arkusik i, zatykając chustką usta, ażeby nie usłyszano jej cichych łkań, zaczęła znowu

pisać. Gorące łzy spływały jej na chustkę i na rękę, ach! serce ją tak bolało, jakgdyby ten list był jej ostatniem pożegnaniem z rodziną.

Taki codzienny wypadek, że młode i delikatne dziewczęta opuszczają macierzyste gniazdo, aby rzucić się w wir świata... Ale Ty jeden wiesz, o Boże, ile jest w tem męczeństwa!

XXI.

Druga wspólniczka.

W ciągu kilku dni następnych Iksinów znowu zawrzał: rozeszła się wieść, że panna Brzeska, najlepsza uczennica słynnej pani Latter, zakłada pensję.

I znowu utworzyły się dwie partje. Pani podsędkowa na rynku oświadczyła majorowi, że gdyby Femcia miała drugi raz przeżyć epokę mlecznych zębów, to nawet pod tym warunkiem, nie oddałaby jej pod dyrekcję Madzi. Zaś pani rejentowa, której niebo nie pobłogosławiło potomstwem, również twierdziła, że choćby Bóg, zamiast czterech mopsików, zesłał jej cztery dziewczynki, jeszcze żadnej nie odważyłaby się powierzyć — tej emancypantce, która rwie się do urządzania koncertów.

Zato proboszcz i major nie mogli znaleźć pochwał dla Madzi, ani słów na wyrażenie szczęścia, jakie spadnie na Iksinów, dzięki pensji w takich rękach!... Zaś pan Miętlewicz w ciągu pierwszej doby zawiadomił wszystkich iksinowian o pomyślnem wydarzeniu, a przez dni następne objeżdżał okolicz-

ne dwory, głosząc o zdolnościach panny Brzeskiej, która mówi po francusku jak rodowita paryżanka, a gra na fortepianie jak Moniuszko.

Po upływie tygodnia nikt nie wątpił, że Madzi udał się projekt. Sam pan naczelnik kilka razy powtarzał, że w Iksinowie potrzebna jest pensja, choćby pięcioklasowa, i dziwił się, że jej dotychczas nie założono. Skutkiem tego pan pomocnik oświadczył, że dwie swoje córeczki odda pod kierunek Madzi, a pan adjunkt złożył wizytę Madzi i zaczął umawiać się z nią o warunki za edukację trzech panienek. Pan komisarz także obiecywał posyłać córkę do nowego instytutu, a pan sekwestrator o mało nie spłonął ze wstydu i zgryzoty, że żaden z jego sześciu wisusów nie był dziewczynką. Lękał się nawet, ażeby mu tego nie poczytano za brak lojalności, i robił taką minę, jakgdyby pod tym względem już ubezpieczył się na przyszłość.

Z okolic także Madzia odbierały listy, albo wizyty. Jednego dnia przybył do niej pan Bedowski krakowską bryczką, drugiego — pani Jotowska, którą poznano po płóciennym kitlu i zielonej woalce; zaś w kilka dni później zajechali przed dom doktora z trzema dziewczynkami państwo Abecedowscy. Wizyta ich stała się głośną w mieście; mieli bowiem zepsute skrzydło u powozu, który strasznie klekotał. I Madzia była niemniej wstrząśnięta, dowiedziawszy się, że państwo Abecedowscy gotowi są natychmiast oddać jej swoje trzy dziewczynki na stół, mieszkanie i naukę i płacić hurtem trzysta rubli, tudzież ordynarję zależnie od umowy.

Nadzwyczajne powodzenie Madzi wywołało

niesnaski w obozie jej przeciwników. Wprawdzie pani podsędkowa i pani rejentowa pozostały jej niechętnemi; ale państwo aptekarzowie, obdarowani od Boga aż czterema córeczkami, które chowały się w domu, odbyli między sobą naradę. Wynik był ten, że pan aptekarz począł ozięble traktować podsędka i rejenta, a pani aptekarzowa zaczęła coraz częściej ukazywać się na ulicy, przy której stał dom doktora Brzeskiego.

Triumf Madzi był tak stanowczy, że nawet jej matka odezwała się pewnego dnia do majora:

— Ha!... widzę, że moja dziewczyna ma naprawdę głowę na karku.

— Tak, apetyczna bestyjka!... — odparł major. — Krukowski w pół roku wyciągnąłby przy niej kopyta. Ale coby użył...

Doktorowa wzruszyła ramionami i przy najpierwszej okazji powiedziała mężowi, iż major tak zdziecinniał, że z nim niepodobna rozmawiać.

Madzia w tych czasach czułaby się zupełnie szczęśliwą, najszczęśliwszą istotą na świecie, gdyby nie psuł jej humoru ojciec. Z nim jednym rozmawiała o rozwoju swoich projektów i, trzeba nieszczęścia, on jeden zawsze umiał wypatrzeć jakieś punkta ciemne.

Raz naprzykład, wieczorem, przedstawiła mu listę swoich przyszłych uczennic, co do których toczyły się już układy. Było tam dwanaście panienek ze wsi i przeszło dwadzieścia z miasta.

— A co, tatku... — zapytała. — Kto ma słuszność?...

— Ty, kochanko, masz słuszność — odparł,

biorąc ołówek, którym zaczął wykreślać nazwiska panienek wiejskich.

— Co tatko robi?... — zawołała Madzia zdziwiona.

— Widzisz, dziecko — panien Abecedowskich nie bierz. Bo to dziewczynki nawykłe do wygód, nawet do zbytku,więc za trzysta rubli ledwie je wykarmisz. A gdzie koszta mieszkania i nauki?

Madzia zamyśliła się.

— Może tatko ma rację — rzekła. Za dziesięć rubli na miesiąc trudno byłoby mi przyzwoicie utrzymać dziewczynkę... Więc te trzy daruję tatce!... — dokończyła, obejmując ojca za szyję.

— Darujże mi i dziewięć pozostałych — odparł ojciec. — Przeciętnie mają one płacić po cztery ruble na miesiąc za naukę, ale... musiałabyś mieć dla nich ze trzy nauczycielki. Czy możesz płacić nauczycielce dwanaście rubli na miesiąc?... A lokal?... Skąd wreszcie znajdziesz u nas nauczycielki?...

Madzia osłupiała. Przyjmowanie wizyt, odpisywanie na listy, układy z rodzicami tyle jej zabierały czasu, iż nie zwróciła uwagi, że do prowadzenia pensji jest dotychczas tylko ona sama, sama jak palec!

I, po tem odkryciu, Madzia w jednej chwili straciła wiarę w siebie. Upadła na kanapę, a zalewając się łzami, zaczęła mówić:

— Boże, jakam ja głupia!... Ja nigdy nie będę mieć rozumu... ja nigdy nic nie zrobię!... Cóżto za kompromitacja!... Przecież doskonale wiedziałam, ile pani Latter musiała wydawać co miesiąc na nau-

czycieli... Ach, Boże, dlaczego ja nie umarłam... dlaczego ja nie urodziłam się chłopcem!...

Ojciec zaczął ją tulić i głaskać jej ciemne włosy.

— No, no!... tylko nie rozpaczaj — mówił. — Zapomniałaś o ważnej rzeczy, ale to dowód, że jesteś dobra Polka. My, widzisz, Polacy, zawsze robimy projekta, nie zgromadziwszy środków, a nawet nie pytając: czy wogóle nasze środki wystarczą? No i tak nam się też wiedzie w życiu. Ty jednak, która należysz do nowego, mędrszego od nas pokolenia...

— Tatko znowu żartuje!... — przerwała Madzia, usuwając się na drugi koniec kanapy.

— Nie, kochanko, ja tylko radzę pomyśleć o środkach i — trochę do nich zastosować swój projekt.

— Słucham tatkę.

— Więc widzisz—lokal na twoją pensję masz: oddamy ci salonik...

— Ale to za mało...

— Jeżeli okaże się potrzeba większego mieszkania, oddamy ci pół domu.

— Ale ja będę płaciła komorne... O tak!... inaczej nie chcę... — zawołała Madzia, której szare oczy odzyskały blask i wesołość.

— Będziesz płacić, będziesz... Powtóre, ponieważ będziesz sama jedna nauczycielką, więc weź sobie na początek tylko pięć lub sześć panienek z miasta...

— Dwadzieścia, tatku!... Będę pracowała od

rana do wieczora i zarobię... chyba ze czterdzieści rubli na miesiąc...

— Pozwól, kochanko... Na taką liczbę nie zgadzam się jako lekarz dla ciebie, a jako eks-guwerner dla twoich uczennic. Byłoby niesumiennością podejmować się fuszerki w nauczaniu...

— A jeżeli znajdę pomocnice?

— Skąd?

— Mogę sprowadzić z Warsza... Nie!... — zawołała nagle — ja jestem warjatka... Chcę sprowadzać nauczycielki z Warszawy, a nie miałabym im co dać jeść...

— Nie desperujże — przerwał ojciec — wszak znowu mówisz przytomnie... Więc radzę ci tak: weź kilka najlepiej płacących uczennic na godziny, przekonaj się, jak ci z niemi pójdzie i — staraj się o nauczycielki...

— Ależ to nie będzie pensja, tatku!... To będą prywatne lekcje, które przecież mogłabym mieć i teraz... O, ja nieszczęśliwa!... tyle czasu zmarnowałam, zamiast dawać prywatne lekcje... O, ja niegodziwa!...

Z trudem udało się doktorowi ukoić nowy wybuch rozpaczy i wytłumaczyć córce, że — w każdem przedsięwzięciu, obok inicjatywy, energji, pieniędzy i stosunków, niemałą rolę odgrywa cierpliwość.

Przez kilka następnych dni Madzia znowu miała wizyty. Ze wsi zgłaszali się do niej państwo Zetowscy i Żetowicze, a z miasta — fryzjer, fotograf i właściciel wiatraka z pod rogatek.

Madzia umawiała się z nimi bardzo uprzejmie i bardzo rozsądnie, ale — bez zapału. Czego się tu

zresztą zapalać, gdy zrozumiała, że do prowadzenia pensji nie ma nauczycielek, a prywatne lekcje przyniosą jej ledwie kilkanaście rubli na miesiąc, przy których jeszcze możnaby postawić znak zapytania. Każda bowiem rozmowa z interesantami coraz dokładniej odsłaniała Madzi prawdę, iż — ludzie garną się do jej pensji, sądząc, że będzie ona tańszym sposobem kształcenia dzieci, aniżeli edukacja domowa, albo pensja w mieście gubernjalnem.

„Pięknie im będę kształcić dzieci — sama jedna!...—myślała Madzia, i dreszcz ją przechodził na wspomnienie braku pomocnic. — Poco ja wreszcie mówię z ludźmi o pensji, nie mając nauczycielek?“...

Pewnego dnia, ku wieczorowi, wbiegła do pokoju Madzi matka, mówiąc:

— Chce się z tobą widzieć panna Cecylja...

— Ach, ona?... Bardzo proszę...—odpowiedziała nieco zdziwiona Madzia, na prędce przypominając sobie, że panna Cecylja jest jakby mitem w Iksinowie, gdzie nikt jej nie widywał i nikt o niej nie słyszał, pomimo, że z dziesięć lat tu mieszkała.

Po chwili weszła, ostrożnie zamykając drzwi, osoba wysoka, szczupła, w ciemnej sukni. Kiedyś musiała być bardzo piękna. Miała duże oczy, dziś wyblakłe i zapadnięte, rysy nieco ostre, ale klasyczne, cerę pożółkłą, lecz delikatną, i ogromne, ciemne włosy, przyprószone siwizną. Jej ukłon i każdy ruch zdradzał wielką damę, zakłopotaną i prawie wylęknioną. Madzi zdawało się, że przybyła wstydzi się czegoś: starej sukni, swoich wykwintnych ruchów, czy może minionej piękności.

Pani ta chciała coś powiedzieć, lecz zabrakło

jej głosu. Więc tylko ukłoniła się Madzi jeszcze raz i podała jej duży papier, zwinięty w trąbkę.

— Co to jest, proszę pani?... — zapytała Madzia, zmieszana niemniej od przybyłej.

— To mój patent z instytutu puławskiego — odpowiedziała cicho.

— Pani skończyła instytut w Puławach?...

— Z cyfrą — odparła dama jeszcze ciszej. — Pani mnie nie zna — dodała — ale ja pamiętam panią jeszcze małą dziewczynką...

— Ależ i ja panią pamiętam, panno Cecyljo!... — zawołała, oprzytomniawszy, Madzia. — Zdaje mi się, że nawet w tym roku szłyśmy naprzeciw siebie szosą: ja na spacer, pani ze spaceru... Tylko pani skręciła w pole... Niechże pani będzie łaskawa... siądzie...

I, już pozbywszy się pierwszego wrażenia, Madzia uściskała pannę Cecylję i posadziła ją na fotelu, sama siadając obok na niskiej kanapce dziecinnej.

Panna Cecylja długo przypatrywała się Madzi i, ująwszy za ręce, rzekła:

— Pani musi być bardzo dobra...

— Ależ tak... ja naprawdę jestem dobra dziewczyna!... — odpowiedziała Madzia ze śmiechem i, uczuwszy nagłą sympatję do panny Cecylji, serdecznie ją ucałowała.

Nowa przyjaźń była zawarta.

— Dlaczego pani nigdzie się nie pokazuje? — zapytała Madzia. — Pani taka piękna i... z pewnością najlepsza osoba w Iksinowie...

Panna Cecylja zarumieniła się.

— Gdyby wszyscy byli tacy, jak pani!... — od-

parła. — Zdziczałam — dodała prędko — żyję tylko z dziećmi moich braterstwa, albo z temi, które do nich przychodzą...

Madzia zerwała się z kanapki i klasnęła w ręce.

— Pani! — zawołała. — Niech pani ze mną do spółki założy pensję... My tak jesteśmy dobrane... tak będziemy się kochały...

— Do spółki?... — odparła panna Cecylja z łagodnym uśmiechem. — Ja przyszłam prosić panią o miejsce nauczycielki...

— Ależ spólniczką moją pani będzie... Ja u pani będę nauczycielką — mówiła rozgorączkowana Madzia. — Ach, jak się to dobrze stało... co za szczęśliwy wypadek!...

Panna Cecylja znowu zmieszała się i, chwytając Madzię za rękę, rzekła prędko:

— Upewniam panią, że to są plotki... Bratowa wcale nie wymówiła mi mieszkania... ona taka delikatna...

Madzia słuchała ze zdziwieniem; panna Cecylja mówiła dalej:

— Bratowa tylko powiedziała, co jest bardzo rozsądne z jej strony, że dwie starsze dziewczynki odda na pensję do pani. A że i inne rodziny, których dzieci uczyły się razem z naszemi, także wolą je oddać na pensję (zupełnie słusznie!), więc sama powiedziałam sobie (nie bratowa, broń Boże!): rola moja w domu brata skończyła się... Nie mogę dłużej być dla niego ciężarem, pójdę do panny Brzeskiej i poproszę o najskromniejsze warunki... I otóż jestem u pani, zdobyłam się na odwagę... — zakończyła z uśmiechem.

— Jakże się cieszę, że pani przyszła taka myśl — odpowiedziała Madzia. — Zobaczy pani, że teraz uda się nam pensja...

— Ma pani słuszność. Bo kiedy ja, przed dziesięcioma laty, chciałam tu otworzyć pensję...

— Pani?... — przerwała Madzia.—I dlaczegóż pani nie otworzyła?...

Panna Cecylja smutnie poruszyła głową.

— Wiele przyczyn — rzekła — złożyło się na to. Nie było uczennic... nie miałam nauczycielek...

Madzia drgnęła.

— ...nie miałam funduszów...

Madzi ognie wystąpiły na twarz.

— Zresztą — mówiła panna Cecylja — zabrakło mi odwagi... Bratowa jeszcze dzisiaj śmieje się ze mnie (bardzo sprawiedliwie!) i mówi: jak mogłaś, Cecyljo, z twojem usposobieniem, nawet marzyć o podobnym projekcie? I bratowa ma słuszność: pracować potrafię; ale coś stworzyć, czemś kierować, do czegoś gromadzić środki... Oszalałabym przy pierwszem niepowodzeniu, o które przecie łatwo, gdy bierze się na swoją odpowiedzialność kilkadziesiąt osób...

Madzia, słuchając wynurzeń panny Cecylji, uczuła, że kręci się jej w głowie, a serce bić przestaje. Szczęściem, wszedł ojciec — i panna Cecylja zmieniła się: straciła śmiałość, była zakłopotana, odpowiadała na pytania monosylabami, wreszcie pożegnała Madzię i doktora.

Po jej odejściu, a raczej wymknięciu się, doktór rzekł do córki:

— Zdaje się, że już masz pomocnicę i to dobrą. Marzyć nie mogłaś o lepszej.

— Tatko skąd wie, poco ona do mnie przyszła?

— Całe miasto wie — odparł doktór. — Pani aptekarzowa chce swoje córki kształcić na pensji— u ciebie, więc od kilku dni takie sceny wyrabia nauczycielce, rodzonej siostrze swego męża, że biedna panna Cecylja musi wynosić się z domu, gdzie pieprz rośnie. Tak, jak ty chcesz od nas...

Madzię zimno przeszło.

„Co to będzie?...—myślała zatrwożona. — Ja jeszcze nie jestem pewna, czy otworzę pensję, a tu już spada obowiązek... Bo przecież nie mogę opuścić panny Cecylji, która przeze mnie traci miejsce!...“

— Nad czem tak dumasz? — spytał ojciec, kładąc jej rękę na czole.

Madzia nigdy nie powierzyłaby ojcu swego najnowszego zmartwienia; wydawało się ono tak ciężkiem, że dzielić się niem nie miała odwagi.

Spuściła oczy, unikając jasnego spojrzenia ojca, i machinalnie zapytała:

— Któż jest ta panna Cecylja? Dziwne robi wrażenie...

— Bardzo dobra i rozumna kobieta, która zamłodu była nauczycielką, ażeby pomagać bratu — dziś jest nauczycielką, ażeby wychować mu dzieci, a później — znowu będzie nauczycielką, ażeby nie jeść darmo chleba bratowej.

Madzi tchu brakło.

— A dlaczego ona, tatku, zamąż nie wyszła?... Czyżby nikt nie chciał takiej pięknej?...

Doktór machnął ręką.

— Każda kobieta może wyjść zamąż, a przynajmniej ma wielbicieli. Miała ich i panna Cecylja, niedawniej nawet jak przed dwoma laty.

— Więc?...

— Szczególna to osoba — odparł zamyślony doktór. — Straciła narzeczonego i postanowiła zostać panną.

— Opuścił ją?... — spytała Madzia zdławionym głosem.

— Zginął. Trafiają się takie kobiety.

Wieczór ten wzburzył Madzię: panna Cecylja stała jej przed oczyma. Więc można być tak dobrą i piękną, a mimo to nieszczęśliwą?... Można kochać i — stracić to, co się kocha?... Można służyć wiernie, nawet z poświęceniem i — być wypędzoną ze służby?... Można posiadać patenta, mieć naukę, robić śmiałe projekty i — w rezultacie zostać opuszczoną i śmieszną?... Jakiż to świat stworzyłeś, Boże miłosierny...

„I co ja teraz pocznę?... — w dalszym ciągu myślała Madzia. — Jeżeli panna Cecylja nie śmiała tu otworzyć pensji, ona, ze swojemi kwalifikacjami, to gdzież mnie się to może udać?... Obiecują mi uczennice, lecz ile z nich naprawdę oddadzą, a za ile będą regularnie płacić?... A gdzież nauczycielki?... Mam wprawdzie trzysta rubli, ale pani Latter miała tysiące rubli i, mimo to!... Trzeba być szaloną, ażeby występować z podobnym projektem i umawiać się z ludźmi o pensjonarki!...“

Lecz nazajutrz przyszły listy z Warszawy, które Madzia przyjęła z niepokojem, a przeczytała

z radością. Dębicki odpowiedział, że może mieć lekcje na godziny, które przyniosą około czterdziestu rubli miesięcznie, tylko — musi być przygotowana na bieganie po mieście. Zaś panna Malinowska donosiła, że ma dla niej w pewnym domu miejsce stałej nauczycielki do dwóch dziewczynek, które były na pensji pani Latter.

XXII.

Co kosztuje powodzenie?

Następny dzień był dla Madzi najszczęśliwszą epoką w Iksinowie. Rozmowy z interesantami przekonały ją, że może mieć piętnaście do dwudziestu dziewczynek, które zapiszą się do klasy wstępnej, a będą uczyły się przedmiotów szkolnych w miarę potrzeby i rozwinięcia. Rodzice ich godzili się na taką kombinację, pojmując, że w początkach inaczej być nie może. Mieli zaś płacić w tym stosunku, iż dochód pensji wynosiłby od sześćdziesięciu do ośmdziesięciu rubli miesięcznie.

Niektórzy chcieli dać pieniądze zgóry za kwartał, nawet za rok, albo wystawiać zobowiązania piśmienne. Temu jednak oparł się doktór Brzeski, mówiąc, że niema nic jeszcze pewnego, i że sprawa zdecyduje się ostatecznie w początkach sierpnia.

Każdy dzień przynosił jakąś dobrą wiadomość. To zgłosiła się nowa uczennica; to wpadł Miętlewicz, donosząc, że już przyszła orzechowa farba na ławki, to znowu Zosia (bawiąca na waka-

cjach u jednej z koleżanek), zawiadomiła rodziców, że na ostatni tydzień przyjedzie do domu, ażeby pokazać, iż utyła i nabiera mocnych rumieńców.

Nawet Zdzisław, który nie lubił pisać, napisał list do Madzi, pod jej własnym adresem. Donosił, że ma wyborną posadę w fabryce perkalów, i tak zakończył:

„O twoim projekcie założenia pensyjki chyba to powiem, że mi cię żal: gdyż, o ile panny dorosłe, wzięte pojedyńczo, są dosyć przyjemne, o tyle gromada podlotków musi być nudna. Żądasz ode mnie wskazówek — jakież ci dać mogę? W instytucie mówiono mi od rana do wieczora, że człowiek powinien wszystko poświęcić dla społeczeństwa; w fabryce, od rana do wieczora słyszę, że człowiek powinien wszystko poświęcić dla majątku. Mam więc w tej chwili dwa poglądy na życie. A że „miłość ludzkości“ — „praca dla społecznego organizmu“ i t. d. już wylazły mi podeszwami i łokciami, kto wie zatem, czy nie wezmę się zkolei do robienia pieniędzy? W każdym razie jestem jak osioł, czy jak Herkules, między dwoma wiązkami siana, więc pojmujesz, że w takiej duchowej rozterce nie mogę udzielać ci rad“...

Doktór Brzeski, słuchając listu, wysoko podnosił brwi i bębnił palcami po stole; ale Madzia śmiała się, jak trzecioklasistka. Śmiałaby się z czegokolwiek, ponieważ było jej bardzo wesoło. Mieć jeszcze przed sobą pensyjkę, o której marzyła, a już za sobą wszystkie kłopoty. Czy może być większe szczęście!...

Jednego dnia gospodarz, który obsiewał grunta jej rodziców, przyszedł zameldować doktorowej, że — będzie chyba po ośm korcy żyta z morgi i, przy okazji, przyniósł Madzi osobliwego ptaszka. Był to młody ptaszek, bury, z malutkim dzióbem, lecz nadzwyczaj szerokiem gardłem, które ciągle otwierał. Madzia była zachwycona, nadewszystko tem, że ptaszek nie uciekał, lecz siedział nadęty, jak sowa, co chwila otwierając gardziel. Ale, gdy po paru godzinach okazało się, że nadzwyczajny ptaszek nie chce ani jeść, ani pić, ani spać, nawet na łóżku, Madzia włożyła go w koszyk i odniosła napowrót do krzaków, gdzie go znalazł gospodarz.

Wracała do domu, rozmyślając: w jaki sposób ptaszek da sobie radę, czy znajdą się jego rodzice, czy może oboje nie żyją—a on biedak czy może nie chciał jeść ze zmartwienia po nich. I mówiła sobie, że trzeba być niedobrym człowiekiem, ażeby zabierać pisklęta ich rodzicom i siać smutek zarówno w sercu sieroty, jak i osieroconych przez niego.

— Czy to można... czy można robić coś podobnego?... — powtarzała Madzia, czując żal nad bezbronnem pisklęciem, które nietylko nie umiało się skarżyć, ale nawet nie oceniało wyrządzonej mu krzywdy.

Wtem na ulicy, niedaleko swego domu zobaczyła gromadę dzieci. Otaczały one, śmiejąc się i krzycząc, niziutką staruszkę, ubraną w wypłowiały kaptur atłasowy i duży szal, zużyty. Staruszka miała martwą twarz, pobrużdżoną głębokiemi zmarszczkami, otwarte usta i błędne oczy.

— A to niegrzeczne dzieci, śmieją się ze staruszki!... — zawołała, nadbiegając, Madzia.

I, zbliżywszy się, spytała:

— Gdzie pani chce iść?... Czego pani potrzeba?...

Kobieta zwróciła na nią okrągłe oczy i powoli, z wysiłkiem odparła:

— Ja pytam się ich: gdzie jest ta... ta... jakże jej tam?... Ta, co zakłada pensję...

— Czy Magdalena Brzeska? — rzekła zdziwiona Madzia.

— Ta... moja panienko... co tu, u nas zakłada pensję...

— To ja jestem... ja tu zakładam pensję...— odpowiedziała Madzia, biorąc ją za wyschłą rękę.

— Ty?... Ej, nie żartuj!...

— Ja, z pewnością...

Staruszce błysnęły blade oczy. Nagle wydobyła z pod chustki drewnianą linję i zaczęła bić Madzię po rękach, mrucząc:

— A paskudna!... a paskudna!... a co ci Kazio złego zrobił!... a paskudna...

Uderzenia były niezgrabne i słabe, lecz Madzi sprawiały taki ból, jakgdyby bito ją rozpalonem żelazem.

— Co pani robi?... za co to?...—pytała z trudnością powstrzymując się od łez.

— A paskudna!... co tobie Kazio... — powtarzała staruszka, machając ręką, z której linja wysunęła się na ziemię.

Madzia podniosła linję i oddała ją staruszce. Wiekowa kobieta popatrzyła na nią: w martwych

oczach zamajaczyło coś, jakby dziwiła się, czy chciała skupić myśli... Wreszcie—schowała linję pod chustkę i stała na ulicy bez ruchu, nie wiedząc, dokąd iść, czy może myśląc, że nigdzie iść nie warto.

— Kto jest ta pani? — spytała Madzia jednego z chłopców, który zanosił się od śmiechu.

— To babka naszego profesora!... wykrztusił chłopiec. — Ona taka zabawna...

I pobiegł w stronę szkoły.

Madzia wzięła starowinę pod rękę i ostrożnie zaczęła ją prowadzić za chłopcem. Już dochodziły do szkoły, kiedy naprzeciw nich wybiegła z podwórka kobieta bez czepka i bez kaftana, z zawiniętemi rękawami koszuli.

— Co babcia wyrabia?... — zawołała kobieta. — Jakże ja panią przepraszam!...—dodała, zwracając się do Madzi. — Ale to tak: człowiek zajmie się dziećmi, czy kuchnią, a babcia wychodzi na miasto i zawsze narobi wstydu, albo zgryzoty...

— Nic się nie stało, proszę pani... — mówiła Madzia, wprowadzając staruszkę na dziedziniec i sadowiąc ją na ławce pod domem.

Pani profesorowa uboga, zawstydzona swojem ubóstwem i zakłopotana czynem babci, rozpływała się w przeprosinach. Madzia starała się obrócić w żart zajście, a gdy się jej to udało, spytała: za co babcia może mieć do niej pretensję?...

— Ach, już powiem pani wszystko, bo pani wygląda na taką dobrą... — mówiła żona nauczyciela. — Widzi pani, mój mąż stracił kilka uczennic: Witkowską, Siarczyńską, Narolską...

„One do mnie mają pójść od wakacyj!“... — pomyślała Madzia.

— Niewiele one tam płaciły: sześć, siedm rubli, ale nie trzeba pani mówić, że zawsze to ubytek dwadzieścia rubli na miesiąc... więcej niż pensja nauczycielska... Tak tedy mówi mąż do mnie: póki długów nie spłacę (bo mamy długu 80 rubli i procenta!...), jedź ty z trojgiem dzieci na wieś, do brata, a ja z dwojgiem starszych zostanę... Brat mój jest gorzelnikiem, proszę pani, nie opływa w dostatki, ale lubi mnie i, na jaki rok, nie pożałuje kąta, ani chleba...

Otarła oczy fartuchem i ciągnęła dalej:

— Nie będę ukrywać, że, zwyczajnie, jak ludzie, trochę narzekaliśmy przed sobą na tę pensję pani... A babcia — drzemała i słuchała, słuchała i drzemała i... oto co zrobiła!... Śmierciby się pierwej człowiek spodziewał, aniżeli takiej kompromitacji...

Madzia, słuchając, przypatrywała się domowi nauczyciela i jego mieszkańcom. Przez okno, zasłonięte prostemi kwiatkami w doniczkach i perkalową firanką, widać było czysty pokój, ale sprzęty ubogie i stare. W kuchni, na kominie, stał wielki garnczek kartofli i mała ryneczka słoniny. Około domu kręciło się czworo jasnowłosych dzieci, ubranych w barchan i drelich. Były to dzieci umyte, ciche, obłatane i obcerowane. Między niemi może 12-letnia dziewczynka, w krótkiej sukience, patrzyła na Madzię z trwogą i żalem; przynajmniej tak się Madzi zdawało.

„To zapewne ona i jeszcze któreś zostanie bez matki, a tych troje bez ojca“... — myślała Madzia.

Uściskała żonę profesora, ukłoniła się staruszce i ucałowała dzieci. Młodsze spoglądały na nią zdziwione, starsza dziewczynka cofnęła się.

Na ganku spotkała matkę, targującą się z dwiema Żydówkami o kaczki i masło. Doktorowa, spojrzawszy na Madzię, spytała:

— Czegoś ty taka mizerna?...

— Musiałam iść za prędko...

— Blada... spocona... Czyś ty nie chora, moje dziecko?... — rzekła matka. I zwracając się do Żydówek, dodała:

— Cztery złote za masło i po czterdzieści groszy za kaczkę.

— Żebym tak nieszczęścia doczekała, nie mogę — mówiła jedna z Żydówek, całując doktorową w rękaw. — Niech delikatna pani sama powie, czy niewarte po półtora złotego?... Kaczki, z przeproszeniem, jak barany... trzeba chłopa do noszenia ich...

W swoim pokoiku Madzia powoli zaczęła rozbierać się, nieruchomo patrząc przed siebie. Widziała twarz staruszki, niby rzeźbę bukszpanową, oprawną w obręcz atłasu. Zdawało jej się, że gładsze punkta żółtej twarzy — połyskują na słońcu, jak polerowane drzewo. A te brózdy, rozchodzące się promienisto: z kątów ust, z kątów oczu, od osady nosa... Zupełnie, jakgdyby rzeźbiarz samouczek powycinał je w drzewie tępym nożem.

„Ile ona może mieć lat?—myślała Madzia.— No, ani mi przez głowę przeszło, że tu, w Iksinowie, jest staruszka, w której od kilku tygodni wzbiera — nienawiść do mnie... Siadywała zapewne pod ścianą, może na tej samej ławce, i przez ca-

łe dni bezczynne, przez całe noce bezsenne, nienawidziła mnie... rozmyślała, jakby się zemścić!...

Albo dzieci... co one uczuły, gdy im powiedziano: musicie się rozdzielić, już nie będziecie bawiły się razem; dwoje starszych przez cały rok nie zobaczą matki, a troje młodszych ojca... Jak im się musi wydawać dziwnie, gdy zrozumieją, że to ja ich rozpędzam!... Ja — rozpędzam — dzieci... No— ja!... o, ta sama, którą tu widzę w lustrze“...

Po południu przyszedł do Madzi nauczyciel. Był to człowiek łysy, siwiejący, który zadawał sobie wiele pracy, aby głowę trzymać prosto na pochylonym tułowiu. Miał długi surdut, a skutkiem zgarbienia, zdawało się, że ma zbyt długie ręce. Usilnie przepraszał Madzię za postępek swojej babki, błagał, ażeby mu nie zaszkodziła w dyrekcji, i wyszedł — głęboko przekonany, że gdyby Madzia wstawiła się za nim do władz, miałby dwieście pięćdziesiąt rubli pensji rocznej zamiast stu pięćdziesięciu..

— No, ale rozumiem, że o to prosić pani nie mogę — dodał na pożegnanie.

Po jego odejściu ukazała się doktorowa.

— Czego on chciał od ciebie?

— Nic, mamo. Dziękował, że odprowadziłam do domu jego babkę staruszkę...

— Zdziecinniała staruszka, ma przeszło dziewięćdziesiąt lat... Ale czegoś ty taka wzruszona?...

— Bo, widzi matuchna — odpowiedziała Madzia, siląc się na uśmiech — on myśli, że ja mogę mu szkodzić, albo protegować go w dyrekcji... Biedny człowiek...

— Niechaj myśli, nie będzie z tobą wojował...

Niebawem ukazał się pan Miętlewicz. Był zirytowany i, opowiadając o bardzo suchem, o nadzwyczajnie suchem drzewie, z którego będą porobione ławki szkolne, bacznie przypatrywał się Madzi.

Po Miętlewiczu przyszedł major, także wzburzony, gdyż nie spostrzegł, że zgasła mu fajka.

— Cóż znowu?... — rzekł do Madzi. — Cóżto, stara warjatka napadła cię na ulicy?...

Madzia wybuchnęła śmiechem.

— Czy mówi pan o babce nauczyciela?... — spytała. — Kogóż ona może napadać, biedactwo?...

— Tę samą uwagę zrobiłem podsędkowi, który jednak twierdzi, iż słyszał na mieście, że stara rzuciła się na ciebie...

Jeszcze major nie dokończył frazesu, gdy wszedł proboszcz.

— Kyrje elejson! — zawołał od proga. — A oni czego chcą od ciebie?

— Kto?... — spytała Madzia.

— A nauczyciel i jego żona. Bo rejentowa mówiła mi jeszcze o babce; ale babka ledwie się rusza...

Już nie było możności utrzymywać dłużej sekretu, więc Madzia wszystko opowiedziała swoim przyjaciołom.

— No, w takim razie chodźmy, mój jegomość, na szachy — rzekł major. A ująwszy Madzię wpół, pocałował ją w czoło i dodał:

— Szkoda ciebie na Iksinów... Za dobra jesteś... — Przypominam jegomości, że dziś ja gram pierwszą partję białemi.

Ojciec tego wieczora wcale nie mówił z Ma-

dzią o pogłoskach, krążących po mieście. Jednak oboje rodzice musieli o nich słyszeć, gdyż matka była rozdrażniona i zachorowała na głowę.

Madzi całą noc śnił się ptaszek. Niosła go w krzaki, wynalazła mu między gęstym jałowcem dołeczek, nagarnęła suchych liści i posadziła tam sierotę, zupełnie jak na jawie, nachuchała na niego, ucałowała go, a gdy, już stanowczo odchodząc, jeszcze raz odwróciła głowę, ptaszek siedział w dołku z rozpostartemi skrzydłami i otworzył wielkie gardełko, wydając przytem głos syczący. Żegnał ją, jak umiał.

„Czy on aby żyje?... — myślała Madzia. — Może go już odnalazły starsze ptaki, a może go co zjadło?“...

Zbudziwszy się, pobiegła przed śniadaniem w pole, do krzaków. Z bijącem sercem weszła między jałowiec, mówiąc sobie, że, jeżeli ptaszka co złapało, to będzie dla niej zła wróżba. Spojrzała... dołek był pusty, ale ani śladu walki... Madzia odetchnęła. Była pewną, że sierota znalazł opiekunów.

Wracając, zmówiła pacierz. Wstyd jej było ofiarować go za ptaka, o którym nawet nie wiedziała, że nazywa się: lelek. Ale ciągle miała go na myśli, resztę zostawiając Bogu, którego niesenne oko czuwa nad ogromnemi światami, i nad małem pisklątkiem.

W mieście Madzia spotkała starszą córeczkę nauczyciela, niosącą pakiecik cukru, może z pół funta. Dziewczynka, chociaż nie zaczepiona, grzecznie dygnęła, a potem — pocałowała Madzię w rękę. Gdy rozeszły się, Madzia, mimowoli odwróciw-

szy głowę, spostrzegła, że dziewczynka także ogląda się za nią.

„I ona myśli — rzekła do siebie Madzia — że ja wypędzam z domu jej matkę!“...

Doktór Brzeski, wypiwszy śniadanie, spacerował z fajką po ogrodzie. Madzia zaprowadziła go do altanki, posadziła na ławce i, obejmując rękoma, szepnęła mu do ucha:

— Tatku... ja tu już nie otworzę pensji... Niech panna Cecylja weźmie połowę uczennic, a te, które miał nauczyciel, niech zostaną przy nim... Tatuś gniewa się?...

— Nie, kochanko.

— A tatuś wie, dlaczego ja tak muszę zrobić?...

— Wiem, że — ty — musisz tak zrobić.

— A może tatko myśli, że to źle?...

— Nie.

— Ach, tatku, tatku... jakiś ty dobry... jakiś ty święty!... — szepnęła Madzia, kładąc głowę na ramieniu ojca.

— Ty jesteś święta — odparł — i dlatego wszystko ci się takiem wydaje.

Ale matka, dowiedziawszy się o postanowieniu Madzi, zaczęła desperować:

— Mącisz tylko głowę ojcu, mnie i sobie — mówiła. — Raz zakładasz pensję, potem wahasz się, znowu masz ochotę, znowu nie masz ochoty, słowem, co godzinę — nowy projekt. Tak być nie może: zobowiązałaś się wobec ludzi...

— Przepraszam cię, mateczko — wtrącił oj-

ciec. — Wyraźnie zastrzegała sobie ostateczną decyzję do sierpnia...

— Więc chcesz ją wysłać do Warszawy, Feliksie?... — zawołała doktorowa, powstrzymując się od płaczu.

Doktór milczał, natomiast odezwała się Madzia:

— Czyliż matuchna pozwoliłaby na to, ażeby z mojej winy zginął nasz nauczyciel?...

— Co za chorobliwe skrupuły!—odparła doktorowa. — Brzozowski, sprowadzając się tutaj, wiedział, że zaszkodzi naszemu ojcu... A jednak sprowadził się i... nie mamy do niego pretensji...

— No, różnie bywało... — wtrącił doktór.

— Tak, — mówiła matka — ale nie okazywaliśmy mu żadnej niechęci, a on znowu nie pytał: czy nam robi przykrość?...

— Nie czyń drugiemu, co tobie niemiło... — rzekł ojciec.

— Mój kochany — przerwała rozżalona doktorowa — jesteś stworzony na anachoretę... umiesz wznieść się nawet nad przywiązanie do dzieci... Ale ja jestem tylko matka... i nie pozwolę, ażeby ginęło moje dziecko, chociaż kapryśne i nie dbające o mnie...

— Ach, mamo!... — szepnęła Madzia.

— Zwołam ludzi — mówiła doktorowa z uniesieniem. — Niechaj zejdzie się całe miasto, niech najwięksi nieprzyjaciele nasi osądzą: kto ma słuszność?...

— Nieprzyjaciele — źle osądzą... — odezwał się ojciec.

— Więc przyjaciele... Niech przyjdzie pro-

boszcz, Miętlewicz, a nawet ten stary oryginał, który, pomimo swoich ośmdziesięciu lat...

— Major jeszcze nie ma ośmdziesięciu... — wtrącił doktór.

Matka odwróciła się i pobiegła do kuchni.

XXIII.

Rada familijna.

O czwartej po południu zaczęli schodzić się goście, zaproszeni na naradę. Naprzód pan Miętlewicz w nowym garniturze w pasy, tudzież kołnierzyku, wyłożonym tak szeroko, że jego końce opierały się prawie na obojczykach. Potem major — z dwoma kapciuchami tytuniu (jakby wyjeżdżał w daleką drogę); dalej siwy proboszcz, na którego życzliwie mrugała doktorowa, a on jej odmrugiwał, zacierając ręce. Na ostatku przyszła panna Cecylja. Zadyszana, upadła na krzesło w pokoiku Madzi, błagając panią Brzeską, ażeby jej nie kazała iść do ogrodu, gdzie jest tylu mężczyzn. Ale doktorowa wzięła ją za rękę, zaciągnęła do altanki i, bladą jak papier, posadziła naprzeciw majora.

— Niechże major dziś będzie oględny... — szepnęła staremu pani Brzeska.

— Tylko pani mnie rozumu nie ucz — mruknął, wydobywając z wściekłością drut do fajki, krzesiwko, hubkę i paczkę siarczanych zapałek z różnokolorowemi główkami.

W domu państwa Brzeskich podwieczorek zawsze bywał dobry, ale tego dnia przeszedł wszel-

kie oczekiwanie. Nigdy jeszcze nie widziano tak mocnej kawy, tak grubych kożuchów na śmietance i tylu gatunków: bułek, obwarzanków, ciastek suchych i kruchych, placuszków, obsypanych makiem i cukrem, a wszystko prosto z pieca.

Postawiono nawet buchający parą samowar, na wypadek, gdyby major zażądał herbaty; a doktorowa własną ręką przyniosła z szafy butelkę białego araku, bo może major zechce pić herbatę z arakiem. W kuchni, śpiżarni, w ogrodzie i altance rozlegał się głos doktorowej, deklamującej: pan major, dla pana majora, panu majorowi...

Biedna panna Cecylja, na którą major od czasu do czasu rzucał (zdaniem doktorowej) bezwstydne spojrzenia, naprzemian bladła i rumieniła się, spoglądając ukradkiem z pod długich rzęs na okropnego starca, który, wbrew interesom jej brata, propagował reformackie pigułki, a u iksinowskich dzieci miał opinję ludożercy, czyli — kominiarza.

Kiedy doktorowa nalała kawę, major, spojrzawszy na siedzącego obok siebie Miętlewicza, rzekł:

— Cóżeś się pan dziś ustroił, jak mamka?...— Rozwaliłeś kołnierzyk, że ci prawie pępek widać...

Panna Cecylja mimowoli szepnęła: ach!... a doktorowa prędko odezwała się:

— Może major pozwoli tych obwarzaneczków?... Jeszcze ciepłe... Panno Cecyljo — dodała — niech pani posmaruje panu majorowi bułeczkę...

Major, któremu w tak delikatny sposób przypomniano obecność panny Cecylji, zawstydził się i z niechęcią odwrócił się od Miętlewicza, bo prze-

cież z jego winy wymówił brzydkie słowo przy dziewczętach.

Tymczasem posłuszna panna Cecylja zaczęła smarować masłem bułkę. Była jednak tak zmieszana, że upuściła nóż, zgniotła bułkę i o mało nie przewróciła szklanki z kawą. Ażeby ją ośmielić, major odezwał się:

— Cóżto, wypędzacie waszego prowizora?...

Panna Cecylja w pierwszej chwili nie wierzyła własnym uszom, że major do niej mówi. Zmiarkowawszy jednak, po spojrzeniu doktorowej, iż wypadek ten miał rzeczywiście miejsce, zebrała odwagę i odpowiedziała:

— Tak, braterstwo rozstają się z panem Fajkowskim.

— Pierwszy raz muszę im przyznać słuszność — rzekł major, ażeby już zupełnie zjednać sobie pannę Cecylję. — Takie awantury wyrabiać w domu familijnym!...

— Brat mówił, że pan Fajkowski nie może być w aptece, ponieważ jest lunatykiem...

— Doprawdy? — zawołała Madzia. — Chodzi po dachach?...

— Wyobraź sobie, że onegdaj w nocy wszedł po daszku do kuchni, na pierwsze piętro, oknem...— objaśniła panna Cecylja.

— Jakie to szczęście, że on do pani nie wszedł!... — westchnęła Madzia.

— Madziu!... — zaczęła doktorowa.

— Ja — mówiła panna Cecylja — umarłabym ze strachu. Przecież zawołać nie mogłabym, bo obudziłby się i spadłby...

— Przynieś nam, Madziu, szachy—odezwał się major. Z triumfem spojrzał na doktorową, która gotowa była uściskać go za takt i przytomność umysłu.

— Ale chyba dzisiaj panowie nie będą grali?... — rzekła doktorowa, gdy Madzia powróciła z pudłem i szachownicą. — Mamy naradzać się...

— Radzić nie będziemy całą noc — odburknął major. — Nie jesteśmy lunatykami.

Przez ten czas pan Miętlewicz rumienił się, jak panienka. Równie bowiem zakłopotała go przygoda pana Fajkowskiego, jak i jego własny kołnierzyk, który dopiero teraz wydał mu się stanowczo za długi i za głęboko wycięty. W tej chwili wolałby mieć na szyi girlandę z ostu i pokrzyw, aniżeli ten podły kołnierzyk; bo ile razy która z panien spojrzała na niego, nieszczęsnemu Miętlewiczowi przychodził na myśl ten punkt jego osoby, który tak brutalnie napiętnował major.

Kiedy uprzątnięto stół i major z haftowanego kapciucha zaczął nakładać fajkę, doktorowa, westchnąwszy, odezwała się:

— Cóż pan major sądzi o nowym kaprysie Madzi?... Sprzykrzyła jej się pensja i chce wyjechać do Warszawy!...

— Za kark jej nie weźmiemy — odparł major.

— Jednakże władza rodzicielska w tym wypadku... — wtrącił proboszcz.

— Nawet myśleć o tem nie może panna Magdalena — pochwycił Miętlewicz. — Całe miasto zdziwione... naczelnik straży ziemskiej mówił mi, że — to niepodobna, a sam naczelnik powiatu, kiedy

się dowiedział, przestał przyjmować interesantów... Chodził po biurze z założonemi rękoma i wciąż mówił do siebie: także!... także...

— Słyszysz, Madziu — odezwała się doktorowa, podnosząc palec wgórę.

— Szkoda, żeście państwo odrazu nie zaprosili naczelnika straży ziemskiej, jeżeli on ma decydować o przyszłości Madzi — warknął major.

— Ale opinja publiczna, panie majorze! — zawołał Miętlewicz.

— Umowy co do panienek już prawie zawarte — rzekła doktorowa.

— Posłuszeństwo względem rodziców — święty obowiązek!... — dodał proboszcz.

— Dlaczego nie chcesz otworzyć pensji — zapytał major Madzię.

— Proszę pana majora, jest tak—zaczęła Madzia.—Nauczyciel ma żonę, pięcioro dzieci i babkę... Ma sto pięćdziesiąt rubli pensji na rok...

— Opowiadaj krótko — upominał ją major.

— Ja mówię krótko. Więc, proszę pana majora, nauczyciel dorabia sobie prywatnemi lekcjami jeszcze dwadzieścia rubli miesięcznie... A że, proszę pana majora, jego uczennice mają przejść do mnie, więc nauczyciel traci te dwadzieścia rubli miesięcznie i musi żonę z trojgiem dzieci wysłać na wieś..

— No, ale dlaczego ty chcesz wyjechać?... — badał major. — Przecie ty masz uczennice...

— Właśnie, że mam...

— Więc otwieraj pensję...

— Ale ja nie mogę rujnować bytu rodziny nauczyciela... nie mogę odrywać dzieci od matki i oj-

ca... Jakażby to była sprawiedliwość, gdyby ginął człowiek po kilkunastu latach pracy...

— Brzozowski nie miał tych skrupułów względem twego ojca — rzekła doktorowa.

— Może doktór Brzozowski nie miał innego miejsca... A ja mam doskonałe warunki w Warszawie.

— Panno Cecyljo... niechże pani coś powie!...— zawołała doktorowa. — Przecież pani ma prawo nie zwolnić Madzi z danego słowa...

— Bóg wie — cicho odezwała się zapytana — ile mnie to kosztuje... Ale pobudki panny Magdaleny są tak szlachetne...

— A cóż na to ojciec?... Ojca zdanie chcielibyśmy usłyszeć... — rzekł proboszcz.

— Zrobi pani krzywdę całemu miastu, całej...— wtrącił Miętlewicz.

— Ty jesteś ojciec?...—ostro zapytał go major.

— Ja tu nie mam nic do powiedzenia — odezwał się doktór. — Boli mnie jej wyjazd, ale cieszą jej instynkta... Trzeba dbać nietylko o własne interesa!...

— Mój doktorze — odparł major — gdyby każdy żołnierz myślał o skórze swego sąsiada a może nawet i nieprzyjaciela, pięknie wyglądałaby armja!... Niech każdy dba o siebie...

— Słyszysz, Madziu? — rzekła doktorowa, posyłając majorowi spojrzenie pełne wdzięczności.

— Zresztą — zabrał głos Miętlewicz — jeżeli panna Magdalena chce odszkodować nauczyciela, niech mu od każdej uczennicy odstąpi jakiś procent...

— Tak jak pan Eisenmanowi, ażeby ci nie przeszkadzał — dodał major.

— Posłuchajcie mnie, panowie — mówiła wzruszonym głosem doktorowa. — Dzięki mężowi, już nie śmiałabym ograniczać swobody naszym dzieciom, gdyby tylko chodziło o swobodę... Ale co Madzię czeka w tej Warszawie?... Będzie guwernantką rok... dwa... dziesięć lat... no, i co potem?... My, w razie śmierci, oprócz starego domu i kilku morgów gruntu, nic nie zostawimy dzieciom... Więc co ona pocznie ze sobą?...

— Toż samo grozi jej, gdyby została tutaj — wtrącił doktór.

— Ale tu miałaby pensyjkę... swoją własną... I po kilku latach pracy, ona, taka oszczędna, mogłaby coś odłożyć... — mówiła matka. — Przecież sam postanowiłeś, Feliksie, że 15 rubli, które chce nam płacić za mieszkanie i obiady, będą składały się dla niej na posag...

— Madzia ma posag... cztery tysiące rubli — odezwał się major.

— Co też pan mówi!... — odparła doktorowa. — Madzia od babki dostała trzy, nie cztery tysiące rubli, a dzisiaj nie ma z tego i połowy...

— A ja pani powiadam, że Madzia będzie miała cztery tysiące rubli... Nie teraz, ale za parę lat — odparł major.

W altance zrobiło się cicho. Wtem, najprzytomniejszy ze wszystkich, Miętlewicz pochylił się i — pocałował majora w ramię.

— Tyś chyba zupełnie oszalał, Miętlewicz?— rzekł major.

— Podziękuj-że, Madziu... — odezwał się proboszcz.

Madzia stała zdziwiona, nic nie rozumiejąc. Ale doktorowa rozpłakała się.

— Nigdy już ona nie będzie należeć do mnie— zawołała. — W dzieciństwie odebrała mi ją babka, później ta nieszczęśliwa Latterowa, której niech Bóg przebaczy... a teraz major...

— Ani jej pani odbieram — odparł starzec — ani jej za mego życia grosza nie dam. Jest młoda, więc niech pracuje... Ale, niechże mi nikt nie gada, że dziewczyna nie ma zabezpieczonej przyszłości!...

— A gdyby pani zaangażowała naszego nauczyciela?... — zawołał rozpromieniony Miętlewicz. — Mógłby uczyć arytmetyki, geografji...

— Myślałam o tem — odparła Madzia — ale on ma czas dopiero po czwartej, kiedy u nas kończą się lekcje.

Major zamyślił się.

— Ile miałabyś dochodu miesięcznie? — spytał Madzi.

— Około sześćdziesięciu rubli na nas dwie...

— Więc podzieliwszy między trzy osoby, wypadnie po dwadzieścia rubli... Gra niewarta świeczki!... — zakonkludował major. — No, proboszczu, siadajmy do warsztatu...

I wysypał z pudełka figury na szachownicę.

— Jakże to?... więc jak panowie radzicie...— pytała rozgorączkowana doktorowa, chwytając majora za ramię. — Nareszcie niechże się dowiem: co zrobi dziewczyna?...

— Ona wie o tem lepiej od nas — odparł major, ustawiając szachy.

— Ale ja nic nie wiem, ja... matka...

Major jedną rękę oparł na szachownicy, drugą na poręczy ławki i, odwróciwszy się całym korpusem do doktorowej, mówił, przystukując wieżą:

— Pensja odrazu mi się nie podobała, bo Madzia na przełożoną jest za młoda. Powtóre — nie zapłacą jej, jak należy, wkońcu opuszczą, i dziewczyna zmarnuje się w ciągu kilku lat... A co potem?... Nic potem!... Niech więc jedzie do Warszawy, kiedy chce pracować, co się jej chwali... Niech pozna świat, nie ten iksinowski kurnik... Tam może i chłopca porządnego znajdzie... A za jakiś rok... dwa, kiedy odejdę na wieczny urlop, będzie miała cztery tysiące rubli... może i trochę więcej... Z takim groszem i doświadczeniem, jeżeli zechce, niech założy pensję, ale już porządną...

— Widzi mama, że pan major każe mi jechać do Warszawy — odezwała się Madzia.

— Uściskajże majora!... podziękuj!... — wtrącił proboszcz, popychając Madzię.

— Basta!... — rzekł major. — Kiedy ją ściskam, robię to bez pozwolenia jegomości.—A dziękować niema za co, bo przecie nie zabiorę pieniędzy do grobu.

— Ja nie wiem, czy mi wypada przyjmować taką ofiarę... — odezwała się zakłopotana Madzia.

Starzec, z fajką w zębach, zerwał się z ławki, błysnął krwią nabiegłemi oczyma, a ująwszy się pod boki, zaczął wyginać się jak baletnica i przedrzeźniać Madzię piskliwym głosem:

— Tiu — tiu — tiu —tiu!... Ofiary przyjąć nie może!... I ty smarkata robisz uwagi?... Jeżeli chcesz dług spłacić, to, gdy usłyszysz, że mnie już umyły baby, zmów, na wszelki wypadek, pacierz za moją duszę... — dodał łagodnym tonem. — Może naprawdę jest jaka dusza?... — szepnął.

— Tak?... — zawołał proboszcz, z gniewem odsuwając szachownicę. — Nie gram z takimi, którzy mówią, że niema duszy...

— Powiedziałem: może jest!... — wrzasnął major, uderzając pięścią w stół.

— No, tak, to co innego...—odparł uspokojony proboszcz. — Zaczynaj pan... Nie, dziś ja zaczynam.

Kiedy zaczęła się gra, panna Cecylja dała znak Madzi i — obie cichaczem wymknęły się w głąb ogrodu.

— Boże!... — szepnęła panna Cecylja; oglądając się na wszystkie strony i chwytając rękoma za głowę. — Boże!... co się ze mną dzieje... Ależ ja nigdy nie widziałam podobnego człowieka...

— Mówi pani o majorze?... — spytała Madzia.

— Naturalnie!... O kim innym mogłabym mówić w tej chwili... Wie pani — dodała nagle panna Cecylja — mówmy sobie: ty....

— Ach, jak to dobrze!... — odpowiedziała Madzia.

Ucałowały się, i zarumieniona, z błyszczącemi oczyma, panna Cecylja prawiła:

— Cóżto za dobry człowiek!... Nie, to anioł... Nie, prawda, z taką fajką nie można być aniołem, ale cóżto za szlachetny człowiek!... Ale przytem jaki or-

dynaryjny!... Gdyby mnie tak powiedział, jak panu Miętlewiczowi... Boże!...

Do panien zbliżyła się doktorowa, a z nią pan Miętlewicz, który, pod pozorem bólu gardła, zawiązał sobie chustką od nosa różową szyję.

Na ten widok panna Cecylja spuściła długie rzęsy, a Madzia ledwie powstrzymała się od nowego wybuchu wesołości. Szczęściem, zwróciła uwagę na to, co mówił Miętlewicz:

— Ma słuszność major, że Iksinów nazywa kurnikiem!... Niedługo stąd wszyscy się wyniosą... Pan Krukowski już wyjechał, państwo podsędkowie także mają przenieść się do Warszawy... I ja nie będę tu popasał, nie mam pola dla moich zdolności... Wreszcie i do Eisenmana zaczynam tracić zaufanie...

W altance zrobił się krzyk: proboszcz dawał mata majorowi, a ten dowodził, że nie ma wyobrażenia o szachach. Partję przerwano w przedostatnim cugu, major bowiem żadnym sposobem nie chciał uznać mata, którego nie byłoby, gdyby jego królowa zajmowała tę linję, gdyby koń stał tam, a wieża tutaj...

— Tak — odparł proboszcz — i gdyby pański król mógł wychodzić do ogrodu, kiedy mu zabraknie miejsca na szachownicy.

Dwaj starcy, kłócąc się, zaczęli wybierać się do domu. Panie i Miętlewicz zbliżyli się ku altance.

— No, dziękuję doktorowej za podwieczorek... Pyszny był... — rzekł major. — A ty, mała — dodał, całując Madzię w głowę — uciekaj stąd, gdzie pieprz rośnie... W tej dziurze panny starzeją się,

a mężczyźni głupieją... — zakończył i spojrzał na Miętlewicza.

— Ja także wynoszę się stąd — odpowiedział Miętlewicz. — Otworzę interes w Warszawie...

— Tylko pierwej kup sobie inną koszulę, bo ta cię kiedy opadnie — wtrącił major.

XXIV.

Wyjazd.

W kilka dni później w ogrodzie doktora Brzeskiego odbywał się znowu podwieczorek przy asystencji proboszcza, majora i Miętlewicza. Właśnie proboszcz wyciągał rękę do cukru, kiedy wpadła kucharka, wołając:

— Telegraf!... telegraf do panienki...

I, rzuciwszy depeszę na stół, patrzyła na Madzię z trwogą.

Doktór podniósł głowę, doktorowa zmieszała się, Madzia zbladła, a proboszcz, z ręką wyciągniętą do cukiernicy, powtórzył:

— Telegram?... Cóżby to być mogło?...

— No, cóż tak nadzwyczajnego?... — odezwał się Miętlewicz, bardziej niż inni iksinowianie oswojony z depeszami. Ale i na jego twarzy widać było wzruszenie.

— Telegram?... do Madzi?... — mruczał zmartwiony proboszcz.

— Może Zdzisław chory?... — szepnęła doktorowa.

Tylko major, który na polach bitew oswoił

się z niebezpieczeństwami, nie stracił zimnej odwagi wobec tak niezwykłego faktu, jakim była depesza telegraficzna w Iksinowie. To też wszystkie oczy zwróciły się na niego i wszyscy odetchnęli z uczuciem ulgi, gdy nieustraszony starzec, wziął ze stołu depeszę, rozdarł ją z właściwą mu gwałtownością i, odsunąwszy daleko papier, zaczął sylabizować:

„Jeżeli przyjmujesz miejsce — przyjedź do mnie niedzielę — koszta podróży zwrócone — odpowiedź zapłacona — Malinowska.“

— Coś w tem niema sensu?... — rzekł major.

— Owszem — wtrąciła Madzia, zaglądając mu w papier przez ramię. — Muszę zaraz odtelegrafować pannie Malinowskiej, a w sobotę pojadę do Warszawy.

— Nie zobaczysz się z Zosią... — szepnęła doktorowa.

— A co, nie mówiłam, że nieszczęście!...—jęknęła kucharka, podnosząc fartuch do oczu.

— Przeczytaj drugi raz — odezwał się zmieszany doktór. — Może to nie tak...

— Owszem, tatku — odpowiedziała Madzia.— Wola Boska!...

— Doskonale mówisz — wtrącił proboszcz. — Zawsze trzeba zgadzać się z wolą boską...

— A może panna Magdalena tamtego miejsca nie zechce przyjąć?... W takim razie nie potrzebowałaby jechać — dorzucił Miętlewicz.

Major popatrzył na niego krwią nabiegłemi oczyma, skutkiem czego młody człowiek zaczął kręcić się na ławce.

— Miętlewicz... Miętlewicz!... — rzekł major,

kiwając w jego stronę ogromnym palcem. — Miętlewicz... ja wiem, co tobie pachnie...

— Daję słowo honoru panu majorowi... — protestował wylękniony.

— Wiem!... — upierał się major. — Ale czy ty wiesz, co z tego będzie?... O to — o!...

I pokazał mu figę tak blisko nosa, że cichy wielbiciel Madzi aż pochylił się wtył na ławce.

— Więc cóż z tego będzie?... — zapytała doktorowa, zajęta własnemi myślami.

— Figa — rzekł major.

— Madzia nie pojedzie!... — zawołała z radością biedna matka, chwytając majora za rękę.

— Dlaczego nie ma jechać? — rzekł zdziwiony starzec. — Pojedzie w sobotę...

— Bo pan major powiedział, że — nie... — odparła doktorowa.

— Eh! to ja Miętlewiczowi mówię...

— Ależ daję słowo honoru... — przysięgał Miętlewicz, zarumieniony wyżej czoła.

— W sobotę, z rana, Madzia wyspowiada się przed wotywą — wtrącił proboszcz — a po wotywie przystąpi do świętej komunji...

— Boże!... Boże!... i ona ma jechać?... — biadała doktorowa. — Nie skończyły się jeszcze wakacje... powinna zobaczyć siostrę...

— Obowiązek przedewszystkiem... tego pilnować, co chleb daje!... — huknął major, uderzając w stół. — A pani nie rozczulaj się bez powodu, bo zrobisz mazgaja z dziewczyny. Kiedy trzeba, to trzeba!...

— Naturalnie — szepnął doktór.

Madzia usiadła przy matce i objęła ją za szyję.

— Wie mameczka co, że ja jestem bardzo kontenta... Tu jest mi dobrze, jak w niebie, ale... wie mamusia, że ja już tęsknię za pracą... Zresztą będzie mi doskonale u tych państwa... będzie mi tam bardzo wesoło... bo panna Malinowska taka szlachetna... Szkoda, że mama jej nie zna...

Ale ponieważ matka już płakała, więc i Madzia, oparłszy głowę na jej ramieniu, także zaczęła płakać. Proboszcz miał łzy w oczach, doktór gryzł tanie cygaro, pan Miętlewicz pochylił twarz do stołu, a kucharka na cały głos zawodziła w kuchni.

Co spostrzegłszy, major podniósł się z ławki i rzekł:

— Zaraz wrócę...

I potoczył się w głąb ogrodu, wyciągając z kieszeni fularową chustkę.

Madzia czuła bolesny dreszcz, który płynął od głowy, kurczył jej wargi, ściskał za gardło i powoli zbliżał się do serca. Ale, chcąc uspokoić matkę, rzekła:

— No, i czego ja beczę?... Nie śmieszne to!... Niech tylko mama posłucha, co powiem: wyobraźcie sobie, państwo, że macie nie jednego, ale — dwóch synów... Zdzisław już objął swoją posadę, a ja, młodszy syn, mam dopiero pracować na siebie... Mój Boże, jak my grzeszymy, smucąc się w podobnej chwili... Ilu to ludzi nie ma pracy i szuka jej napróżno... Oddaliby kilka lat życia za jakiekolwiek zajęcie i nie mają go; ja zaś jestem tak szczęśliwa, że bez trudu dostałam posadę — i płaczę!... A mama także... Prawda, księże proboszczu.

że to grzech?... Mówię zupełnie serjo, proszę mamy...

— Mówisz po chrześcijańsku — wtrącił proboszcz.

— Bo to wszystko babskie ceregiele — odezwał się nadchodzący major, którego nos miał fioletową barwę. — Zamiast podziękować Bogu za łaskę, a dziewczynie natrzeć uszu, ażeby dobrze prowadziła swoje uczennice, pani doktorowa ryczysz, jakby ci się palec obierał... Pani niedługo zaczniesz rozczulać się, kiedy mąż pojedzie do chorego na wieś....

— Do chorego jeździ tylko ksiądz z Panem Bogiem... a doktór jeździ do pacjenta — przerwał mu proboszcz.

— Ucz, jegomość, pauprów ministrantury, a nie mnie, jak mam mówić!... — odparł zaperzony major, machając fajką.

— Madziu, przynieś szachy... — rzekł doktór.

— Ja pani pomogę...—odezwał się Miętlewicz.

— Miętlewicz... siedź mi tutaj!... — wrzasnął major, pukając fajką w ławkę. — On jej będzie pomagał szachy przynosić, słyszane rzeczy?... Ja ci kiedy wytnę taką sztukę, że odrazu stracisz gust do kobiet...

— Co mu tam znowu major wytniesz?—rzekł proboszcz. — A obraża się, kiedy go poprawiać w mówieniu!

— Sakramencki klecha!... — mruknął major, wysypując figury. Lecz wnet umilkł, spostrzegłszy, że proboszcz wpatruje się w niego, jakby miał zamiar obrazić się i nie grać.

Reszta wieczoru upłynęła nie tak wesoło, jak zazwyczaj. Proboszcz mylił się w grze, a major nie robił awantur, tylko zcicha mruczał, co było złym znakiem. Miętlewicz, z zamglonemi oczyma, półgłosem opowiadał doktorowi, że on, dla swoich zdolności, nie znajduje pola w Iksinowie; doktór zaś, słuchając go, ssał zgasłe cygaro i patrzył w sufit altanki, zasłoniętej gęstemi liśćmi. Wreszcie Madzia zaczęła spacerować po ogródku, a czując, że jest rozstrojona, postanowiła wyjść za miasto.

„Pójdę na cmentarz — rzekła do siebie — i z babcią się pożegnam“...

Narwała w ogrodzie kwiatów, zrobiła dwa bukiety i wyszła bocznemi ulicami, a potem ścieżką przez pole.

Zbliżał się wieczór. Na ugorze rozlegały się krzyki pastuchów, spędzających bydło do miasta: na gościńcu, między czarnemi pniami lip, toczyły się fury pełne snopów. Od czasu do czasu z pod nóg Madzi wyskoczył konik polny, albo powitała ją słowami: „niech będzie pochwalony“ baba, niosąca płachtę zielska.

Ścieżka dosięgła cmentarza, i Madzia przypomniała sobie, że zwykle w tem miejscu Cynadrowski przeskakiwał mur, kiedy miał widzieć się z panną Eufemją, lub gdy się z nią rozstawał.

„Biedny człowiek!... — rzekła do siebie Madzia, skręcając do bramy cmentarnej. — Trzeba zmówić za niego pacierz... Obie zapomniałyśmy o nim, a może jemu najbardziej potrzeba modlitwy“ — dodała, myśląc nie bez goryczy o pannie Eufemji.

Kąt samobójców znajdował się w rogu cmentarza, oddzielony krzakami jałowcu, tarniny i dzikich róż. Było tam ledwie kilka mogił: bednarza, który się rozpił, służącej, która zabiła się z powodu dziecka i — Cynadrowskiego. Pierwsza już zapadła się, na drugiej rosła wysoka trawa, trzecia, pod ścianą, była zupełnie świeża.

Nagle Madzia stanęła zdziwiona. Ktoś o Cynadrowskim pamiętał: świadczyło o tem utrzymanie grobu. Nieznana ręka otoczyła mogiłę galeryjką z patyków, posadziła kilka doniczek roślin i, widocznie codzień, zasypywała świeżemi kwiatami. Niezawodnie, że tak... Nawet można było odróżnić kwiaty wczorajsze, onegdajsze i już zupełnie zwiędłe.

Madzi łzy zakręciły się w oczach:

„Jaka ja jestem niegodziwa — pomyślała — i jaka ta Femcia szlachetna!... Bo, naturalnie, tylko Femcia pamięta o tym grobie“...

Rzuciła parę kwiatów z bukietu i, klęcząc, zmówiła pacierz. Potem wróciła do grobu babki, pomodliła się za duszę kochanej opiekunki i, z podwójną gorliwością, zaczęła ubierać jej mogiłę.

„Dobra, szlachetna Femcia!... — myślała. — A jednak wszyscy sądziliśmy ją tak surowo“...

Na chwilę przed zachodem słońca skrzypnęła brama i ktoś wszedł. Z bijącem sercem Madzia ukryła się między drzewami: miała przeczucie, że wchodzi panna Eufemja, a nie chciała okazać, że zna jej tajemnicę.

Istotnie, rozległ się cichy szelest i, boczną ścieżką, pod murem cmentarnym, przesunęła się figura ciemno ubranej kobiety. Madzia nie mogła jej po-

znać z powodu gałęzi, była jednak pewną, że to panna Eufemja, ponieważ poszła prosto do kąta samobójców.

„Jak ona musiała zmienić się, biedactwo, — myślała Madzia — kiedy nawet jej ruchy są inne... jakieś lękliwe i szlachetne... O, ja niegodziwa!... pierwsza powinnam zbliżyć się do niej“...

Zmiana istotnie musiała być wielka, Madzi bowiem zdawało się, że panna Eufemja nawet zeszczuplała i urosła. Więc, zdjęta ciekawością, posunęła się ostrożnie naprzód.

Ciemno ubrana dama zbliżyła się do grobu Cynadrowskiego. Położyła na nim mały wieniec, a następnie, schyliwszy się, zaczęła porządkować mogiłę.

„Femcia?... nie Femcia“... — mówiła do siebie Madzia, przypatrując się. Nagle zawołała:

— To pani... to ty, Cecyljo?...

I, pobiegłszy do niej, schwyciła w objęcia przestraszoną i zawstydzoną.

— Więc to ty pamiętasz o biedaku?... I ja nie domyśliłam się odrazu, że to ty... Złota, kochana!...

— Ach, Boże... droga Madziu... — tłumaczyła się panna Cecylja. — Taka drobna usługa dla zmarłego... Przecież musimy pamiętać o zmarłych obcych, ażeby inni... robili to samo dla naszych... Tylko, proszę cię, zaklinam — dodała, składając ręce — ani słowa nikomu... Miałabym dużo przykrości, gdyby się o tem dowiedziano.

Madzia pomogła pannie Cecylji ogrodzić mogiłę patyczkami, razem z nią zmówiła pacierz i — obie wyszły z cmentarza.

— Więc jedziesz jutro? — spytała panna Cecylja.

— Muszę.

— Smutno mi będzie — mówiła panna Cecylja — tem smutniej, że tak późno poznałam cię... Ale trudno... Zresztą, lepiej zrobisz, wyjeżdżając stąd... Tu panny starzeją się, jak powiedział poczciwy major — dodała z uśmiechem — a ludzie... chyba kamienieją... Okropne jest życie w małych miasteczkach....

— Więc przenieś się do Warszawy.

— Do kogo?... poco?... Nie mam żadnych stosunków, a nadewszystko tak odsunęłam się od życia, że boję się nawet widoku obcych ludzi... Wreszcie i u nas są dzieci, które potrzeba uczyć... Z niemi zostanę, a dla odpoczynku będę chodzić tu...— dodała panna Cecylja, wskazując na cmentarz.

— Czy znałaś Cynadrowskiego?

— Nie... Ale dziś bardzo... bardzo go lubię... On widocznie był taki opusz... tak dziki, jak ja... Zresztą — dodała głosem pełnym żalu — i ja mam grób, o którym nikt nie pamięta... nawet sama nie wiem, gdzie jest... Całe lata męczyłam się tą niewiadomością; dziś łudzę się, że to tamten...

Zbliżały się do miasta. Panna Cecylja umilkła, lecz, powoli uspokoiwszy się, rzekła swoim cichym głosem:

— Wiesz, Madziu... daruj mi, ale ja cię dziś pożegnam. Nie śmiałabym żegnać cię przy ludziach...

Uściskały się.

— Pamiętaj o mnie, jeżeli chcesz — mówiła

panna Cecylja — i... czasem napisz słówko... Chociaż wiem, że znajdziesz tam inne przyjaciółki...

— Żadna z nich nie będzie taka, jak ty... dobra, szlachetna... — szepnęła Madzia...

— Zobaczysz, jaką wydam ci się śmieszną, kiedy już będziesz w Warszawie... Ale ja ciebie nigdy nie zapomnę...

Ścisnęła Madzię za rękę i odeszła w stronę apteki. Madzia została sama, oszołomiona dziwnem pożegnaniem.

W domu matka była zajęta prasowaniem bielizny i pakowaniem kufra, więc Madzia usunęła się do swego pokoju, gdzie niebawem przyszedł ojciec. Usiadł na kanapie, zapalił fajkę i rzekł:

— Cóż, jutro o tej porze będzie panienka w wagonie?...

Madzi tchu zabrakło. Usiadła obok ojca, wzięła go za rękę i, patrząc w oczy, spytała:

— Tatuchnu... może ja źle robię, że wyjeżdżam i was tak... zostawiam?...

— No... no... tylko nie roztkliwiaj się — odparł ojciec z uśmiechem, gładząc jej włosy. — Wyjazd— zapewne przykra to rzecz dla nas i dla ciebie, ale... nie trzeba przesadzać... Patrz na mnie... ani myślę smucić się, bo naprzód wiem, że to jest potrzebne do twego szczęścia, a powtóre — jestem pewny, że za rok... półtora... wrócisz tu i już będziemy razem.

— Ach, jakbym ja tu chciała wrócić!...

— Wrócisz, kochanko. Twoja pensja, to niezły projekt: pensja może utrzymać się w Iksinowie, nawet cztero i pięcioklasowa, byle wziąć się do niej poważnie. Właśnie major mówił mi, że gotów dać

ci tysiąc, czy dwa tysiące rubli na pensję, byleś w Warszawie wybrała sobie nauczycielki, a nadewszystko — sama praktycznie zapoznała się ze stroną administracyjną interesu.

— Pan major tak powiedział?... — zawołała Madzia z radością.

— Ależ tak i sam ci to powtórzy. Widzisz więc, że twój wyjazd nie jest emigracją, ale wyjazdem czasowym, na praktykę. Dlatego ja, wcale się nim nie martwię, a i matka, choć zapewne wyleje sporo łez, jest spokojniejsza. Za rok... za półtora... znowu będziemy razem, i wtedy już nie uciekniesz od nas, kochanko — dodał ojciec, przytulając ją do piersi.

Madzia ukradkiem otarła oczy; doktór mówił dalej:

— Teraz, dziecko moje, dam ci jedną, jedyną radę, którą staraj się zapamiętać... Znasz tę naszą wiśnię, co zwiesza się przez parkan na ulicę?... Kto w Boga wierzy, obrywa ją, nietylko z owoców dojrzałych i niedojrzałych, ale nawet z kwiatów, liści i gałęzi... Otóż, kochanko, tobie grozi to samo...

— Mnie, tatku?

— Tak. Ludzie z każdym człowiekiem postępują tak samo: zabierają mu pieniądze, czas, pracę, piękność, rozum, serce, nawet dobre imię... Wszystko mu zabiorą, jeżeli nie obroni go własny egoizm... Dlatego umiarkowany egoizm jest siłą dobroczynną, parkanem dla wiśni...

— Egoizm?....

— On sam. Ty go nie masz, jesteś pod tym względem kaleką, więc nie odwołuję się do twego

egoizmu. Ale, dziecko moje—mówił, uścisnąwszy jej głowę — nie pozwalaj się okradać i wyzyskiwać, nie przez miłość siebie, ale przez miłość do ludzi. Poświęcaj się, bo to leży w twojej naturze, ale poświęcaj się dla dobrych; ażeby zaś dobrzy mieli z ciebie więcej, broń się przed złymi... Pamiętaj, ażeby świat nie obdarł i nie połamał cię tak, jak ulicznicy naszą wisienkę...

— A po czemże ja poznam złych ludzi? — spytała zamyślona Madzia.

— Oto widzisz, mądre pytanie, na które krótko ci odpowiem. — Szukaj przyjaciół między takimi, którzy mają więcej pracy, aniżeli sławy i zysków; ci są naprawdę użyteczni, dla nich warto poświęcać się i tylko oni cię zrozumieją. Ale unikaj ludzi, którzy mają dochody niewiadomo skąd i rozgłos niewiadomo za co...

— A jeżeli kto odziedziczy majątek?... — żywo przerwała Madzia, pomyślawszy o Solskich.

— O charakterze człowieka nie stanowi to, co odziedziczył, tylko — co zrobił i robi. Kto nic nie robi, jest pasorzytem, tem szkodliwszym, im większe ma wydatki.

Madzia, oparłszy głowę na ramieniu ojca, zastanawiała się.

— Tatko — rzekła po chwili — mówi zupełnie inaczej, aniżeli wszyscy. Wszyscy szukają stosunków z ludźmi bogatymi i głośnymi.

— A ty szukaj pracowników, którzy więcej dają światu, niż biorą od niego. Ludzkość przechodzi rozmaite fazy: walk, odkryć, prześladowań, szaleństw, pomorów... W tej epoce, na którą dziś pa-

trzymy, jest wszystkiego potrochu, ale bodaj, czy nie za dużo pozorów — i gonitwy za użyciem. Otóż mówię ci: strzeż się tego prądu!... Kto mu uwierzy, może znaleźć hańbę i zatracenie duszy.

Zapaliwszy fajkę, która mu zgasła, doktór mówił dalej:

— Przypatrz się robakom ziemnym. Niema stworzeń bardziej upośledzonych; a jednak one więcej robią dla cywilizacji, aniżeli zdobywcy świata: w ciszy i poniżeniu wytwarzają grunta urodzajne. Sława żadna, zyski żadne, użyteczność — niezmierna.

— I ja mam być taką?... — zapytała Madzia, patrząc na ojca błyszczącemi oczyma.

— Ty już jesteś taką i dlatego radzę ci: szukaj towarzystwa z takimi. Dwa razy poruszyłaś Iksinów: urządziwszy koncert i pobudziwszy ludzi, ażeby tutaj utworzyli szkołę. Co z tego masz?... Nic, trochę zawiści i plotek. Ale wędrowni aktorzy mieli dochód, panna Cecylja będzie miała kilka uczennic, a nauczyciel dostanie lepszą pensję, bo zwróciłaś uwagę miasta na jego niedostatek. No, uściskaj ojca i... żadnych łez!... Za rok... półtora... zobaczymy się...

Nazajutrz rano, kiedy po mszy, odprawionej na jej intencję przez proboszcza, Madzia wracała do domu, siostra pana Krukowskiego zastąpiła jej drogę.

— Daruj mi, Madziu—rzekła — że trochę późno przyszłam na twoje nabożeństwo... Alem przyszła, ażeby tobie i... wszystkim dać dowód, że cię kocham i uważam za najzacniejszą panienkę...

Potem opiera się na ramieniu Madzi, odprowadza ją do połowy rynku, tam wobec dwu chłopskich

furmanek, policjanta i czterech żydków całuje Madzię w głowę i z wielkiem naleganiem wręcza jej jakieś pudełko.

— Przysiągłbym, że klejnoty! — mówi idący zdala pan pomocnik.

— Jeżeli nie brylanty... — dodaje aptekarz.

I całe towarzystwo z kościoła zaczyna głowami i kapeluszami aplodować piękny czyn eks-paralityczki, która, pożegnawszy się z Brzeskimi i majorem, wraca do swego domu, nadęta jak indyk, podpierając się swoją laską.

— Pyszna baba!... — odzywa się zachwycony aptekarz. — Niema dnia, ażebym choć za rubla od niej nie utargował.

Madzia nigdy nie mogła dokładnie przypomnieć sobie: na czem upłynęło jej kilka ostatnich godzin w domu rodziców?... Wie, że piła kawę, potem zjadła befsztyk i popiła go winem, które przyniósł major, a potem zakręciło się jej w głowie. Potem matka cóś mówiła o bieliźnie i garderobie i, płacząc, doręczyła jej długi rejestrzyk.

Następnie zajechała fura po rzeczy, z czego korzystając, zmartwiony pan Miętlewicz mówił Madzi, zdaje się, że o swoich wielkich zdolnościach i na coś przysiągł, zapewne na to, że wkrótce przeniesie się do Warszawy.

Może byłby jeszcze dłużej mówił i przysięgał, gdyby nie czerwonooki major, który, schwyciwszy Madzię za rękę, zawiódł ją do drugiego pokoju i rzekł szorstko:

— Mówił mi ojciec, że możesz tu założyć pensję, naturalnie, jak się rozejrzysz po świecie...

— Mówił... Bardzo... dziękuję panu majorowi...

— Głupstwo, fajki tytuniu niewarte!... — przerwał major. — Więc uważaj: po mojej śmierci masz cztery tysiące rubli... cicho!... A za rok mogę pożyczyć ci tysiąc, dwa tysiące rubli na procent... Rozumiesz?...

— Ależ panie majorze...

— Cicho!... A teraz — schowaj to — kończył, podając jej ciężką kieskę ze skóry łosiowej. — Cicho!... Mogłaś przyjąć od tej warjatki bransoletę, możesz ode mnie wziąć parę sztuk złota... Ale tylko na złą godzinę... pamiętaj!...

— Ale czy ja mogę?...

— Pst!... ani słowa... Ode mnie możesz przyjąć, jak... od starszego brata.

Mimo zmartwienia, Madzia roześmiała się, usłyszawszy ten tytuł, i — pocałowała majora w rękę.

— Naczelnikowa już zajeżdża — zawołała matka, wbiegając.

Przed ganek zatoczył się powóz. Madzię ktoś ubrał, potem upadła do nóg ojcu i matce, potem czuła na twarzy i czole strumienie własnych i cudzych łez... Na ulicy stał jakiś tłum... ktoś po wiele razy całował jej ręce... jacyś panowie wsadzili ją do powozu i narzucali bukietów... Potem zatrzaśnięto drzwiczki i powóz ruszył.

— Bądź zdrowa!... Pisuj!... Nie zapomnij!... — wołano z ganku.

— Boże błogosław!... — zawołał obcy głos z pod parkanu.

Powóz chwiał się i toczył... chwiał się i toczył... toczył bez końca. Kiedy Madzia odjęła mokrą chustkę od oczu i, przeprosiwszy panią naczelnikową za kłopot, jaki jej robi, odwróciła głowę, już było widać tylko wieżę iksinowskiego kościoła, błyszczącą w słońcu.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

SPIS RZECZY.

Date Due

MAR 22			
MAY 8			
MAY 18			
apr 27			
AP 11			
MY 31			
MR 14 '60			